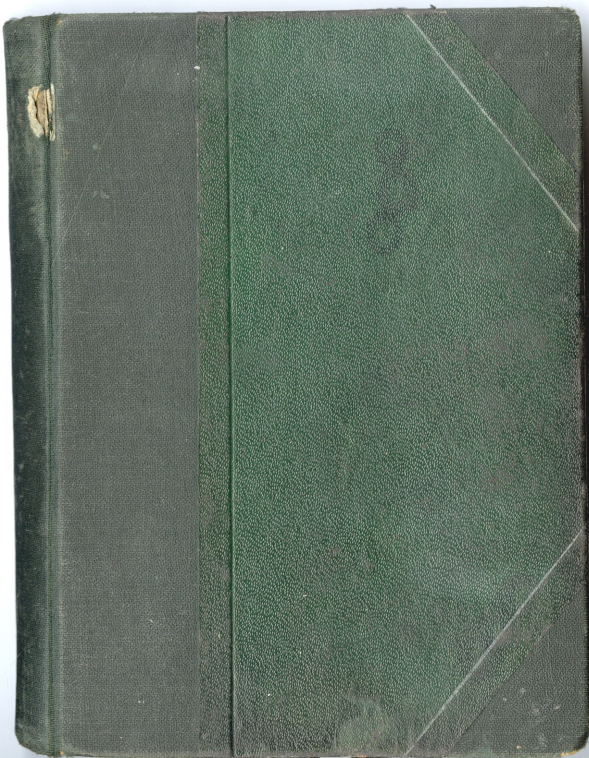
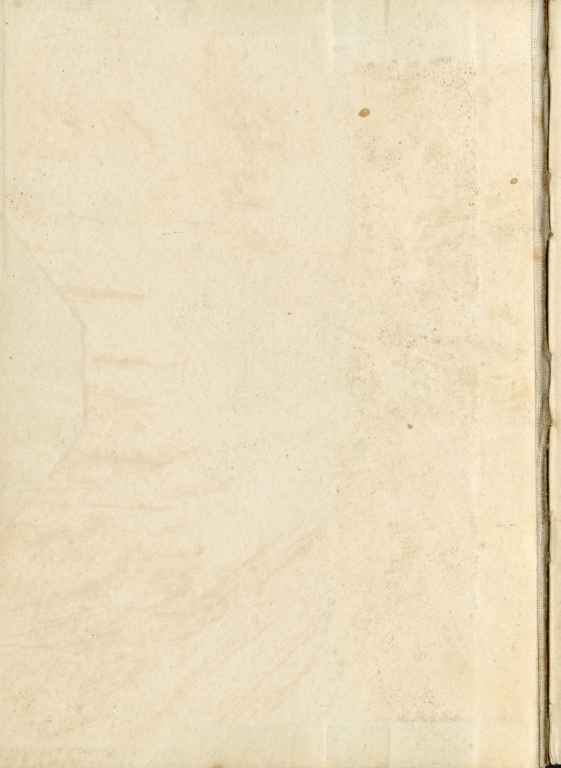
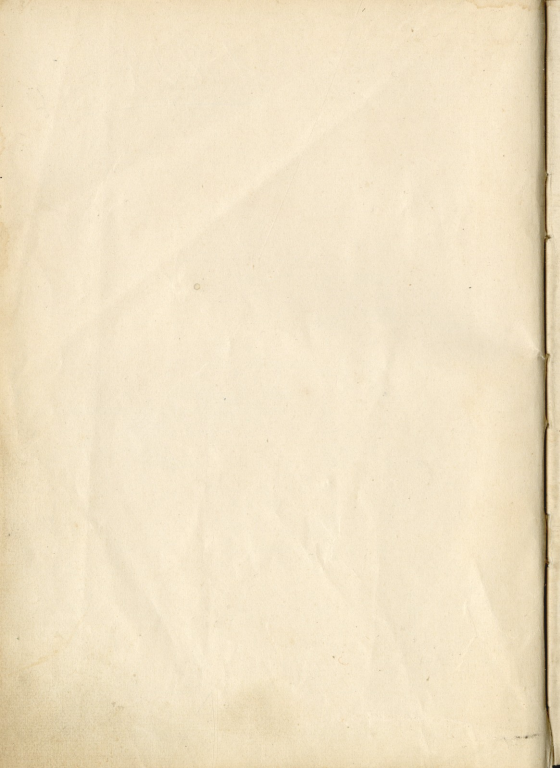
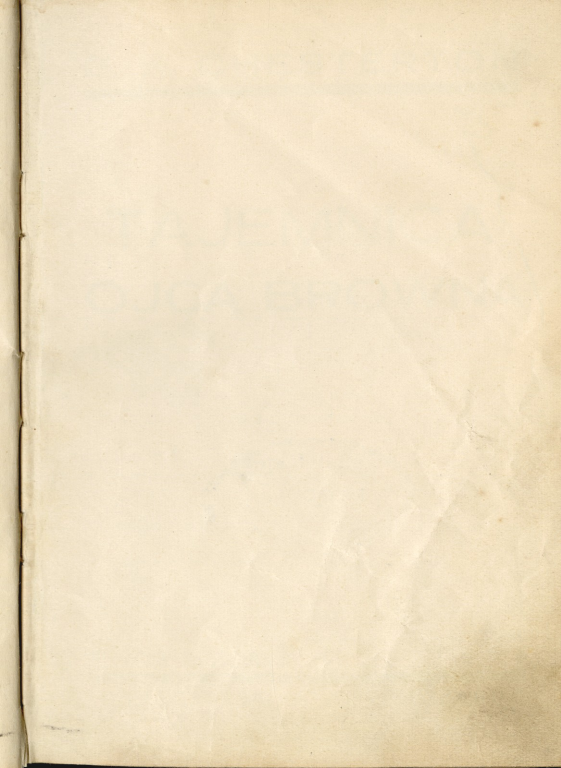




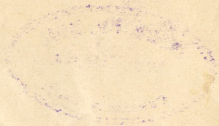


1829





9



G. K. CHESTERTON

TAJEMNICA OJCA BROWNA



W A R S Z A W A — 1 9 2 8

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

22.629



G. Z.
82-3

821.111-3

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
Józefa Zydlerowa



5711

I.

TAJEMNICA OJCA BROWNA.

Flambeau, niegdyś najsłynniejszy francuski przestępca, potem prywatny angielski detektyw, dawno wycofał się z obu zawodów. Mówiono o nim, że karjera kryminalisty nasuwała mu zbyt wiele skrupułów przy karierze detektywa. W każdym razie po życiu obfitem w romantyczne ucieczki, fortele, wybiegi, osiedlił się w miejscu, które jakby koronowało całą jego dotychczasową działalność — osiedlił się na zamku w Hiszpanji.

Zamek był solidny, aczkolwiek względnie niewielki, jednak ciemne winnice i zielone smugi ogrodów warzywnych zajmowały poważną przestrzeń brunatnego wzgórza.

Należy przyznać, że Flambeau po przeżyciu awanturnych przygód zachował jeszcze umiejętność, właściwą latynczykom, a której nie mają (przynajmniej obecnie) Amerykanie — umiejętność wycofania się w porę. Tacy np. właściciele wielkich hoteli całe życie marzą o posiadaniu własnej drobnej działki ziemi. Tacy skromni francuscy kupcy powoli dorabiając się majątku, gdy Fortuna łaskawie składa im w ręce miliony, których mogliby użyć na zakupienie całej ulicy magazynów, wolą zwinąć interes i osiąść spokojnie przy ognisku domowym.

Zdarzyło się wypadkiem, a przyszło dość szybko, że

Flambeau zakochał się w pewnej damie hiszpańskiej, ożenił się i dostał się w poczet licznej rodziny, zamieszkałej w swych dobrach w Hiszpanji. Nie sprawiło mu to przykrości i nie pragnął już żadnej zmiany.

A jednak pewnego ranka nowa jego rodzina uczyniła spostrzeżenie, że Flambeau jest jakiś niespokojny i podniecony. Nie mógł dłużej wytrzymać i wyprzedziwszy swych małych kuzynków, zbiegł ze wzgórza na spotkanie kogoś, kto przechodził dopiero przez dolinę i podobny był jeszcze do okrągłej kropki. Czarny punkcik powiększał się stopniowo w rozmiarze, nie zmieniając jednak bardzo kształtu i barwy. Pozostał czarny i okrągły.

Czarne duchowne ubranie nie było nieznane w tych stronach, na tej jednak osobie robiło wrażenie o wiele sympatyczniejsze od sutann miejscowych. Odrazu poznać można było, jak po naklejonej etykiecie, że właściciel tego stroju pochodzi z dalekich północnych wysp.

W reku księdza sterczał jak pastorał, mały pękaty parasol, na widok którego wzruszony Flambeau, uronił kilka łez. Niepozorny bowiem ten parasol bywał niejednokrotnie świadkiem jego licznych przygód.

Jakże nie miał się cieszyć Flambeau, kiedy oto jego najlepszy przyjaciel, tak dawno oczekiwany Ojciec Brown przybywał do niego z Anglji. Pisywali do siebie stale, nie widzieli się jednak kopę lat!

Ojciec Brown szybko zainstalował się w tem kole rodzinnem, które było tak liczne, że samo mogłoby sobie wystarczyć za towarzystwo, a nawet przy dobrych chęciach za całe społeczeństwo.

Oprowadzano go więc wszędzie i przedstawiano wszystkich i wszystko. Przedstawiono mu więc i wielkie obrazy, malowane na złoconem drzewie, a wyobrażające Trzech Królów, rozdających podarki dzieciom na gwiazdkę. Hiszpanja bowiem jest krajem, gdzie sprawy dziecięce zabierają wiele miejsca w domu i w życiu. Przedstawiano mu i psa i kota i cały inwentarz gospodarski. Przedstawi-

no mu również, bo tak się akurat złożyło i sąsiada, który jak i Ojciec Brown, zainteresował okolicę ubiorem i zwyczajami dalekiego kraju.

Było to na trzeci dzień pobytu Ojca Browna w zamczku. Uwagę księdza zwrócił wspaniały cudzoziemiec, który wyrażał swą człobitność właścicielowi zamku takimi ukłonami, iż żaden grand hiszpański nie mógłby z nim współzawodniczyć.

Był to wysoki, szczupły, siwawy i prawdziwie piękny pan. Jego ręce, mankiety, a nawet spinki od mankietów, imponowały wytwornością, szczupła jednak twarz nie zdradzała tego zdegenerowania, które tak ściśle kojarzą nasi karykaturzyści z wypieszczonemi rękoma i długimi mankietaми. Nie był więc zniewieściały, przeciwnie, hamować musiał swe zręczne, młodzieńcze prawie ruchy, oczy zaś mówiły o silnem zainteresowaniu życiem, co nie często idzie w parze z siwemi włosami. Cechy te, oraz nosowe brzmienie subtelnego głosu, jak i nadmierne zachwyty nad wszelkimi starożytnościami Europy mówiły wyraźnie o narodowości tego gentlemana. Rzeczywiście, był to pan Grandison Chace z Bostonu, amerykański podróżnik, który dla odpoczynku zatrzymał się w sąsiednim majątku, w podobnym do tego zamku i na takim samem wzgórzu.

Zachwycił się starym zamkiem i zachwycił się swym sąsiadem, niby jakąś lokalną starożytnością. Co prawda Flambeau zakorzenił się tu już na dobre. Wrosł w tutejszy grunt, jak jego winorośle i figowe drzewa... Wrócił też do dawnego swego nazwiska i nie nazywał się już Flambeau tylko Duroc. Pseudonim „Pochodnia“ pozostał tylko w pamięci, jako dawne *nom de guerre*; używane przez tych, którzy pod przybranem mianem, zwykli prowadzić wojnę ze społeczeństwem. Kochał bardzo swą żonę i rodzinę, nie wydalal się nigdzie z domu, chyba na małe polowanka, w oczach więc tego amerykańskiego globtrotera był wciele niem pogodnej zacości, wstrzemięźliwego zbytku, a Amerykanin jest dostatecznie mądry by to dostrzec i podziwiać

u południowych narodów. Przelotny ptak z za oceanu zatrzymał się na tej południowej skale, gdzie rośnie tyle ciepłego mchu.

Ale pan Chace słyszał już o Ojcu Brownie i w tonie jego głosu czuło się odciśnięcie szacunku, gdy przemawiał do takiej znakomitości.

W każdym Amerykaninie drzemie instynkt interviewu. Na widok Ojca Browna instynkt ten ocknął się w panu Chace, który umiał go wykorzystać z niezmiernym taktem. Wszystko, co chciał wiedzieć, wyciągnął z dobrodusznego księdza jak amerykański dentysta — zreżymowanie i nieboleśnię.

Jak przed każdym domem w Hiszpanji i tu był też podwórzec do połowy osłonięty dachem. Zmierzch pogodnego wieczoru rozpływał się już w mrokach zbliżającej się nocy, a ponieważ górskie powietrze zaostrzyło się po zachodzie słońca, ustawiono na płytach kamiennych małe piecyki, który połyskiwał jak diabeł czerwonymi oczyma. Malując purpurowe desenie na bruku dziedzińca. Ale blask światła sięgał zaledwie niższych cegiełek wysokiej nagiej ściany, wznoszącej się ku szafirom nocy.

Wielka, barczysta postać Flambeau z olbrzymiemi, niczem szpady wąsiskami, zatracala swe kontury w tem półświecie. Kręcił się dokoła, nalewając ciemne wino z pękatej beczulki i podawał przyjaciółom. W jego cieniu dziwnie mała i prawie skurczona rysowała się sylwetka księdza, który wyglądał, jakby się schował za piec. Za to amerykański gość wysunął się elegancko naprzód, trzymając łokieć na kolanie. Ostre, subtelne rysy pełnem światłem były oświetlone, oczy błyszczały inteligentnem zainteresowaniem.

— Pragnę księdza zapewnić — mówił — że uważamy pański udział w sprawie morderstwa przy księżycu za największy triumf w historii nauki śledczej.

Ojciec Brown coś tam szepnął. Ktoś obdarzony bardziej bujną wyobraźnią, uważałby to raczej za westchnienie.

— Zastanawialiśmy się długo nad sposobami działania

Dupin'a czy Lecocka, lub też Sherlocka Holmesa, Nicholas Cartera i innych wcieleń tego kunsztu. Ale tu daje się zauważyć w wielu wypadkach wybitną różnicę między pańskimi metodami dochodzenia a sposobami tych lub innych badaczy, bądź prawdziwych, bądź urojonych. Rozmyślając nad tem, możnaby przypuszczać, że ta odmienność metody, może oznaczać raczej brak wszelkiej metody.

Ojciec Brown milczał. Wreszcie kiwnął lekko głową wyraźnie w kierunku pieca i bąkał:

— Hm... przepraszam... może w istocie... tak... brak metody... Właśnie brak... tak, zdaje mi się, że w istocie brak wszelkiej metody...

— Możeby to można ściślej wyrazić... brak metody już uznanej... przyjętej... — mówił Amerykanin. — Edgar Poe daje w kilku swych szkicach w formie konwersacyjnej objaśnienie metody Dupin'a, łącząc je subtelными ogniwami logiki. Dr. Watson często słuchał jasnego wykładu metody Holmesa z wszelkimi obserwacjami i detalami. Ale nikomu nie udało się znaleźć jakiś punkt styczny z pańską metodą, Ojciec Brownie. A słyszałem, że ksiądz nie chciał przyjąć zaproszenia na serję odczytów w Stanach Zjednoczonych o tym przedmiocie.

— Tak — odrzekł ksiądz, patrząc na piec i marszcząc się nań groźnie. — Odmówilem...

— Odmowa pańska wywołała wielką gadaninę. Są na przykład tacy, którzy twierdzą, że pańska metoda nie da się wyłożyć, gdyż jest czemś innem niż zwykłą wiedzą. Powiadają, że nie może być rozgłaszana, jako że jest w swym charakterze okultystyczna.

— Jest czem? — ostro zapytał ksiądz.

— Jest z rodzaju ezoterycznych nauk... Muszę przyznać, że napracowano się porządnie nad zabójstwem Galupa i przy zbrodni Steina, a teraz świeżo nad morderstwem sędziego Gwynne'a lub na starym Mortonie, jak i przy podwójnej zbrodni popełnionej przez Dalmona, który dobrze

był znany w Stanach. Zawsze jakoś w porę znalazł się tam ksiądz Brown, niewiadomo skąd i niewiadomo jakim sposobem dowiedział się o tem, Są tacy, którzy przyszli do przekonania, że ksiądz wie o wszystkim, nie potrzebując widzieć. Tak przynajmniej mówią. Carlotta Brownson miała odczyt o Mysłach - Formach, ilustrując go pańskimi sprawami.

Ojciec Brown wciąż patrzył na piec, wreszcie przemówił tak głośno, jakby chciał, żeby go wszyscy słyszeli:

— E, to się nie da zrobić.

— Nie, wiem dokładnie, jak to może być użyte — tłumaczył się żartobliwie Chace. Te rzeczy wymagają wiele wiary. Ale żeby powstrzymać całą tę gadaninę, należałoby wyjawic tajemnicę.

Ojciec Brown westchnął ciężko. Oparł głowę na rękach i siedział długo w cichej, głębokiej zadumie. Wreszcie podniósł głowę i przemówił słabym głosem:

— Dobrze, powiem tę tajemnicę.

Oczami powiódł po całym tonącym w mroku podwórku, od krwawych oczu piecyka do rozległej ściany starego muru, nad którym tkwiły coraz silniejszym światłem błyszczące gwiazdy południa.

— Cała tajemnica w tem... — zaczął i zamilkł znowu, jakby nie miał siły wypowiedzieć tego. Ale przemógł się i znowu zaczął: Cała tajemnica w tem, że to ja sam zabiłem te osoby.

— Co? — zapytał zdumiony Amerykanin. Głos jego brzmiał słabo wśród wielkiej ciszy.

— Tak... ja sam zabiłem je własnoręcznie — cierpliwie tłumaczył Ojciec Brown. — Więc oczywiście muszę wiedzieć, jak się to robi.

Grandison Chace powstał zwolna z miejsca. Wlepił oczy w księdza i powtórzył jego niepodobne do wiary zdanie.

— Sam każdą z tych zbrodni planowałem bardzo starannie — mówił dalej Ojciec Brown. Obmyśliłem dokładnie, jak powinno być zrobione... I w jaki sposób... I w jakim usposobieniu powinien być człowiek, który zamierza to zrobić. A gdy już byłem zupełnie pewny, że czuję tak samo, jak sam morderca, oczywiście mogłem go poznać odrazu.

Chace wydał zwolna westchnienie ulgi.

— Przeraził mnie ksiądz naprawdę — odezwał się. — Przez chwilę na serjo myślałem, że ksiądz był mordercą. Przez chwilę widziałem przed oczyma wszystkie gazety Stanów Zjednoczonych: *Święty Detełtyw — Zbrodniarzem!* albo *Sto zbrodni Ojca Browna!*... Teraz rozumiem. Jest to oczywiście figura retoryczna, przez którą daje nam ksiądz pojęcie, jak buduje całą psychologię...

Ojciec Brown palnął mocno w piecyk krótką fajeczką, którą właśnie napychał, a nieznany u niego wyraz udręki wykrzywił jego łagodną twarz.

— Nie! nie! Wcale nie! — zawołał prawie gniewnie... To nie była wcale figura retoryczna! Oto są rezultaty, gdy się zaczyna mówić o trudniejszych kwestjach!... Jakichże mam słów użyć?... Jeżeli pan powie, że jedynie prawda jest moralna, każdy będzie panu myślał, że to jest metafora... Pewien człowiek, taki zwykły człowiek... na dwóch nogach... powiedział tak raz do mnie: — Wierzę w Ducha Świętego, jedynie w znaczeniu duchowym. A ja mu na to: — A w jakimże innem znaczeniu mógłbyś pan w Niego wierzyć? On z tego wywnioskował, że ja doszedłem do przekonania, że on w nic nie wierzy, prócz ewolucji, czy też etycznego jakiegoś związku, czy też coś podobnego... Otóż ja doprowadzam się do takiego stanu, że istotnie widzę siebie, moje własne Ja, popełniające zbrodnię. Nie zabiłem tych ludzi w znaczeniu fizycznym, ale to nie w tem rzecz. Zwykła cegła lub jakikolwiek mechanizm mógł zabić ich w znaczeniu fizycznym. Ja staram się zrozumieć,

co wpłynęło na tego człowieka, że stał się takim i myślę tak długo, dopóki nie stanę się zupełnie do niego podobny we wszystkim, prócz zgody na czyn ostateczny. Jeden z moich przyjaciół zalecił mi takie rozmyślania jako rodzaj pobożnego ćwiczenia. Pomysł zaś sam był zdaje się papieża Leona XIII, który był zawsze dla mnie wzorem.

— Sądzę — odezwał się Amerykanin z niedowierzaniem w głosie i patrząc na księdza, jak na coś osobliwego, — że będzie ksiądz musiał wiele mi jeszcze rzeczy wytłumaczyć, zanim zrozumiem, o co chodzi. Nauka śledcza...

Ojciec Brown przytknął palcami, mając na twarzy wyraz tej samej udręki.

— Właśnie! — zawołał — właśnie na tym punkcie musimy się porozumieć. Nauka jest wielką rzeczą, jeśli ją można otrzymać. W swym rzeczywistym sensie jest to najwspanialsze słowo na świecie. Ale o czym myślą ludzie dziewięć na dziesięć razy, w dzisiejszych czasach używający tego słowa? Kiedy to powiedziano, że śledztwo jest nauką? Kiedy to powiedziano, że kryminologia jest nauką? Patrzą na człowieka z zewnętrznej jego strony i badają niby olbrzymiego owada, co nazywają badaniem w świetle bezstronnem, a co ja nazywam umarłem, wynaturzonym światłem. Przekonani są, że mają jeszcze wiele do zbadania, jakby był co najmniej przedhistorycznym potworem. Wpatrują się w jego „występną czaszkę“ jak w coś potworczego, niby róg na nosie nosorożca. Gdy uczeni prawią o typie, nigdy nie mają na myśli siebie, lecz zwykle swego sąsiada i to napewno uboższego sąsiada. Nie przeczę, że takie bezstronne światło może być czasem dobre, chociaż w tym sensie jest zupełnem obaleniem nauki. Dalekie będąc od wiedzy, samo jest przekreśleniem tego, co już jest znane. Jest to traktowanie przyjaciela jak obcego człowieka i utrzymywanie, że każda zażyłość jest w swej istocie obcą i tajemniczą. To tak, jakby kto powiedział, że człowiek

ma jednak trąbę, jak słoń, między oczami, lub że wpada w paroksyzm nieczułości co dwadzieścia cztery godziny. Tak, co pan nazywa „tajemnicą“, jest właśnie jej przeciwieństwem. Nie oglądam nigdy człowieka z zewnętrznej jego strony. Ja staram się wniknąć w mordercę... Czy pan nie uważa, że to jest o wiele lepsze?... Ja *jestem* w człowieku... Jestem w człowieku i poruszam jego rękami i nogami. I czekam... Czekam cały czas, dopóki jestem wewnątrz mordercy, myśląc jego myślami, dręcąc się jego namietnościami, dopóki nie nagnę się do stanowiska jego czujnej, okrutnej nienawiści, dopóki nie zacznę patrzeć na świat jego krwawemi, zezowatemi oczyma, które w obłędnem zaślepieniu patrzą w wąską, ostrą perspektywę jedynej dla niego drogi, wiodącej do kałuży krwi... Aż do tej chwili jestem mordercą.

— Ach! — odezwał się Chace, patrząc nań ponuro. — I to ksiądz nazywa ćwiczeniem religijnem?

— Tak, nazywam to ćwiczeniem religijnem — odparł Ojciec Brown. Po chwili milczenia mówił dalej. — Jest to ćwiczenie religijne, bo nigdy jako o takim nigdy bym nie mówił. Ale nie mogłem się godzić, aby pańscy ziomkowie mieli sądzić, że używam jakichś tajemnych sposobów, mających coś wspólnego z Myślami-Formami. Może źle to wyłożyłem, jednak to jest prawdą. Żaden człowiek nie jest ani trochę dobry, dopóki nie zrozumie do jakiego stopnia jest zły, albo może nim być; dopóki nie uprzytomni sobie dokładnie, ile jest słuszności w całym tym snobizmie, w tem szyderstwie i rozprawianiu o „kryminalistach“, niby o jakich małpach gdzieś w dalekich krajach; dopóki nie przestanie podle oszukiwać samego siebie, mówiąc o zbrodniczych typach i występnych czaszkach; dopóki nie wycisnie z siebie ostatniej kropli faryzeuszowskiego oleju; dopóki nie przestanie marzyć o tem, żeby złapać jakiegoś przestępcę i trzymać taki okaz pod własnym kapeluszem.

Flambeau napełnił szklanki winem i postawił je przed gośćmi.

— Przypuszczam, że Ojciec Brown ma w zapasie sporo nowych ciekawych opowieści. Od czasu gdyśmy ostatni raz się widzieli, sporo osób i spraw musiało się przevinąć przed jego oczyma.

— Niektóre z tych spraw, — odezwał się Chace zamysłony, podnosząc szklankę — znam mniej lub więcej dobrze ale... nie wiem w jaki sposób ksiądz doszedł... Jeżeli ksiądz dałby mi parę przykładów, myślę... Może usłyszymy parę przykładów wraz z pańskim sposobem dociekania?

Ojciec Brown podniósł też szklankę, a płomień ognia przeświecił czerwone wino, które stało się tak przezroczyście, jak okrwawiona szyba w oknie męczennika. Odblask tej czerwieni wciął jego oczy, pochłaniał spojrzenie, które zatapiało się coraz głębiej, jakby ta zwykła szklanka zawierała całe morze krwi ludzkiej, a dusza księdza jak nurek pograżała się w mrokach poniżenia i obłudnej imaginacji, głębiej zapadając niż zamieszkujące tam potwory, niż leżące tam od wieków warstwy szlamu.

W szklance tej widział bardzo wiele. Wyniki jego badań ostatnich poruszały się tam w krwawym cieniu, przykłady, o które prosił Chace wirowały w symbolicznych kształtach, przed oczyma przesunęły się wszystkie te zdarzenia, które tu opowiedział.

Połyskliwe wino stało się podobne krwawemu zachodowi słońca nad ciemną czerwienią piasków, gdzie stoją ludzkie postacie. Jeden z nich opada, drugi biegnie do niego. Czerwone słońce rozpada się na drobne cząsteczki, czerwone latarnie kołyszą się na drzewach ogrodu i żrenica sadzawki wydziela z siebie też czerwień...

Naraz cała ta barwa skupia się w wielkim kryształ — klejnocie, blask jego promieniuje na świat cały, wszystko tonie w tej czerwieni, prócz wysokiej postaci w wysokim

kołpaku na głowie, jakby na wzór jakiegoś kapłana starożytnego świata...

Dominująca barwa płowieje nagle dokoła i pozostaje tylko w pęku czerwonej brody, miotanej wiatrem nad pustem szarem bagnem...

Wszystko to było kiedyś widziane w innem świetle i w innym nastroju, teraz obudziło wspomnienia i przeobraziło się w serję opowieści i rozumowań.

— Dobrze — odezwał się Ojciec Brown. — Pamiętam doskonale. Opowiem więc...

II.

PIEŚŃ LATAJĄCEJ RYBY.

Myśl pana Peregrina Smarta jak natrętna muszka albo siadała na wspaniałym okazie jego kolekcji lub zmieniała się w równie natrętne pytanie, które wszyscy musieli traktować jako żart, tak było częste i może nawet dokuczliwe. Żart ten można było uważać za całkiem niewinny, pytanie bowiem brzmiało niezmiennie: — Czy pan już widział moją złotą rybę?

W każdym razie żarcik taki kosztował zapewne nie mało, ale pan Smart zdaje się, przywiązywał większą wagę do tego nudnego już pytania, niż przejmował się uczynionym wydatkiem.

W rozmowie z sąsiadami, mieszkańcami małych domków, grupujących się dokoła starej osady, nie tracił czasu i odrazu zwracał rozmowę na ulubiony temat. Z doktorem Burdock, dość znanym biologiem o wystającej szczęcie i zaczesanemi wtył na sposób niemiecki włosami, łatwo mu to przychodziło. — Pan interesuje się naukami przyrodniczymi? A widział pan już moją złotą rybę?

Dla takiego zapalonego ewolucjonisty, jak dr. Burdock, niewątpliwie wszystko było przyrodą, ogniwo jednak tego działu, nie mogło jakoś sczeplić się z łańcuchem jego

studjów, jako że był specjalistą, który wyteżył całą swą wiedzę, by odnaleźć pierwszego przodka żyrafy.

Rozmawiając z proboszczem kościoła z sąsiedniego miasteczka, Ojcem Brownem, wypuszczał kurjerski pociąg myśli, który zatrzymywał się na stacjach: Rzym—Święty Piotr — rybak — ryba — złota ryba.

Spotkawszy się z panem Imlackiem Smith, dyrektorem banku, szczupłym bladym gentelmanem o wykwintnym wyglądzie i spokojnych manierach z całą namiętnością skręcał rozmowę na złoty sztandar, skąd już nietrudno było zjechać na złotą rybkę.

Zbliżając się do znakomitego podróżnika i uczonego orjentalisty hrabiego Iwona de Lara (tytuł miał francuski, twarz zaś typu rosyjskiego, jeżeli nie tatarskiego), obrotny gaduła wyrażał niesłychane zainteresowanie Gangesem, Oceanem Indyjskim, kierując do tego, że w tych wodach muszą niechybnie znajdować się złote rybki.

Od pana Harryego Hartoppa, bardzo bogatego, ale nieśmiałego i małomównego młodzieńca, który świeżo przyjechał z Londynu, wydarł wkońcu wyznanie, że ten wiecznie zakłopotany młody człowiek nie interesuje się wcale rybołóstwem, mógł więc powiedzieć: — A propos rybołóstwa... czy pan widział już moją złotą rybę?

Całą osobliwością tej złotej ryby było, że była wykonana ze złota. Dziwna ta i kosztowna zabawka została zrobiona gwoli kaprysowi pewnego bogatego wschodniego księcia, a pan Smart kupił ją na jakiejś licytacji, czy też w którymś magazynie osobliwości, gdzie stale bywał, aby zapychać swój dom osobliwemi i bezużytecznemi gratami.

Zoddali wyglądało to, jak jakaś niezwykła czara z niezwyklej wielkości rybą. Przy bliższej obserwacji okazało się to olbrzymią banią z pięknego weneckiego dętego szkła, bardzo delikatnie i lekko powleczonego słabą tęczową barwą i w tym barwnym mroku zawieszone były dziwaczne złote rybki z olbrzymiemi rubinami zamiast oczu. Zgrupowane były w kształt dużej ryby. Cała ta za-

bawka była niewątpliwie wartościowa ze względu na materiał z jakiego została wykonana, cena jej jednak zależała od zwarjowanej pożądlivosti kolekcjonistów.

Nowy sekretarz pana Smarta, Francis Boyle zdumiony był, że jego chlebodawca tak swobodnie opowiada o cennych okazach swej kolekcji — gromadce zupełnie obcych ludzi, którzy chwilowo zjawili się w sąsiedztwie. Zbieracze zazwyczaj bywają skryci i nieufni. Zauważył również pan Boyle, że nie tylko on jest tego zdania, ale i koledzy jego i służba dziwią się i wyraźnie ganią takie postępowanie.

— Dziwne, że dotychczas nie poderżnęli mu gardła — mówił lokaj Smarta takim tonem, jakby chciał powiedzieć: Szkoda!

— To niesłychane, żeby tak wszystko zostawiać na wierzchu — odzywał się Jameson, szef biura Smarta. Przyszedł właśnie z biura, żeby mu objaśnić nowe czynności. — Nawet nie każe ryglować tych starych spróchniałych drzwi zardzewiałemi ryglami.

— Dobrze to sobie przy Ojcu Brownie, przy doktorze — mówiła gospodyni Smarta — ale gdy zjawiają się cudzoziemcy, uważam to za kuszenie Opatrzności. Jest tu nie tylko ten hrabia, ale ów jegomość z banku wygląda mi coś za żółto na to, żeby był Anglikiem.

— E, młody Hartoppe jest napewno Anglikiem — roześmiał się Boyle — bo trudno z niego wydusić jakieś słowo.

— Za to więcej myśli — odparła gospodyni. — Może i nie jest cudzoziemcem, ale nie jest taki głupi, jak na to wygląda.

Niezadowolenie jej byłoby jeszcze większe, gdyby tegoż samego wieczoru usłyszała rozmowę prowadzoną w salonie jej pana, a której tematem była złota ryba, i kiedy niemily jej cudzoziemiec coraz bardziej wysuwał na pierwszy plan swą osobę. Nie dlatego, żeby tak dużo mówił, ale nawet jego milczenie bywało znaczące. Przyciągał wszystkie oczy, siedząc na stosie — na stosie poduszek

tylko, a w zapadającym zmierzchu mongolska jego twarz zdawała się świecić jak księżyc.

Może z tła, na którym rysowała się jego sylwetka, emanowała jakaś azjatycka atmosfera i krążyła dokoła jego postaci, gdyż pokój przedstawiał odmet mniej lub więcej kosztownych osobliwości, między którymi można było zauważyć zakrzywione linie i jaskrawe barwy wschodniej broni, wschodnich fajek, narzędzi, instrumentów muzycznych i cennych rękopisów. W miarę jak rozmowa rozwijała się, Boyle miał coraz pełniejsze wrażenie, iż postać siedząca na poduszkach i odcinająca się oryginalną sylwetką od zapadającego zmierzchu, była wiernym wizerunkiem olbrzymiego Buddy.

Rozmowa była ogólną, bo całe towarzystwo dobrze się znało. Był tu zwyczaj wpadania niespodzianie do znajomych, a ciągle to samo grono odwiedzających się tworzyło rodzaj małego klubu. Ze wszystkich domów stojących dokoła zielonego placu, dom Peregrina Smarta był najstarszy, największy i najbardziej ciekawy. Zajmował prawie całą stronę tego placu, bo tylko stała tam jeszcze jedna mała willa, należąca do emerytowanego pułkownika Varneya, który uchodził za kalekę i rzeczywiście nie widziano nigdy, aby kiedy wychodził z domu. Z prawej strony było parę sklepów, które zaspakajały skromne potrzeby mieszkańców wioski, na rogu gospoda „pod Błękitnym Smokiem“, gdzie zatrzymał się przybyły z Londynu pan Hartopp. Naprzeciwko stały trzy domy. Jeden z nich był wynajęty przez hrabiego de Lara, drugi przez dr. Burdocka, trzeci stał jeszcze pusty. Obok stał bank, a przy nim dom dyrektora banku, resztę zaś placu przeznaczonego pod budowę ogradzał płot. Brak jakiegokolwiek sąsiedztwa zmuszał siłą rzeczy osoby tu zamieszkujące do korzystania z wzajemnego towarzystwa.

Tego wieczoru znalazł się jednak obcy, który przekroczył to magiczne koło. Był to jegomość o ostrych rysach, z kępami nastroszonych brwi i wąsów i tak niedbale ubra-

ny, że chyba musiał być albo milionerem albo księciem. Przybył zaś tu w celu zawarcia interesu ze starym kolekcjonistą. On musiał również wysłuchać zachwyty nad złotą rybą i krytyki niedostatecznej nad nią opieki.

— Wszyscy mi mówią, że powinienem bardziej troskliwie pilnować moich zbiorów — mówił Smart, podnosząc brwi na widok urzędnika, stojącego za nim z jakimś papierami. Smart był to sobie krągłolicy, pulchny staruszek, podobny do łysej papugi. — Jameson, Harris i inni przypominają mi ciągle, żebym barykadował drzwi domu, jak w jakiej średniowiecznej fortecy, chociaż te zepsute, zardzewiałe sztaby, są też zbyt średniowieczne, żeby mogły stanowić przeszkodę dla złodzieja. Wolę ufać szczęściu i miejscowej policji.

— Niezawsze dobre sztaby spełniają swe zadanie — odezwał się hrabia de Lara. — To zależy od tego, kto będzie próbował się dostać. Był taki pustelnik hinduski, który nagi mieszkał w jaskini. Przeszedł on przez trzy armje opasujące Mogolą. Zabrał wiele rubinów i turban tyrana i odszedł jak cień bez szwanku. Pragnął w ten sposób nauczyć wielkiego władcę, jak mało znaczą prawa przestrzeni i czasu.

— Jeżeli dokładniej zbadamy te przekroczenia praw przestrzeni i czasu — odrzekł dr. Burdock — dojdziemy zawsze sposobu, w jaki zostały wykonane te oszustwa. Nauka Zachodu wydobyła na jaw wiele sztuczek Wschodu. Bez żadnej wątpliwości większa ich część może być wykonana przy pomocy hipnotyzmu i sugestji, nie mówiąc już o kuglarstwie.

— Rubin nie znajdował się w królewskim namiocie — odparł hrabia w zamyśleniu. — On go odszukał między setkami namiotów.

— Czy nie możemy wytłumaczyć tego telepatją? — zapytał ostro doktor.

Ton doktora wydał się jeszcze bardziej ostry w ciszy, jaka zapadła po tem pytaniu. Czekano długo na odpowiedź,

jakby sławny orientalista, nie bacząc na formy towarzyskie usnął.

— Przepraszam bardzo — ozwał się wreszcie, ocknąwszy się i uśmiechnął się. Zapomniałem, że mówimy słowami. Na Wschodzie porozumiewamy się zawsze myślami i dlatego nie bywa między nami nieporozumień. Dziwne jest tu u was uwielbienie słowa... Co za różnica, czy pan to teraz nazwie telepatją, co kiedyś nazwał pan głupotą? Jeżeli człowiek wspina się do nieba ze szczytu drzewa mangowego, czy się co zmieni, jeżeli nazwiemy to lewitacją, czy też kłamstwem? Gdyby jakaś średniowieczna wróżka skinęła różdżką i zmieniła mię w niebieskiego pawjana, pan nazwałby to pewnie atawizmem.

Doktór popatrzył na hrabiego, jakby chciał powiedzieć, że nie byłoby to tak trudne zadanie. Ale zanim jego irytacja w taki lub inny sposób znalazła ujście, do rozmowy wtrącił się pan Harmer mrukliwym tonem:

— To prawda, że czarodzieje hinduscy wyczyniają dziwne bardzo sztuki, ale o ile wiem, robią to tylko w Indjach. Mają tam sprzymierzonych albo lepsze podłoże psychologiczne. Nie przypuszczam, aby takie rzeczy mogły udać się w angielskiej wiosce i mogę chyba zapewnić naszego kochanego gospodarza i właściciela złotej ryby, że może spać spokojnie.

— Opowiem państwu historję — odezwał się de Lara swym monotonnym głosem, — która miała miejsce nie w Indjach, ale wewnątrz angielskich baraków w najbardziej zmodernizowanej części Kairu. Obok skrzypiącej bramy żelaznej stał na warcie żołnierz i wyglądał przez kratę na ulicę. Od strony ulicy ukazał się bosy żebrak w zwykłych lachmanach krajowców i zapytał żołnierza czystym poprawnym angielskim językiem o pewien państwowy dokument, który miał się znajdować w bezpiecznym zamknięciu w tym budynku. Żołnierz odpowiedział mu oczywiście, że nie może go wpuścić do wewnątrz budynku, ale żebrak uśmiechając się zapytał:

— Co to znaczy wewnątrz, a co znaczy zewnątrz?

Żołnierz patrzył pogardliwie przez kraty bramy, gdy naraz spostrzegł, że chociaż nie otworzył wcale bramy, stoi teraz na ulicy i patrzy stamtąd na podwórze. Żebrak zaś stał spokojnie na podwórzu, uśmiechając się ciągle. Gdy żebrak ruszył ku budynkowi, żołnierz oprzytomniał i zawołał na żołnierzy, którzy zaraz otoczyli żebraka.

— Teraz nie ruszysz się stąd! — zawołał żołnierz oburzony, żebrak zaś odezwał się znów swym srebrzystym głosem:

— Co to znaczy zewnątrz, a co wewnątrz?

I żołnierz, który dotychczas stał jeszcze na ulicy, patrząc przez kraty bramy na podwórze, spostrzegł naraz, że kraty te oddzielają go znów od ulicy, gdzie stał żebrak wolny i uśmiechnięty z papierem w ręku.

Pan Imlack Smith, dyrektor banku, patrzył na podłogę, zwiesiwszy ciemną wysmukłą głowę, wreszcie odezwał się po raz pierwszy:

— A co się stało z papierem?

— Zupełnie stosowne pytanie ze strony pańskiej, jako dyrektora finansowej instytucji — odrzekł uprzejmie hrabia. — Był to dokument wielkiej finansowej wagi. Wynikły stąd komplikacje międzynarodowe.

— Spodziewam się, że takie rzeczy nie zdarzają się często — wtrącił młody Hartopp chmurnie.

— Nie dotykam w tej chwili politycznej strony — mówił hrabia spokojnie — tylko filozoficznej. Opowiedziałem to w tym celu, żeby przekonać, że dla mędrca nie istnieją czas i przestrzeń, że jest w mocy usunąć ich dźwignie tak, że cały świat może mu się przesuwać przed oczyma. Ale trudno jest zrozumieć tutejszym ludziom, że duchowe moce są silniejsze od materialnych.

— Niech i tak będzie! — zawołał pan Smart wesoło. — Nie mam pretensji, aby moje zdanie było autorytetem w sprawach potęgi duchowej. A co myśli o tem Ojciec Brown?

— Jedna rzecz mię tu uderza — odrzekł ksiądz. — Dlaczego te nadprzyrodzone czyny, o których tu słyszeliśmy, zawsze wyglądają na złodziejstwa? A kradzież spełniona nadprzyrodzoną metodą, dziwnie mi przypomina kradzież wykonaną zwykłą materialną metodą.

— Ojciec Brown jest Filistynem — roześmiał się Smith.

— Mam sympatię do tego plemienia — odrzekł Ojciec Brown. — Filistyn jest człowiekiem, który jest uczciwy, nie wiedząc sam dlaczego.

— Wszystko to jest dla mnie za dowcipne — przyznał się Hartopp.

— Może — uśmiechnął się Ojciec Brown — wolalby pan mówić bez słów, jak to nadmienil nam hrabia. Chciał on w znaczący sposób nie powiedzieć nic, a pan mógłby się mu odciąć wybuchem milczenia.

— Coś podobnego można osiągnąć przez muzykę — szepnął hrabia w zamyśleniu. — Byłoby to lepsze, niż te wszystkie słowa.

— Tak może wtedy zrozumiałbym to lepiej — odparł młody człowiek cichym głosem.

Boyle słuchał rozmowy z wielką uwagą i zdawało mu się, że odczuwa w zachowaniu paru obecnych tu osób coś nieuchwytnie dziwnego.

Rozmowa skierowała się na muzykę, powołując do zabrania głosu najlepszego znawcę, dyrektora banku, ale Boyle przypomniawszy sobie o swych sekretarskich obowiązkach i zwrócił uwagę Smartowi, że dotychczas jeszcze szef jego biura stoi w pokoju z papierami w ręku.

— Ach, daj mi pan teraz spokój, panie Jameson! — zawołał śpiesznie Smart. Ale zaraz!... jedno tylko... Z panem Smith załatwię później... Pan mówił, panie Smith...

Chłodne tchnienie interesów rozwiało opary transcendentnej rozmowy i goście jeden po drugim zaczęli się żegnać. Tylko pan Imlack Smith, dyrektor banku i miłośnik muzyki pozostał jeszcze dłużej i gdy wszyscy goście się rozeszli, prze-

szli obaj z gospodarzem do innego pokoju, gdzie była złota ryba i zamknęli za sobą drzwi.

Dom był wąski i długi, z krytym balkonem biegnącym wzdłuż całego pierwszego piętra. Na tem piętrze był szereg pokoiów zajmowanych przez samego gospodarza, jego sypialnia, garderoba i alkowa, do której były czasem przenoszone na noc cenniejsze skarby z dolnych pokoiów.

Balkon ten i niedostateczne drzwi na dole były przedmiotem ciągłego biadania gospodyni i szefa oraz służby nad lekkomyślnością ich chlebodawcy. W rzeczywistości jednak przebiegły staruszek bardziej był ostrożny, niż się zdawało. Nie dowierzał zbyt przestarzałym zaporom starego domu, które jak lamentowała gospodyni rdzewieją w bezczynności, lecz miał przy sobie wypracowany inny plan strategiczny. Swoją ukochaną złotą rybę przenosił na noc do alkowy, mieszczącej się za jego sypialnią a sam sypiał zwykle z rewołwerem pod poduszką.

Boyle i Jameson czekając dość długo na ukończenie rozmowy ich chlebodawcy z dyrektorem banku, zobaczyli wreszcie otwierające się drzwi, a w nich Smarta z wielką szklaną czarą w ręku, niesioną z takim nabożeństwem, jakby to były co najmniej relikwie jakiego świętego.

Na dworze ostatnie groty słońca tkwiły jeszcze w zakątkach zielonego placyku, w mieszkaniu jednak lampa była już zapalona i w połączeniu tych dwóch światel barwna kula połyskiwała jak olbrzymi klejnot, a fantastyczne sylwetki dziwacznych ryb nadawały jej pozór jakiegoś tajemniczego talizmanu, jakieś wróżby, wyczytanej w wieszczym kryształ. A nad ramieniem staruszka jak sfinks patrzyła oliwkowa twarz Imlacka Smitha.

— Wyjeżdżam dziś w nocy do Londynu, panie Boyle — odezwał się stary Smart. Wyjeżdżamy obaj z panem Smith o 6.10. Wolalbym aby pan, panie Jameson spał dziś w moim pokoju. Jeżeli postawi się banie jak zwykle w alkanie, będzie zupełnie bezpiecznie. Zresztą nie przypuszczam, aby miało się coś stać.

— Co się ma stać? — odezwał się uśmiechnięty pan Imlack. — Sądzę, że pan zabiera zwykle do łóżka strzelbę... a może stawia ją pan za łóżkiem?...

Peregrine Smart nic na to nie odpowiedział i obaj poszli w stronę wsi.

Sekretarz i szef biura spali, jak to zarządził ich pryncypał, w jego sypialni. James spał na łóżku w garderobie, ale drzwi zostawiono otwarte, a oba pokoje w amfiladzie były właściwie jednym pokojem. Tylko sypialnia miała wielkie weneckie okno, wychodzące na balkon i wejście do alkowy, gdzie dla bezpieczeństwa umieszczona została bania z rybkami. Boyle postawił łóżko tak, że barykadowało wejście, pod poduszkę schował rewolwer, rozebrał się i położył, uważając, że przedsięwziął wszystkie środki ostrożności przeciw możliwym i niemożliwym wypadkom.

Nie przypuszczał, aby miało koniecznie grozić jakieś szczególne niebezpieczeństwo kradzieży, tylko te *duchowe* kradzieże, o których opowiadał hrabia de Lara zaprzętały jego umysł i wnikały w sen, stały się więc materiałem, z którego przedły się jego senne marzenia. Z przerywanej drzemki zapadł w sen głęboki.

Stary urzędnik nie mógł jakoś zasnąć, jak zwykle męczony bezsennością, kręcił się nawet dłużej niż zwykle, ale po powtórzeniu sobie zwykłych żalów i ostrzeżeń, położył się także i usnął.

Czysty zrazu księżyc zachodził zwolna chmurami, rzucając zamglone światło na zielen placu i szare bloki domów. Samotności i ciszy nie mącił żaden świadek.

Wypadek stał się w chwili, gdy blade rysy brzasku ukazały się na szarem niebie.

Boyle, jako młodszy, miał zdrowszy i mocniejszy sen niż Jameson. Chociaż bardzo żwawy z natury, po obudzeniu bywał zawsze jakby obezwładniony snem. Dziś, prócz tego, zdawało mu się, że się coś przykleja do budzącego się umysłu, niby macki jakiejś niewyraźnej ośmiornicy. Miejszało się z tem pojęciem wiele jeszcze innych wrażeń, a mię-

dzy niemi i jego ostatnie z wieczora spojrzenie z balkonu na cztery szare ulice i zielony placyk. Ale kształty ich zmieniły się ustawicznie i kręciły zawrotnie przy wtórze zgrzytliwego hałasu, który brzmiał jak podziemna rzeka, a był niewątpliwie niczem innym tylko chrapaniem Jamesona w garderobie. Ale w umyśle śpiącego szmery i poruszenia kojarzyły się niejasno ze słowami hrabiego de Lara o mądrości, która może przytrzymać dźwignię czasu i przestrzeni i świat obracać. We śnie zdawało mu się nawet, że słyszy głośny szmer maszynierji świata, która rzeczywiście obraca krajobraz tam i zpowrotem tak, że koniec ziemi mógł ukazać się w ogrodzie, a ogród został odesłany za morze.

Pierwsze wyraźne wrażenie wywołane zostało słowami pieśni z jakimś metalicznym akompanjamentem. Były śpiewane jakimś cudzoziemskim akcentem, głosem osobliwym a zarazem jakby znanym. Tyle tylko zdawał sobie z tego sprawy, że to chyba nie on popelnia wiersze we śnie.

Poprzez lądy, poprzez morza
Moje rybki lećcie do mnie!
Nie zbudzi was jasna zorza,
Tylko...

Zerwał się na nogi i zobaczył, że kolega jego też nie śpi. Jameson wyglądał przez okno na balkon — i wołał na kogoś z ulicy:

— Kto tam? Czego chcesz?

Odwrócił się podniecony do Boyle'a, mówiąc:

— Ktoś tu się włóczy pod oknem... Tu nie jest bezpiecznie. Pójdę zaryglować drzwi na dole, cobądź się o tem mówi...

Zbiegł niespokojnie nadół, a Boyle słyszał łoskot tarasowanych drzwi, sam zaś wszedł na balkon i wyjrzał na długą, szarą drogę i pomyślał, że jeszcze śni.

Na tej szerokiej drodze, wiodącej przez bagniska ku małej angielskiej wiosce stała postać, która mogła tylko

wyjść z dżungli lub wschodniego bazaru, postać z opowiadań hrabiego, postać z Tysiąca i jednej nocy...

Uspiona szarość brzasku, zaledwie dopiero znaczącego się, wysysała wszystkie barwy, od wschodu zaś światło rozszerzało się, wznosiło zwolna, jak welon z gazy i czyniło widzialną postać, owiniętą w nieznana odzież. Szarfa dziwnego błękitu, szeroka i obszerna, okręcała głowę jak turban, stamtąd wracała, owijając szyję, co robiło wrażenie kaptura. Twarz prawie cała kryła się w tem jak w masce. Z tego przybrania głowy też sama materja spływała jak welon na całą postać, otulając ją szczelnie. Głowa była schylona nad jakimś dziwnym instrumentem o kształcie zakrzywionych skrzypiec. Grał zapomocą jakiejś srebrnej szczoteczki, a tony były niezmiernie delikatne i wdzięczne. Zanim Boyle otworzył usta, usłyszał ten sam głos, śpiewający dalszy ciąg pieśni:

Jak ptak złoty ku drzewu ulata,
Ty wróć do mnie ma rybko skrzydlata,
Wróć...

— Nie macie prawa... — zawołał Boyle zrozpaczony, sam nie wiedząc co mówi.

— Mam prawo do onej ryby złotej — odrzekł nieznajomy, wyrażając się bardziej jak król Salomon, niż bosonogi Beduin w zniszczonej odzieży. — I one wróć do mnie... Chodźcie...

Uderzył w struny swych dziwnych skrzypiec, a głos nabral brzmienia ostrego. Była to męka dźwięku, który przeżywał mózg, a odpowiedzią na to był słabszy dźwięk, drżący szept. Wychodził z ciemnego pokoju, gdzie znajdowała się czara ze złotą rybą.

Boyle skierował się tam, ale właśnie w tej chwili, dźwięk ten nieuchwytny zmienił się jakby w brzęczenie elektrycznego dzwonka, a potem w słaby trzask. Upłynęły zaledwie sekundy, gdy wołał na nieznajomego z balkonu,

a już stary urzędnik był na szczycie schodów, zadyszany trochę, jako że był to już starszy jegomość.

— Zamknąłem drzwi — odezwał się.

— Stajenne wrota — odrzekł Boyle z ciemnego pokoju.

Jameson poszedł tam za nim i zastał go patrzącego na podłogę, zasłaną kolorowem szkłem, które wyglądało jak drobne ułamki tęczy.

— Co pan mówisz o stajennych wrotach? — zaczął Jameson.

— Mówię, że rumak został skradziony — odrzekł Boyle. — Skrzydlaty rumak... Arab gwizdnął sobie na te latające rybki, jak na tresowane psiaki...

— Jakże on śmiał... — wybuchnął stary z oburzeniem, jakby takie wypadki nie godne były podziwu.

— Jak? Poszły sobie... Bania leży tutaj rozbita, bo zadługo trzebaby ją było roztwierać, więc lepiej stłuc... a ryba sobie poszła, Bóg jeden wie jak... Myślę, że wartoby o to zapytać tego milego obdartusa...

— Tracimy czas! Biegnijmy za nim zaraz!

— Lepiej będzie zatelefonować po policję. Samochodem będą go mogli przycapnąć błyskawicznie, a telefon pójdzie dalej niż my, gdybyśmy biegli przez wieś w nocnych koszulach. Ale może tu stało się coś, na co ani telefon ani policja nie poradzi.

Podczas gdy Jameson podnieconym tonem rozmawiał z posterunkiem policyjnym, Boyle wyszedł znów na balkon i rozejrzał się bacznie po okolicy w lepszym już świetle dziennem. Ani śladu człowieka w turbanie, cisza dookoła, tylko znać było, że w gospodzie „pod Błękitnym Smokiem“ już nie śpią. Ale Boyle spostrzegł z całą świadomością to, co dawno nieświadomie wniknęło do jego mózgu. Tak, jakby jakiś fakt wstrząsnął uśpionym umysłem i napraszał się o zwrócenie nań uwagi. Był to zresztą całkiem pospolity fakt, że szary krajobraz nie był zupełnie szarym. Między bezbarwnemi smugami odcinała się złota plama. Była to pa-

łąca się lampa w jednym z domów po drugiej stronie placu. Może niesłusznie, ale pomyślał, że zapewne paliła się ciągle podczas wszystkich godzin nocy, a światło jej osłabło o świcie. Namyslał się, czyj to może być dom i doszedł do wniosku, który zgadzał się z czemś... z czem, właściwie nie wiedział. W każdym razie był to dom hrabiego de Lary.

Przybył inspektor Pinner z kilku policjantami i poczynił stosowne a różnorodne zarządzenia, będąc pewien, że głupie a kosztowne świadelka nadadzą całej sprawie odpowiednią wagę w gazetach.

Zbadał więc wszystko, wszystko wymierzył, zebrał wszystkie zeznania, zdjął odcisk palców, wyrzucił wszystkich z pokoju i został sam w obliczu faktu, w którym nie mógł uwierzyć. Jakiś Arab z pustyni przyszedł do Anglii publiczną drogą i zatrzymał się przed domem pana Peregrina Smarta, gdzie bania ze złotą rybą była zamknięta w alkwie. Zaśpiewał czy też zadeklamował jakieś wiersze i bania pękła jak bomba, a ryby zniknęły w powietrzu. Nie ułagodziło inspektora odezwanie się hrabiego de Lara słodkim, miauczącym uczynione głosem, że ten fakt powiększył tylko szereg podobnych faktów.

Zachowanie członków małego klubu było dość charakterystyczne. Peregrine Smart wrócił rano z Londynu i usłyszał o swej stracie. Oczywiście było to dla niego przykre. Ale mały gentleman stał wyżej ponad takie straty i jego drobna figurka zachowała wygląd czupurnego wróbla, a w twarzy malowało się więcej zainteresowania sprawą niż przygnębienia.

Harmer, który przybył tutaj w zamiarze kupienia złotej ryby, stał się nieco opryskliwy i zrzędny, ale co dziwne go, że stracił humor, gdy się dowiedział, że nie ma co kupować. Nastraszone jego brwi i wąsiska zjeżyły się jeszcze groźniej, a oczy błysnęły na towarzyszy jakąś czujną bacznością, którą możnaby nazwać podejrzeniem. Wybladła twarz dyrektora banku, który też powrócił z Londynu, tylko

późniejszym pociągiem, przyciągała jak magnes błyszczące, świdrujące oczy Harmera.

Z pozostałych osób wczorajszego zebrania Ojciec Brown milczał jak zwykle, gdy nikt do niego nie odzywał się, a posagowy pan Hartopp zawsze był cichy, nawet gdy milczał.

Ale hrabia nie był człowiekiem, który mógł tak łatwo przejść nad tem do porządku dziennego, zwłaszcza gdy taki wypadek potwierdzał jego teorię. Uśmiechnął się do pozytywnego doktora w sposób, jakiego używa się dla poirytowania kogoś.

— Musisz pan przyznać, doktorze — odezwał się — że te historie, które pan ocenił jako nieprawdopodobne, urzeczywistniły się jakoś dzisiaj.. Jeśli taki obdartus, taki sam jak ten, o którym opowiadałem, potrafi jednym słowem strzaskać mocne naczynie, znajdujące się między czterema ścianami, jest to chyba dostateczny przykład duchowej potęgi, działającej na materialne przeszkody.

— A ja powtórzę — odciął się doktor — że niewiele trzeba wiedzy na to, aby przekonać, jak takie figle są robione.

— Jakto doktorze? — zapytał Smart zaciekawiony. — Potrafi pan rzucić światło nauki na tę tajemnicę?

— Mogę rzucić światło na to, co hrabia nazywa tajemnicą, bo to nie jest wcale tajemnica. To jest zupełnie jasne. Dźwięk jest falą drgań i pewne drgania mogą rozsądzić szkło, jeżeli dźwięk jest pewnego rodzaju i szkło też pewnego rodzaju. Człowiek ten nie stanął na ulicy, aby myśleć, co hrabia nazwał idealną metodą rozmowy na Wschodzie. On zaśpiewał zupełnie głośno i wziął ostrą nutę na instrumencie. Jest to znany eksperyment ze szkłem odpowiednio wyrobionem, które pęka, gdy natrafi na odpowiedni ton.

— I dzięki temu eksperymentowi — sztychł hrabia — kilka kawalków masywnego złota przestało nagle istnieć?

— Idzie inspektor Pinner — oznajmił Boyle. — Mówiąc nawiasem myślę, że będzie on uważał naturalne obja-

śnienie doktora, za równie nieprawdopodobne, jak i nadnaturalne opowiadanie hrabiego. Dziwnie sceptycznie zapatrzuje się na wszystko ten pan Pinner, a zwłaszcza na mnie. Zdaje się, że ma mnie w podejrzeniu.

— Sądzę, że my wszyscy jesteśmy w podejrzeniu — odpowiedział hrabia.

Wobec tego podejrzenia, w swoim własnym interesie Boyle szukał rady u Ojca Browna. W parę godzin później szli razem przez wieś, gdy ksiądz, który słuchał opowiadania w skupieniu, zatrzymał się nagle.

— Widzi pan? Ktoś tutaj zmywał bruk... Właśnie ten pasek bruku przed domem pułkownika Varenaya... Ciekaw jestem, czy to było wczoraj zrobione?

Ojciec Brown przyglądał się domowi, który był wysoki i wąski i upstrzony plamami rolet w wesołych lecz wypłowiałych barwach. Szczeliny, przez które możnaby zajrzeć do wnętrza były wszystkie ciemne, a właściwie wyglądały tak czarno w kontraście z fasadą, błyszczącą złotem w porankowym świetle.

— To jest dom pułkownika Varneya, zdaje się? — zapytał Ojciec Brown. — O ile wiem, on także przybył ze Wschodu. Co to za człowiek?

— Nigdy go nie widziałem. Nikt go chyba nie widział, prócz doktora Burdocka, a i on chyba nie ogląda go częściej, niż tego wymaga potrzeba.

— Pójdę na chwilę i zobaczę go! — zdecydował się Ojciec Brown.

Olbrzymie frontowe drzwi otworzyły się zwolna i poślknęły małego księdza, a jego przyjaciel pozostał, spoglądając z niedowierzaniem na bramę, jakby wątpiąc, czy się znowu kiedy otworzy. Otworzyła się po paru minutach i wynurzył się z niej uśmiechnięty Ojciec Brown. Gawędząc ruszył dalej drogą dokoła placu. Zdawało się, że czasami zapominał o głównym przedmiocie rozmowy, bo wtrącał uwagi historycznej lub socjalnej treści, lub rozmyślał o projektowanym rozwoju tej okolicy. Robił uwagi o ziemi uży-

tej do usypywania nowej drogi przy banku, rozglądał się po starej wsi z niepewnym wyrazem twarzy.

— Pospolita ziemia... Sądzę, że powinni tu hodować świnie i gęsi, o ile tu kto posiada jakie świnie czy gęsi, ale wygląda na to, że hodują tu tylko pokrzywy i osty. Jaka szkoda, że ta polać ziemi, która mogłaby być piękną łąką, jest tak zapuszczona. Tam naprzeciwnie, to zdaje się dom dra Burdock?

— Tak — odrzekł Boyle zaskoczony tą niespodziewaną uwagą.

— To dobrze. Ale wracajmy do domu.

Gdy otworzyli drzwi domu Smarta i wchodzili na schody, Boyle powtórzył swemu towarzyszowi wiele szczegółów z dramatu zaszłego tu o świcie.

— Chyba pan nie zasnął po raz drugi? — zapytał Ojciec Brown. — Bo mógłby przez ten czas ktoś wejść na balkon, podczas gdy Jameson zamykał drzwi.

— Nie. Jestem tego pewny. Obudziłem się, gdy Jameson wymyślał komuś z balkonu, potem słyszałem jak biegł po schodach i ryglował drzwi, a ja w dwóch skokach znalazłem się na balkonie.

— A może on się tu wcisnął inną stroną? Czy nie ma tu innego wejścia?

— Zdaje się że nie ma.

— Wolę się upewnić — odrzekł Ojciec Brown i zbiegł lekko po schodach.

Boyle pozostał przed sypialnią i czekał na księdza. Po krótkiej chwili okrągła, chłopska twarz ukazała się na schodach, podobna do szeroko uśmiechniętego księżycy w pełni.

— Nie. Ustala się kwestja wejścia — odezwał się weselo. — A teraz zamknąwszy wszystko w ciemnem pudle, jak się to mówi, dobierzemy się do sedna. Bardzo ciekawa sprawa.

albo jaki inny podróżnik po Wschodzie umaczał w tem rękę? Czy też ksiądz sądzi, że to coś nadprzyrodzonego?

— Zapewniam pana — odrzekł ksiądz poważnie, — że gdyby hrabia czy pułkownik albo inny jaki sąsiad przebrał się za Araba i wśliznął się do tego domu pocichu, byłby to właśnie fakt nadprzyrodzony.

— Jakto? Dlaczego?

— Bo ten Arab nigdzie nie zostawił śladu swych stóp. Pułkownik z jednej strony, bankier z drugiej strony są tu najbliższymi sąsiadami. Świeża czerwona ziemia jest między tym domem a bankiem i na niej napewno odbiłyby się stopy i napewno zostawiłby wszędzie czerwone ślady. Odważyłem się, nie bacząc na chorego pułkownika sprawdzić moje spostrzeżenie i dowiedziałem się, że bruk był umyty nie dzisiaj tylko wczoraj i był natyle wilgotny, że nogi musiałyby zostawić mokre ślady na drodze. A gdyby tym Arabem był doktor czy hrabia z przeciwka, musiałby przejść naprzelaj przez łąkę co byłoby niewygodne na bosaka, bo jak zauważyłem rośnie tam dużo kłujących pokrzyw, ostów i cierni. Pokłółby się i także zostawił ślady. Chyba, że to była nadprzyrodzona istota...

Boyle patrzył uważnie na poważną, zagadkową twarz księdza.

— Więc i ksiądz to przypuszcza? — spytał wkońcu.

— Trzeba pamiętać o jednej ogólnej prawdzie. Może coś być tak blisko nas, że trudno nam to dostrzec, jak np. człowiek nie może widzieć siebie. Wyobraźmy sobie, że jakiś człowiek patrzy przez teleskop na księżyc. Siada na szkle mucha, a człowiek widzi na księżycu potwornego smoka. A również gdyby człowiek usłyszał doskonale odtworzenie własnego głosu, brzmiałby mu jak głos obcego człowieka. Tak samo, może coś znajdować się tak blisko w naszym życiu, że niepodobna nam tego dostrzec, a gdyśmy nawet i spostrzegli, wyda się to nam niemożliwe. Jeżeli coś z pierwszego planu dostanie się na środkowy punkt, nam będzie się

— Czy ksiądz sądzi, że hrabia albo pułkownik Varney

zdawało, że ono się dostało z dalszego punktu... Wyjdźmy znów na chwilę z domu. Chcę panu pokazać, jak to wygląda z innego punktu widzenia.

Podnieśli się, a schodząc ze schodów Ojciec Brown ciągnął dalej swe uwagi, dość bezładnie, jakgdyby myślał głośno.

— W tej sprawie odrazu przychodzi na myśl cała ta atmosfera azjatycka, a nawet i sam hrabia, bo wszystko zależy od odpowiedniego przygotowania umysłu. Można tak usposobić człowieka, że gdy mu cegła spadnie na głowę, jemu będzie się zdawało, że to babilońska cegła spadła nań z wiszących ogrodów, bo wtedy nawet nie spojrzy na cegle i nie zobaczy, że jest takiego samego kształtu, jak wszystkie cegły w jego własnym domu. To samo jest i w tej sprawie...

— Co to znaczy? — przerwał Boyle, wskazując na wejście. — Co to ma znaczyć? Drzwi są znowu zaryglowane... — Wpatrzył się we drzwi, przez które przed chwilą przechodzili. Barykadował je wpoprzek ciemny pas zardzewiałego żelaza i wistocie drzwi te wyglądały jak stajenne wrota.

Była jakaś złośliwa, oszalamiająca ironja w tem uwięzieniu, skrepowaniu ich ruchów przestarzałemi zaporami.

— Ach to? — bąknął Ojciec Brown odniechcenia. — To ja sam założyłem te rygle. Nie słyszał pan?

— Nie! — odparł zdziwiony Boyle. — nic nie słyszałem.

— Naturalnie, bo i ja myślałem, że nie mógł pan słyszeć. Wistocie niema żadnej racji, aby ktoś znajdujący się na górze mógł słyszeć ryglowanie drzwi. Ten hak wchodzi swobodnie w wyżłobienie. Zamykając, słyszy się tylko lekkie stuknięcie i tyle... To, co można usłyszeć na górze, to tylko to... — Wysunął sztabę z otworu i pozwolił jej z brzękiem osunąć się nabok. — To się słyszy, gdy się z drzwi zdejmuje rygiel — mówił poważnie Ojciec Brown.

— Książd sądzi...

— Sądzę, że to co pan słyszał, było otwieraniem drzwi, lecz nie zamykaniem. A teraz zostawmy drzwi otwarte i wyjdźmy.

Gdy stanęli na ulicy pod balkonem, ksiądz streszczał swe poprzednie wywody chłodnym tonem, niby jakiś odczyt o chemji.

— Powiedziałem, że człowiek może być w takim usposobieniu, że zdaje się patrzeć na coś bardzo odległego, a nie widzi, że to jest bardzo bliskie, tak bliskie, że nawet do niego podobne. To, co pan widział na drodze było dziwne i jakieś... powiedzmy... nietutejsze. Przypuszczam, że nie przyszło panu na myśl rozważyć to, co pan widział z balkonu?

Boyle patrzył na balkon i nic nie odpowiedział.

— Pomyślałby pan wówczas, że to niesłychane, żeby Arab mógł przejść całą cywilizowaną Anglję boso. Czy pan nie przypomina sobie, że pan był także boso?

Boyle odzyskał wreszcie mowę, ale powtórzył już wypowiedziane słowa:

— Jameson otworzył drzwi — powtórzył bezwiednie.

— Tak, Jameson otworzył drzwi i wyszedł na ulicę w nocnej koszuli, tak samo jak pan wyszedł na balkon. Złapał po drodze dwie rzeczy, które pan widział ze sto razy: długą niebieską portjerę, którą owinał sobie głowę i wschodni instrument, który pan widywał też często w tym stosie wschodnich osobliwości. Resztę zrobił nastrój i gra, doskonała gra aktorska, gdyż on jest doskonałym artystą występu.

— Jameson? — zawołał Boyle z niedowierzaniem. — Ależ to tak stara zasuszona mumja, że trudno mi go było zauważyć!

— Właśnie! To naprawdę było zrobione z artyzmem. Jeśli potrafił zagrać czarodzieja czy trubadura w przeciągu sześciu minut, dlaczegożby nie mógł grać urzędnika przez sześć tygodni?

— Jeszcze nie jestem zupełnie pewien jego celu...

— Cel został osiągnięty, albo prawie że osiągnięty. Wziął już sobie złotą rybę, bo do tego miał dwadzieścia co najmniej razy sposobność. Ale gdyby ją wziął zwyczajnie, każdyby odrazu zrozumiał, że miał dwadzieścia razy sposobność. A odgrywając tajemniczego czarodzieja z końca świata, odsuwał myśli aż do Arabji, czy Indyj, co mu się doskonale udało, bo i pan z trudem wierzy, że cała sprawa była tak bliska domu. Było to zbyt bliskie, żeby można było zobaczyć.

— Jeżeli tak było rzeczywiście, to jednakże ryzyko było wielkie, ale udało się doskonale. To prawda, że nie slyszalem, aby ktoś mówił z ulicy, gdy Jameson stał na balkonie, więc to się zgadza. I sędzę, że miał dosyć czasu, aby wyjść na ulicę, zanim obudziłem się na dobre i wyszedłem na balkon.

— Każde przestępstwo udaje się wtedy, gdy świadek nie obudzi się za wcześnie, a przeważnie bywa, że budzimy się za późno. I ja obudziłem się teraz za późno, bo przypuszczam, że musiał już zemknąć, przed zdjęciem czy też po zdjęciu jego odcisków palców.

— Książd kochany obudził się wcześniej niż kto inny, a ja chyba w tym sensie nie obudziłbym się nigdy. Jameson był tak poprawny i tak bezbarwny, że zupełnie o nim zapomniałem.

— Strzeż się pan człowieka, o którym zapomniałeś! Jest on człowiekiem, który potrafi wykorzystać pana. Ale i ja nie podejrzewałbym go nigdy, gdyby mi pan nie powiedział, że slyszal ryglowanie drzwi.

— Wszystko więc zawdzięczam księdzu! — zapewniał gorąco Boyle.

— Wszystko państwo zawdzięczacie pani Robinson — odparł książd z uśmiechem.

— Pani Robinson? — zapytał ze zdziwieniem sekretarz. — Gospodyni?

— Strzeż się pan kobiety, o której zapomniałeś. Nawet jeszcze bardziej niż mężczyzny. Jameson jest pierw-

szorzędnym kryminalistą, jest doskonałym aktorem, a przytem doskonałym psychologiem. Taki człowiek, jak hrabia nie słyszy nigdy żadnego głosu, prócz własnego, a Jameson umie słuchać wtedy, gdy pan o nim zupełnie zapomniał i zbiera materiał do swego romansu i umie dobrać odpowiednią nutę, aby pana pchnąć na manowce. Ale popełnił błąd w psychologii pani Robinson.

— Nie rozumiem, jaka jest jej rola w tej sprawie.

— Jameson nie spodziewał się, że drzwi są zaryglowane. Rozumiał wielu mężczyzn, a głównie tak beztroskliwych jak pan i pański chlebobdawca, którzy powtarzają ciągle, że coś powinno być zrobione, albo mogłoby być zrobione. Ale jeżeli pan zwierzy się kobiecie, że coś powinno być zrobione, zawsze grozi niebezpieczeństwo, że ona właśnie to nagle zrobi.

ROZDZIAŁ III.

ZNIKNIĘCIE VAUDREYA.

Sir Artur Vaudrey ubrał się w jasny letni garnitur, na siwą głowę włożył ulubiony swój biały kapelusz i żwawym krokiem wyszedł z domu na drogę, biegnącą wzdłuż rzeki, ku małej grupie domków, podobnych do zabudowań gospodarskich jego wiejskiego dworu. Wszedł do wioski i zniknął... Zniknął, jak za czarodziejskim skinieniem wróżki.

Zniknięcie tem było dziwniejsze, że towarzyszyły mu zwykle, pospolite okoliczności.

Tych kilka domków trudno nawet było nazwać wsią. Na małej uliczce wśród pustych pól i łąk stało kilka sklepów, służących najpilniejszym potrzebom sąsiadów, czyli paru farmerom i dworowi. Na progu była jatka, gdzie po raz ostatni widziano Sir Artura.

Widziało go tam dwóch młodych ludzi, mieszkających również we dworze. Jeden z nich Evan Smith spełniał obowiązki sekretarza, drugi John Dalmon dotrzymywał towarzystwa Sir Arturowi.

Obok rzeźnika był sklep zaiste uniwersalny, gdzie można było wszystkiego dostać. W kramiku tym stara niewiasta sprzedawała słodycze, piłki do golfa, piłki sznurkowe i bardzo wymiętoszone materiały piśmienne. Tu przy nim był

sklep tytuniowy i tam skierowali się obaj młodzi ludzie, rzuciwszy po raz ostatni spojrzenie na Sir Artura, stojącego w drzwiach sklepu rzeźnika. Za temi sklepami znajdowała się niepozorna pracownia sukien, prowadzona przez dwie stare panny. Dalej stała jasna, połyskująca jaskrawemi barwami budka, gdzie przechodnie mogli się uraczyć wielkim puharem bladej, zielonkawej lemoniady.

Na tem kończył się szereg magazynów, gdyż zwykła wiejska gospoda stała samotnie już na szosie, zdala od wsi. Między gospodą a wsią krzyżowały się drogi i tam stał policjant, zajęty w tej ważnej chwili rozmową z wygalowanym woźnym z klubu automobilistów. Obaj potwierdzili zgodnie, że Sir Artur wcale tędy nie przechodził.

Była to wczesna godzina pięknego letniego dnia, kiedy ten stary jegomość kroczył wesoło drogą, wywijając laską i wymachując żółtymi rękawiczkami. Lubił ubrać się elegancko, czynił to jednak z wielkim smakiem, odpowiednio do swego wieku. Uderzająca w nim była rzeźkość i siła, a kędzierzawe włosy bardziej wyglądały na jasno blond niż na siwe. Gładko wygolona twarz, z orlim, jak u księcia Wellingtona nosem, była zupełnie przystojna, tylko niepomierne wypukłe oczy były jedyną nieproporcjonalnością jego rysów. Zmysłowe usta zaciskał silnie, jakby siłą woli. Był squire'em*) i właścicielem tej małej wioski.

Sir Artur codziennie odbywał swój zwykły spacer do wsi, załatwiał jakiś interes w którymś ze sklepów i wracał do domu. Cała przechadzka nie trwała nigdy dłużej nad pół godziny.

Obaj młodzi ludzie kupiwszy papierosów, też mniej więcej w tym samym czasie wrócili do domu. W powrotnej drodze nie spotkali nikogo, zauważyli jedynie nad rzeką szerokie plecy doktora Abbota, należącego również do grona

*) *Squire* — tytuł nadawany w Anglii najbardziej wpływowej osobistości z pośród ziemiaństwa (przyp. tłum.).

domowników Sir Artura. Doktor siedział na brzegu i cierpliwie łowił ryby.

Kiedy wszyscy trzej wrócili do domu na śniadanie, nie zastanawiali się wcale nad nieobecnością squire'a, ale gdy dzień mijał, a ten nie zjawił się na żaden posiłek, zaczęto się dziwić, a Sybila Rye, osoba, prowadząca gospodarstwo była tem poważnie zaniepokojona. Wybiegano ciągle do wsi na poszukiwanie, bez skutku jednak, gdyż na żaden ślad nie natrafiono. A gdy zapadł wieczór, cały dom ogarnęło przerażenie. Sybila posłała po jedynego swego przyjaciela, który kiedyś pomógł jej wybrnąć z trudnego położenia — Ojca Browna. Ksiądz widząc, że zaszedł istotnie poważny wypadek, zgodził się pozostać dłużej i rozejrzeć się w sytuacji.

Nazajutrz o świcie nie było jeszcze żadnych wiadomości, ale Ojciec Brown był już na nogach i poszukiwania swe prowadził w dalszym ciągu. Krępą jego postać widziano na ścieżce ogrodowej nad samym brzegiem rzeki, skąd rozglądał się po okolicy swemi krótkowzrocznemi, zamglonemi nieco oczyma. Dostrzegł wówczas, że prócz niego był jeszcze ktoś, równie jak on niespokojnie przechadzający się po wybrzeżu. Ukłonił się więc Ewanowi Smith, sekretarzowi Sir Artura.

Był to wysoki, jasnowłosy młodzieniec. Minę miał bardzo znużoną, co było naturalne o tej porze, po całej nocy spędzonej w niepokoju. Ale tego rodzaju mina była u niego prawie zwykłą. Uderzało to może bardziej dlatego, że był to chłopak atletycznie rozwinięty, o płowej lwiej czuprynie i jasnych wąsiskach, pod którymi powinno rysować się (przeważnie udane, czasami naturalne) otwarte, wesołe usposobienie „angielskiego młodzieńca“. Tu jednak wzrok był błędny i oczy podkrążone, więc kontrast z tą wysoką piękną postacią młodzieńca z romansu uderzał każdego, jak coś złowrogiego. Ale Ojciec Brown uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

— Przykra sprawa — odezwał się poważnym tonem.

— Bardzo przykra dla panny Rye — odrzekł młody człowiek chmurnie, — ale nie widzę powodu, dlaczego miałbym tać, że dla mnie teraz jest jeszcze gorsza, mimo, że panna Sybila jest zaręczona już z Dalmonem. Zgorszony ksiądz, prawda?

Ojciec Brown nie wyglądał na wielce zgorszonego, a nawet twarz jego nic właściwie nie wyrażała, odpowiedział tylko łagodnym głosem:

— Naturalnie, że wszyscy dzielimy jej niepokój. Nie ma pan jakich nowych wiadomości, czy też jakich przypuszczeń w tej sprawie?

— Nie mam żadnych wiadomości właściwie — odrzekł Smith, — a przynajmniej z zewnątrz. A co do przypuszczeń... — i zapadł ponownie w ponure milczenie.

— Chciałbym bardzo usłyszeć pańskie przypuszczenie — prosił ksiądz uprzejmie. — Mam nadzieję, że pan tę moją prośbę nie będzie uważał za skonstatowanie pewnych podejrzeń.

Młody człowiek nie można powiedzieć, żeby drgnął, ale w każdym razie poruszył się niespokojnie i spojrzał uważnie na księdza, a namarszczył się tak, że zapadłe jego oczy ukryły się w cieniu brwi.

— Ma ksiądz właściwie słusność — rzekł wreszcie. — A ja, to co wiem, muszę koniecznie komuś powiedzieć, Ksiądz zaś wydaje mi się osobą, której będę mógł to bezpiecznie wyznać.

— Pan wie, co się stało z Sir Arturem? — zapytał Ojciec Brown tak obojętnym tonem, jakby to był najzwyczajniejszy wypadek.

— Tak, — odparł szorstko sekretarz — zdaje mi się, że wiem, co się stało z Sir Arturem...

— Jaki piękny poranek... — odezwał się słodki głos — taki piękny, a takie smutne spotkanie...

Tym razem sekretarz drgnął, gdy na ścieżkę ogrodową, oświetloną już słońcem, padł wielki cień doktora Abbotta. Dr. Abbott był jeszcze w szlafroku, pięknym, wschodnim

szlafroku, pokrytym barwnymi kwiatami i smokami i sam był podobny do wspaniałego klombu kwiatów, rosnących pod płomiennem słońcem południa. Na nogach miał wielkie płaskie pantofle, które tłumili jego kroki i dlatego nie słyszeli wcale gdy się do nich zbliżał. Bo trudnoby przypuścić, że mógł go przynieść powiew zefiru, był to bowiem rosły, barczysty mężczyzna z ogorzałą, dobroduszną twarzą, zarosłą staromodnemi, siwemi bokobrodami i bujną brodą. Głowę czcigodną otaczały gęste, długie, siwe włosy. Wąskie szparki oczu były jeszcze trochę zaspane, bo coprawda był już trochę za stary na to, żeby wstawać tak wcześnie. Wyglądał jednak krzepko i zahartowanie, niczem stary farmer lub jaki wilk morski, który zaznał wszelkich burz na morzu i na lądzie. Jako domownik wielkiego dworu squire'a był jedynym człowiekiem w równym mu wieku.

— Rzeczywiście, że to zadziwiające... — odezwał się, kiwając głową. — Te małe domki, podobne są do domków lalek, zawsze są otwarte z frontu i z tyłu, i nie wiem, czy znajdzie się tam jaki zakamarek, gdzie możnaby kogoś ukryć, nawet gdyby kto tego chciał koniecznie. Wczoraj z Dalmonem zbadaliśmy je szczegółowo. Siedzą tam przeważnie stare babcie, które prawie nie umiałyby zabić nawet muchy. Wszyscy mężczyźni są przy żniwach, prócz rzeźnika, a Artura widziano, jak wychodził od rzeźnika. Nie mogło również coś zdarzyć się nad rzeką, gdzie prawie cały dzień łowiłem ryby.

Spojrzał na Smitha, a oczy jego nie były teraz zaspane, lecz odrobinę chytre.

— Sądzę, że panowie obaj możecie zaświadczyć, żeście mnie widzieli siedzącego tam, podczas przechadzki.

— Możemy — odparł lakonicznie Smith, jakby zniecierpliwiony przerwą w rozmowie.

— Przypuszczam jedną rzecz... — ciągnął dalej dr. Abbott, ale i jemu teraz przerwano. Jeszcze jedna osoba ukazała się w ogrodzie. Lekkim, żwawym krokiem John Dalmon przeszedł szybko przez zielony trawnik między

klombami kwiatów i stanął przy rozmawiających z papierem jakimś w ręku. Ubrany był skromnie, twarz miał smagłą o regularnych, napoleońskich rysach i bardzo smutne oczy. Oczy tak smutne, jak oczy umarłego. Wygląd był młodzieńczy, lecz włosy na skroniach siwiejące.

— Otrzymałem telegram z policji — odezwał się. — Depeszowałem w nocy, więc dają mi znać, że wysłali już swych ludzi. Czy nie wiesz doktorze, kogoby należało zawiadomić o tym wypadku? Kogo z krewnych, czy coś podobnego?

— Artur miał przecież siostrzeńca — odrzekł doktor. — Niech pan idzie ze mną, zdaje się, że będę mógł dać panu jego adres... i powiedzieć coś niecoś o nim.

Poszli razem ku domowi, a gdy się już oddalili, Ojciec Brown zapytał, jakby nie było żadnej przerwy:

— Więc pan mówił?...

— Książdz ma zimną krew. Przypuszczam, że wpływa na to wysłuchiwanie spowiedzi. I mnie się teraz zdaje, że odbywam spowiedź. Ale taki stary słoń wśliznąwszy się, jak wąż między nas, mógłby każdemu zmącić nastrój do spowiedzi. Ale chyba wybrnę jakoś z tego, chociaż nie będę mówił o sobie, tylko o kimś innym.

Zamilkł, targając wąsa. Nagle przemówił znów:

— Jestem przekonany, że Sir Artur uciekł i wiem także dlaczego.

Jestem w podłym położeniu i każdyby przyznał, że popełniam podłość... Czynię jak donosiciel, jak tchórz, a sam w swym przekonaniu spełniam tylko obowiązek.

— Pan sam musi być swym sędzią — odparł z powagą Ojciec Brown. — Jakiż jest pański obowiązek?

— Jestem w fałszywym położeniu, — mówił z goryczą młody człowiek — bo muszę mówić o swym rywalu i to zwycięskim rywalu, a nie wiem, co innego mogę zrobić... Książdz pytał mnie o powody zniknięcia Vaudreya. Jestem głęboko przekonany, że Dalmon jest tym powodem.

— Pan sądzi, — zapytał ksiądz z rozważą — że Dalmon zabił Sir Artura?

— Nie! — wybuchnął Smith ze zdumiewającą gwałtownością. — Nie! nie! po stokroć razy nie! Mógł co innego zrobić, ale tego napewno nie zrobił. Nie wiem czem jest, ale nie jest zabójcą! Ma najlepsze alibi... ma świadectwo człowieka, który go nienawidzi. Dla miłości Dalmona nie będę krzywoprzysięgał, ale przed każdym sądem mogę przysiąc, że wczoraj nic temu starcowi nie zrobił. Przez cały dzień byliśmy razem obaj z Dalmonem i on we wsi, w mojej obecności tylko kupował papierosy, a w domu tylko palił te papierosy i czytał w bibliotece. Nie! jestem przekonany, że jest przestępcą, ale nie zabił Vaudreya. Powiem nawet więcej, ponieważ jest przestępcą, dlatego nie zabił Vaudreya.

— Dobrze — odezwał się Ojciec Brown, wysłuchawszy cierpliwie — więc cóż to znaczy?

— Znaczy, że jest zbrodniarzem, który popełnił inną zbrodnię, a w tej zbrodni zależy na tem, żeby Vaudrey pozostał przy życiu.

— Ach, rozumiem!

— Znam Sybilę Rye doskonale, a jej charakter gra główną rolę w tej sprawie. Jest to piękny pod każdym względem charakter, to znaczy, że jest szlachetnej wartości materiałem, zbyt jednak delikatnym. Należy ona do tego rodzaju ludzi, dla których uczciwość ma tylko jedno znaczenie. Nie rozumieją żadnych odchyień i nie posiadają tego zdrowego rozsądku, który potrafi zdobyć się na pobłażliwość. Jej wrażliwość jest wprost szalona, mimo to niema w niej cienia egoizmu. Historia jej jest ciekawa. Kiedyś znalazła się w ciężkich warunkach, bez grosza przy duszy i wówczas Sir Artur wziął ją do siebie i traktował z wielkim szacunkiem, co było zdumiewające, bo jakkolwiek nie mam nic do zarzucenia staremu gentlemanowi, taki czyn był zupełnie nie w jego stylu. Sybila gdy ukończyła lat siedemnaście, nagle zrozumiała postępowanie swego opiekuna.

Oświadczył się o jej rękę. Teraz zbliżam się do najciekawszego rozdziału tej historii. W jakiś sposób Sybila dowiedziała się od kogoś (podejrzewam, że od starego Abbotta), że Sir Artur w swej bujnej młodości popełnił jakieś przestępstwo, czy też coś komuś uczynił złego, co było powodem dla niego poważnych przykrości. Nie wiem, jakiego rodzaju było to przestępstwo, ale stało się to zmorą dla dziewczyny w jej niedojrzałym, sentymentalnym wieku. Widziała w nim potwora, co było dla niej jeszcze straszniejsze przy zamierzonym związku małżeńskim. To, co zrobiła, najlepiej ją maluje. Z nietajonym wstrętem, a z heroiczną odwagą powiedziała mu prawdę drżącymi wargami. Przyznała, że jej odraza może jest chorobliwa, uznała to nawet, jako może utajone obłąkanie. Ku wielkiemu jej zdumieniu i uldze, Vaudrey przyjął to spokojnie i z uprzejmością i nigdy już nie wszczynał tego tematu. Uznanie jej dla jego szlachetności wzrosło jeszcze bardziej przy następnym epizodzie.

Na jej osamotnione życie zaczął wywierać wpływ równie osamotniony człowiek. Obozował on na jednej z wysepek na rzece, niczem jaki pustelnik i przypuszczam, że ta tajemniczość czyniła go pociągającym, jakkolwiek nie przeczę, że wogóle jest pociągającym młodzieńcem. Był gentlemanem, był bardzo dowcipny, mimo pewnej melancholji w usposobieniu, co — sędzę, przyczyniło się do rozżarzenia miłości. Człowiekiem tym był naturalnie Dalmon. Do dzisiejszego dnia nie wiem, jak przyjęła jego oświadczenia, wiem tylko, że pozwoliła mu zobaczyć się z jej opiekunem. Mogę tylko sobie wyobrazić jej oczekiwanie przeżycia i męki pełne, jak ten stary galant przyjmie obecność rywala. Ale i teraz uznać musiała, że była dla niego niesprawiedliwa. Przyjął młodego człowieka z serdeczną uprzejmością i wydawał się wielce uszczęśliwiony projektem tego małżeństwa. Zawarli nawet ze sobą najściślejszą przyjaźń, chodzili razem na polowania i na ryby, nie rozstawali się prawie nigdy. Naraz pewnego dnia nadwrażliwość jej była narażona znów na przykrą próbę. Dalmonowi w roz-

mojowi z nią wymknęło się zdanie: „że stary Vaudrey niewiele się zmienił od trzydziestu lat“. Zrozumiała naraz prawdę tej serdecznej zażyłości. Kłamstwem było to zaznajamianie się, kłamstwem była ta serdeczna gościnność, ci ludzie najwidoczniej znali się przedtem. Dlatego młodszy przybył tu w tajemnicy, dlatego starszy pomagał tak chętnie i popierał małżeństwo... Ciekaw jestem, co ksiądz o tem myśli?

— Wiem tylko, co pan o tem myśli — odrzekł z uśmiechem Ojciec Brown. — I to jest bardzo logiczne. Mamy tu Vaudreya z jakąś ciemną przeszłością, zjawia się jakiś nieznajomy i otrzymuje mniej niż żądał... Jednem słowem uważa pan Dolmana za szantażystę.

— Tak, a oprócz tego myślę jeszcze o czemś gorszem. Ojciec Brown zastanowił się chwilkę i odrzekł:

— Pójdę i pomówię z doktorem Abbottem.

Gdy po paru godzinach wyszedł z domu, może i mówił z doktorem Abbottem, ale ukazał się w towarzystwie zderwowanej Sybili Rye, bladej panienci o rudawych włosach i delikatnym profilu. Patrząc na nią, można było uwierzyć w trafność spostrzeżeń Evana. Przypominała lady Goddive i legendy o męczeństwach dziewic. Jedynie niewinność umie być tak spokojną w bezwzględnej swej uczciwości. Smith zbliżył się do nich i przez chwilę stali na łące, rozmawiając.

Dzień, który już od świtu zapowiadał się pięknie, teraz rozpalił się upałem, rozjarzył się słońcem, ale Ojciec Brown piastował pod pachą swój gruby parasol, a nawet zapiął się szczelnie na wszystkie guziki, jakby miał własną piersią odeprzeć nawałnicę. Może to było bezwiedne, a może burza nie miała być zjawiskiem fizycznym.

— Jak ja tego wszystkiego nienawidzę — mówiła Sybilla przyciszonym głosem, — bo już plotki się rozpoczęły... Podejrzenia przeciw każdemu... John i Evan mogą za sobą wzajemnie świadczyć. Dr. Abbott miał straszną scenę

z rzeźnikiem, który uważa, że jest najbardziej podejrzany, więc wzamian rzuca podejrzenia na wszystkich.

Evan miał bardzo zakłopotaną minę.

— Sybilo, nie mogę wiele rzeczy powiedzieć! — zawołał porywczo — ale uważam, że wszystkie te podejrzenia są zupełnie zbyteczne. Cała ta sprawa jest okropna, ale nie możemy przypuszczać, aby zaszedł jaki gwałt.

— Czy już ksiądz wyrobił sobie jakie zdanie o tej sprawie? — zapytała panna, patrząc badawczo na księdza.

— Sam usłyszałem pewne przypuszczenie, które wydaje mi się przekonywujące — odrzekł ksiądz.

Patrzył sennym wzrokiem na rzekę, Smith i Sybila zaczęli o czemś żywo rozmawiać zniżonym głosem, więc ksiądz, ruszył w zamyśleniu brzegiem rzeki, i zanurzył się w zarośla drobnych drzewek na urwistym brzegu. Silne słońce prażyło lekki woal drobnych drżących listków, które sprawiały wrażenie zielonych płomyków. Tam kryły się roje niewidzialnych ptasząt tak rozśpiewanych, że drzewo zdawało się mieć tysiące gardziołek. Naraz Evan usłyszał, że go ksiądz woła z zarośli nadbrzeżnych. Pośpieszył w tę stronę i spotkał wracającego Ojca Browna. 5711.

— Nie pozwól pan panie Sybili iść w tamtą stronę — odezwał się cicho. — Niech ją pan poprosi do telefonu, czy coś podobnego... I proszę tu zaraz wrócić...

Evan Smith wrócił do Sybili z jakąś desperacką prawie obojętnością, ale ona nie należała do osób, któreby trudno było zająć drobnymi domowymi sprawami. Szybko zniknęła w domu. A Evan Smith poszedł na poszukiwanie Ojca Browna, który też zawieruszył się gdzieś w zaroślach. Zaraz za grupą drzew była w ziemi szczelina, gdzie rzeczny mul osiadł grubą warstwą na wilgotnym piasku. Ojciec Brown stał na krawędzi tej rysy, zaglądając w nią, ale czy bezwiednie, czy też rozmyślnie trzymał kapelusz w ręce, chociaż silne słońce zalewało mu głowę.

— Niech pan to sam zobaczy, — odezwał się z cięż-

kiem westchnieniem — bo musi pan to zaświadczyć. Tylko niech pan się przygotowuje...

— Przygotuje? do czego?

— Do okropnego widoku, jakiego nigdy chyba w życiu nie widziałem — odrzekł Ojciec Brown.

Evan Smith wstąpił na krawędź szczeliny i z trudnością powstrzymał okrzyk zgrozy.

O mało nie stąpnął na twarz Sir Artura, który leżał z głową odrzuconą prawie na brzeg szczeliny z wytrzeszczonymi oczyma i uśmiechnięty. Siwe włosy rozwiały się tuż pod nogi Evana, który patrzył na postać nieboszczyka z przeciwnej strony, — od strony czoła. Kiedy patrzył w ten sposób, zdawało się Evanowi, że widzi jakąś ohydłą zmołę, że człowiek ten utknął głową w jakiś niezrozumiały sposób w tej szczelinie...

Co to się stało? Czy to możliwe, aby Vaudrey tak się pośliznął i wpadł do tej rozpadliny w taki niezwykle sposób? Korpus był zgięty, skurczony, jakiś zdeformowany... Ale Evan przyglądając się uważniej, spostrzegł, że podległ złudzeniu, patrząc na ciało z przeciwnej strony. Było to ciało w skrócie perspektywicznym. Co to się stało? Czyżby zwarjował?

Evan patrzył długo i widział, że ciało objęła już sztywność śmierci.

— Z tej strony lepiej go pan zobaczy — odezwał się Ojciec Brown. — Gardło ma poderżnięte.

Smith drgnął nagle.

— Ma ksiądz rację, mówiąc, że tak strasznego widoku nigdy jeszcze nie oglądał — przemówił wreszcie. — Może to dlatego, że patrzę na twarz z przeciwnej strony. Twarz tę widywałem codziennie, przy śniadaniu i przy obiedzie przez dziesięć lat. Zawsze była miła i spokojna... A teraz... Niech ksiądz spojrzy z tej strony... To twarz djabelska!...

— Twarz właściwie jest uśmiechnięta, — odparł ksiądz spokojnie — co również nie jest jeszcze ostatniem słowem zagadki. Nie każdy człowiek potrafi uśmiechać się, gdy

mu gardło podrzynają, nawet gdy to sam sobie robi. Taki uśmiech, przy tych wytrzeszczonych oczach sprawia właśnie to przykre wrażenie. Artyści często odwracają swe rysunki „do góry nogami“, aby sprawdzić ich dokładność. Jeżeli zdarza się, że model trudno jest odwrócić, jak np. górę Matterhorn, stają sami na głowie, i patrzą z pomiędzy nóg.

Ksiądz umyślnie rozgała się, żeby jego towarzysz miał czas wzmocnić swe nerwy, ale zakończył poważniejszym tonem:

— Zupełnie zrozumiałe, że pan został wstrząśnięty tym widokiem. Na nieszczęście wstrząśnięcie to czemś innem jeszcze.

— Nie rozumiem.

— Wstrząśnięcie naszą całą świeżo zbudowaną teorią — odrzekł ksiądz i zaczął wdrapywać się na brzeg.

— Może on sam sobie to zrobił — odezwał się nagle Smith. — w tym razie zrozumiałą byłaby jego ucieczka i doskonale pasowałaby do naszej teorii. Wyszukał sobie miejsce zaciszne i popełnił samobójstwo.

— Wcale tu nie przyszedł, a przynajmniej nie sam i nie łodem. On tu nie został zabity, tu nie widać wiele krwi. Słońce wysuszyło włosy i ubranie zupełnie, ale są dwa ślady mokre na piasku. Do tego ujścia rzeki sięga przypływ morski i tworzy wir, który wcisnął ciało w rozpadlinę i pozostawił je tutaj po odpływie. Ale ciało musiało przedtem płynąć rzeką, prawdopodobnie od strony wsi, bo rzeka przepływa tuż pod całym szeregiem domków i sklepów. Biedny Vaudrey zginąć musiał we wsi z pewnością, ale nie sądzę, żeby miał popełnić samobójstwo. Cała rzecz w tem, ktoby mógł go zabić tak prawie na oczach ludzkich?

Zaczął końcem parasola rysować jakieś niezrozumiałe arabskie na piasku.

— Rozważmy! W jakim porządku idą te sklepy? Tak... naprzód rzeźnik. Znakomity przedstawiciel wielkiego rzeźnickiego noża. Ale sam pan widział, że Vaudrey stamtąd wyszedł. A przecież nie jest prawdopodobne, że kiedy

stał w sklepie, rzeźnik powiedział mu: „Dzień dobry panu. Proszę mi pozwolić poderżnąć sobie gardło. Bardzo dziękuję!... Teraz następny“. A Sir Artur nie jest człowiekiem, któryby mógł w takiej chwili uśmiechać się... Był to silny, krzepki mężczyzna, z gwałtownem nawet usposobieniem. A któżby inny, prócz rzeźnika mógł zmierzyć się z nim? Następny sklep jest własnością starej zupełnie kobiety. Dalej idzie sklep tytuniowy. Właściciel jego jest wprawdzie mężczyzną, ale małym i nieśmiałym. Potem pracownia z dwiema staremi pannami. Potem budka z lemoniadą, ale właściciel jej jest w szpitalu, a żona jego zajmuje się sklepem. Jest we wsi kilku chłopaków, robotników, lub włóczęgów, ale z nich każdy był przy jakimś zajęciu. Budka z lemoniadą jest na końcu wsi, za nią niema nic, prócz gospody, a przed nią — policjanta.

Skówką parasola zrobił w piasku dołek, który miał wyobrażać policjanta i patrząc na rzekę, zadumał się markotnie. Wreszcie wykonał jakiś niezrozumiały gest ręką, ruszył szybko naprzód i zatrzymał się przed nieboszczykiem.

— Ach! — zawołał, prostując się, westchnąwszy przy tem głęboko. — Wicks! Czemuż nie pamiętałem u Boga o tym właścicielu sklepu tytuniowego?

— O czym u licha ksiądz myśli? — zapytał naprawdę już zdesperowany Smith, bo Ojciec Brown toczył tylko oczyma i powtarzał: — Wicks! Wicks! — jakby to były wyrazy kryjące złowrogie znaczenie.

— Nie uważał pan, — odezwał się po chwili ksiądz — coś bardzo ciekawego na twarzy?

— Ciekawego? O Boże!... — zawołał Evan z trwogą. — Jakżeż? przecież ma podcięte gardło...

— Mówię o twarzy — poprawił Ojciec Brown. — A przytem, czy pan nie widział, że ma zranioną rękę, a nawet obandażowaną?

— O, to niema z tem nic wspólnego — zapewnił Evan. — To stało się jeszcze przedtem i było przypadkowe.

Zranił się w rękę stłuczonym kałamarzem, kiedy pracowaliśmy razem.

— Jednakże jest w tem coś wspólnego... — odparł Ojciec Brown.

Zapadło milczenie. Ojciec Brown chodził markotny po brzegu, ciągnąc za sobą parasol i mrucząc ciągle: „Wicks“. Wyraz ten wzbudzał w Evanie już dreszcz trwogi. Naraz ksiądz podniósł parasol i wskazał nim przystań dla łodzi między krzakami.

— Czy jest jaka łódka? Chciałbym, żeby mię pan przewiózł przez rzekę. Rzuciłbym okiem na tyły tych domków. Niema czasu do stracenia. Zjadą się władze i znajdą ciało, ale my zaryzykujemy i idźmy dalej.

Smith już skręcał łódkę ku wiosce, gdy Ojciec Brown znów przemówił:

— Od doktora Abbotta dowiedziałem się szczegółów dawnej sprawy Vaudreya. Osobliwa historja o jakimś urzędniku egipskim, który dawno już bardzo obraził Vaudreya, mówiąc, że prawy muzułmanin stroni od świni i od Anglika, ale woli nawet świnię... Jednem słowem coś podobnego powiedział. Co wtedy zaszło, nie wiem, ale po wielu latach sprawa ta wznowiła się, gdy ten Syn Wschodu odwiedził Anglję. Vaudrey, jak wiadomo pasjonat, przywłókł go do chlewa na folwarku, wrzucił go tam, łamiąc mu przytem nogę i rękę i trzymał go tam do rana. Było z tego dużo hałasu, oczywiście, ale ustalono, że Vaudrey działał w przystępie patryjotycznego oburzenia, które łatwo zrozumieć i wybaczyć. Swoją drogą dziwne robi wrażenie człowiek tak zelżony, który potrafi czekać spokojnie swej pory odwetu.

— Czy ksiądz przypuszcza, że to ma coś wspólnego ze sprawą, którą teraz roważamy?

— Sądzę, że ma dużo wspólnego z tem, co obecnie rozważam.

Płynęli teraz pod niskim murem, koło schodków, wiodących do ogródków domostw wiejskich. Ojciec Brown

liczył je uważnie, wskazując parasolem, a gdy doliczył do trzeciego, powtórzył znów:

— Wicks tytuniarz... dziwnym trafem Wicks... działać jednak muszę tylko na podstawie własnego domysłu. Ale naprzód muszę panu powiedzieć, co mi przyszło na myśl, gdym patrzył na twarz Sir Artura.

— Cóż takiego? — zapytał Evan, zatrzymując wiosła na chwilę.

— Znany był jako wielki elegant, a tymczasem twarz jego była tylko do połowy ogolona... Czy może pan zatrzymać się tu na chwilę? Łódź przywiązemy.

Po paru minutach przeleźli przez niski mur i wchodzili po łątanych schodkach do małego ogródka, pełnego zwykłych grządek z kwiatami i warzywami.

— Uważa pan — robił uwagi Ojciec Brown. — Wicks posadził kartofle. Jakieś skojarzenie z Sir Walterem Raleigh, niewątpliwie. Masę kartofli i masę worków tu leży. Tutejsza ludność nie zapomniała wiejskich zwyczajów i potrafi wykonywać kilka czynności naraz. Ale Wicks wykonywał często tylko jedną czynność nadprogramową, co nie przyszłoby mi nigdy na myśl, gdybym nie zobaczył niedogolonej twarzy Vaudreya. Bez wahania nazwie pan ten sklep sklepem tytuniowym, ale właściciel jego był jednocześnie cyrulikiem. Vaudrey zranił się w rękę i nie mógł się sam ogolić. Przyszedł więc tutaj. Czy to panu nie nasuwa nie na myśl?

— Bardzo wiele — odrzekł Smith, — ale sądzę, że księdzu jeszcze więcej.

— Tak, nasuwa mi zagadnienie, w jakich warunkach mógł się znajdować silny, o gwałtownym temperamencie mężczyzna, żeby mógł się mile uśmiechać, gdy mu podrzynano gardło?

Przeszli przez ciemny korytarz i weszli do pokoju, mieszczącego się za frontowym sklepem. Izba ta była ciemnawa. Przez potłuczone, brudne szyby z trudem prześwadczało się światło dzienne. Przypominała mroczną, zielon-

kawą głab sadzawki. Była jednak na tyle widną, że można było dojrzeć ostre narzędzia fryzjerskie i zatrwożoną twarz Wicksa.

Oczy Ojca Browna błdziły po pokoju, który wyglądał na świeżo wyszorowany i uporządkowany, dopóki spojrzenie nie padło na jakąś rzecz w ciemnym kącie za drzwiami. Był to wiszący na kolku kapelusz. Biały kapelusz, znany dobrze całej wsi. Tak widoczny i znany na ulicy, tu zdawał się być drobiazgiem, o którym trudno było pamiętać, chociaż starannie wymyło się podłogę i zniszczyło zaplamione gałgany.

— Zdaje się, że Sir Artur Vaudrey golił się tu wczoraj? — spytał Ojciec Brown stanowczym tonem.

Przerażonemi oczyma patrzył Wicks na te dwie osoby, wyłaniające się z ciemnych zakamarków jego domu, niby na zjawy duchów z lochów grobowych. Jednak od razu widać było, że nie jest to zabobonny lęk, tylko poważniejsze przerażenie.

Wzdrygnął się, a nawet cofnął się w ciemny kąt pokoju.

Jakby cień padł na całe otoczenie pokoju, tylko z kąta świeciły szatańskim błyskiem wielkie okulary Wicksa.

— Proszę mi tylko odpowiedzieć na jedno pytanie — odezwał się Ojciec Brown. — Czy miał pan powód do jakiejś niechęci względem Sir Vaudreya?

Fryzjer stojący ciągle w kącie bąkał coś tak niewyraźnie, że Smith nic nie dosłyszał, ale ksiądz potrząsnął głową.

— Wiem, że pan miał. Niecierpiał go pan, ale dlatego pan go nie zabił. Czy pan sam powie, co tu zaszło, czy ja mam powiedzieć?

Trwała głęboka cisza, przerywana cykaniem zegara w kuchni, więc Ojciec Brown zabrał znów głos.

— Stało się tak: Kiedy pan Dalmon zatrzymał się przed pańskim sklepem: zapytał o jakieś papierosy, pan wyszedł ze sklepu, jak to często robią kupcy, aby upewnić się

o jakie papierosy chodzi. W tejże chwili Dalmon dojrzał w razurze za sklepem płową głowę Sir Artura, opartą na poręczy fryzjerskiego krzesła i zobaczył brzytwę, którą pan tam zostawił. Obie żywo odcinały się w świetle płynącym z tego małego okienka. Tak mało potrzebował czasu, aby wsunąć się do tego pokoju, wziąć brzytwę, podciąć gardło i wrócić do sklepu. Ofiara nie przestraszyła się nawet brzytwy i ręki. Vaudrey umarł, uśmiechając się do własnych myśli... I to jakich myśli! Sam Dalmon byłby niemi przerażony... Stało się to tak szybko i spokojnie, że pan Smith mógłby z czystem sumieniem przysiąc w sądzie, że obaj cały czas nie rozłączali się wcale.

Ale był ktoś, kto się tem zupełnie słusznie zatrwożył. Był to pan, panie Wicks. Miał pan scysję z właścicielem o jakieś zaległości czynszowe. Wrócił pan do razury i ujrzał swego wroga zamordowanego we własnym pańskim domu, własną pańską brzytwą... Nie mogło to wyglądać niewinnie. Nie miał pan żadnej nadziei, żeby móc się oczyścić z zarzutu morderstwa.

Wolał pan uprzętnąć wszystkie ślady, podłogę wyszorować, a ciało w worku od kartofli luźnie związanym w nocy wrzucić do rzeki. Udało się wszystko doskonale, pańska razura jest tylko w pewnych godzinach otwarta, zamknął więc ją pan i było dużo czasu na tę robotę. O wszystkim pan pamiętał, tylko ten kapelusz... Niech się pan nie boi... zapomnę o wszystkim, nawet o kapeluszu.

Ojciec Brown skończył i wolnym krokiem przeszedł przez sklep frontowy na ulicę, a za nim zdumiony Smith. W ciemnym pokoju pozostał skamieniały fryzjer.

— Widzi pan, — odezwał się Ojciec Brown do Ewana — jest to jedna z tych prawd, gdzie prawdziwy powód jest za słaby, aby dowodził zbrodni, a jednocześnie zbyt silny, aby skonstatować niewinność. Taki nerwowość byłby ostatnim człowiekiem, któryby rwał się do zabijania silnego, rosnącego mężczyzny dla głupiej sprzeczki o pieniądze, ale byłby pierwszym, któregoby steroryzował

lęk przed odpowiedzialnością... Ach, jakże odmienny zgola powód miał człowiek, który w istocie popełnił tę zbrodnię...

I ksiądz znów zadumał się głęboko, utkwivszy wzrok w próżnię.

— To straszne naprawdę... — szepnął Evan — oszkalowałem tego człowieka jako szantażystę i lajdaka, a teraz drętwię na myśl, że to on spełnił ten potworny czyn...

Oczy księdza były jeszcze nieruchome, jak człowieka patrzącego w otchłań. Wreszcie usta mu się poruszyły i wyszeptał słowa, brzmiące bardziej jak modlitwa niż zlorzezenie:

— Boże łaskawy, jakaż straszna zemsta!...

Evan dopytywał się, lecz ksiądz ciągnął dalej głośno swe myśli:

— Jakaż to straszna historia nienawiści. Jakaż okrutna pomsta jednego śmiertelnego robaka nad drugim!.... Czyż można dojrzeć dno tego bezdenne go serca ludzkiego, gdzie mają schron tak potworne pojęcia?... Boże, strzeż nas od pychy! Lecz ja nie umiem stworzyć obrazu w mym umyśle takiej nienawiści i takiej pomsty...

— Tak — odezwał się Smith — i ja nie mogę zrozumieć, dlaczego on zabił Vaudreya. Jeżeli Dalmon był szantażystą, łatwiej możnaby zrozumieć, gdyby Vaudrey go zabił. Poderżnięcie gardła było potwornym czynem, ale...

Ojciec Brown przystanął i zamrugał oczyma, jak człowiek zbudzony ze snu.

— Ach, to!... wcale o tem nie myślałem... Nie miałem na myśli zabójstwa w sklepie fryzjerskim, kiedy... kiedy mówiłem o potwornej historii tej zemsty. Miałem na myśli inną jeszcze straszniejszą historję zemsty, chociaż i ta jest okropna. Ta jednak jest łatwiejsza do zrozumienia, jakkolwiek nie każdyby się na taką zdobył. Właściwie był to akt samoobrony.

— Co? — zawołał sekretarz niedowierzająco. — Siedzi sobie człowiek spokojnie na krześle i uśmiecha się mile,

patrząc w sufit, a drugi skrada się z tyłu i podryzyna mu gardło... I to ksiądz nazywa aktem samoobrony?

— Ja nie mówię, że to jest usprawiedliwiona samoobrona. Mówię tylko, że zdarza się, że człowiek może być do tego doprowadzony, że w ten sposób broni się przed strasznym nieszczęściem, które byłoby także straszną zbrodnią. Ale ja myślałem o innej zbrodni. Aby ją zrozumieć, wróćmy do pańskiego pytania:

— Z jakiej racji szantażysta miałby być mordercą? — Otóż tu nasuwa się na myśl wiele wątpliwości i wiele błędów w rozumowaniu.

Zamilkł. Pragnął otrząsnąć się ze świeżych, zgrozy pełnych refleksyj i zbierał myśli, wreszcie zaczął zwykłym, spokojnym tonem:

— Pan obserwował dwóch mężczyzn, starego i młodego, przebywających zawsze razem i zgodnie układających matrymonjalne projekty; ale źródło ich zażyłości jest bardzo dawne i tajemne. Jeden jest bogaty a drugi ubogi i tu pan podejrzewa szantaż. Nie mijają się pan z prawdą, przynajmniej w tej mierze. Tylko, że pańskie podejrzenia są w niewłaściwą skierowane stronę. Pan uważa, że ubogi szantażuje bogatego, a tymczasem jest odwrotnie.

— Ależ to nonsens! — oponował sekretarz.

— Gorsze nawet niż nonsens, ale nie jest znów tak niezwykle. Niedawni jeszcze politycy, składający się z bogatych ludzi, szantażowali ubogą ludność. Pańska uwaga, że to jest nonsens, ma źródło w dwóch złudzeniach i te są właśnie bezsensowne. Pierwsze złudzenie, że bogaty człowiek nie pragnie zostać bogatszym, a drugi, że szantażuje się tylko dla pieniędzy. Otóż w tej sprawie należy rozwiązać to ostatnie właśnie złudzenie. Sir Artur działał nie z chciwości, tylko przez zemstę. Planował tak okrutną zemstę, że trudno nawet sobie wyobrazić.

— Ale za cóż miałby się mścić na Dalmonie?

— On nie na Dalmonie miał się mścić — odrzekł poważnie ksiądz.

Zapadło milczenie. Po chwili ksiądz rozpoczął znowu, zmieniając pozornie temat.

— Kiedy znaleźliśmy ciało, pan spojrzał na twarz od strony czoła i powiedział, że to twarz djabelska. A panu zdarzyło się to samo, co i zabójcy, który w ten sam sposób ujrzał twarz, przystępując od krzesła fryzjerskiego.

— Ależ było to chorobliwe urojenie — perswadował Evan. Nie miałem tego wrażenia, gdy na nią patrzyłem wprost i byłem do tej twarzy przyzwyczajony.

— Może jej pan nigdy nie widział wprost? Mówilem panu, że artyści obracają obraz albo model „do góry nogami“, jeżeli chcą dojrzeć wszystkie szczegóły. Może przy tych wszystkich śniadaniach i podwieczorkach przyzwyczaił się pan do djabelskiej twarzy.

— Do czego ksiądz zmierza, na Boga? — zniecierpliwił się Smith.

— Mówię w przenośni — odrzekł smutnie Ojciec Brown. Oczywiście Sir Artur nie był szatanem. Był to człowiek z charakterem, który mógł przekroczyć granice temperamentu, ale mógł również zwrócić się ku dobremu. Ale te wybałuszone, podejrzliwe oczy, te zaciśnięte, drgające usta, mogłyby coś panu powiedzieć, gdyby nie był pan tak do nich przyzwyczajony. Pan wie, że są organizmy ludzkie, w których rany nie chcą się goić. Otóż Sir Artur miał tego rodzaju charakter. Taki charakter nie posiada naskórka. Cierpiał na chorobliwą nadwrażliwość próżności. Te wytrzeszczone oczy były ciągle otwarte na bezsenność egoizmu. Wrażliwość nie zawsze jest cechą egoizmu. Sybila Rye na przykład ma taki sam delikatny naskórek, a postępuje jak święta. Ale wrażliwość Vaudreya rosła na zatrutej pyrze, która nie była nawet pewna siebie i zadowolona. Każde zadrażnienie na powierzchni jego duszy jątrzyło się. Tak właśnie było z tym Egipcjaninem wrzuconym do chlewa. Gdyby on go tam wrzucił odrazu, gdy go tamten nazwał świnia, byłoby to łatwe do wybaczenia i możnaby uspra-

wiedliwić uniesieniem. Ale w tym wypadku nie chodzi o ten chlew, tylko o rzecz większej wagi. Vaudrey pamiętał zniewagę długie lata i dopiero gdy umieścił Egipcjanina w chlewie uważał, że dał wyraz zemście właściwy i artystyczny... O Boże, on lubił, aby jego zemsta bywała właściwa i artystyczna.

Smith patrzył ciekawie na księdza.

— Więc ksiądz nie bierze pod uwagę tej sprawy z chlewem?

— Nie. Inną sprawę.—Opanował drżenie głosu i mówił dalej:

— Rozważając sprawę tego cierpliwego a pełnego fantazji zamysłu pomsty, tak bliskiego zbrodni, łatwiej nam zrozumieć inną sprawę. Czy był ktoś, kto także znieważył Vaudreya lub postąpił z nim w taki sposób, że on to uważał za śmiertelną zniewagę? Tak. Była to kobieta.

Uczucie zgrozy wyjrzało z oczu Evana. Słuchał księdza z natężeniem.

— Młode dziewczę, prawie dziecko dało mu rekuzę, ponieważ był przestępcą. Był rzeczywiście w więzieniu, bardzo krótko zresztą, za znieważenie Egipcjanina. Za tę rekuzę ten szaleniec powiedział sobie: „Dobrze, w takim razie zaślubisz mordercę“...

Wyszli na drogę i skierowali się ku dworowi. Szli brzegiem rzeki w milczeniu, wreszcie po chwili Ojciec Brown przemówił znów:

Vaudrey był w położeniu, że mógł robić z Dalmonem, co chciał, wiedząc, że ten niegdyś popełnił zabójstwo. Może nawet wiedział o innych przestępstwach swych towarzyszy młodości. Zabójstwo to może było niewykryte, a może już okupione. Dla nieopatrznych zbrodniarzy niema nic gorszego. A Dalmon wygląda na człowieka, który potrafi odczuwać wyrzuty sumienia, nawet po zabójstwie Vaudreya. Był więc w mocy Vaudreya i rozpoczęła się między nimi

walka o kobietę. Obaj bardzo sprytnie dążyli do swego celu. Jeden oświadczył się, bo liczył na swoje szczęście, drugi tymczasem dodawał sobie odwagi. Ale sam Dalmon nie wiedział, chociaż powinien był wiedzieć, co ten stary w istocie zamyślał.

Otóż przed paroma dniami Dalmon zrobił straszne odkrycie. Szedł dotychczas za namową Vaudreya, robił wszystko, (nie można powiedzieć, żeby niechętnie), co tamten chciał, był bowiem narzędziem w jego rękę i naraz zobaczył, że jak zużyte narzędzie złamano go i odrzucono w ką. Zwrócił uwagę w bibliotece na pewne notatki Vaudreya, które jakkolwiek w omówieniach, wyjaśniły mu, że Vaudrey przygotowuje informacje dla policji. Pojął całą potworność tego planu i zdębiał tak samo, jak i ja, kiedy to zrozumiałem. W chwili, gdy państwo młodzi wracaliby od ołtarza, pan młody byłby aresztowany i... powieszony. Wybredna dama, która odrzuciła człowieka skazanego za ledwie na parę dni więzienia, miałaby męża na szubienicy. Oto co Artur Vaudrey nazywał artystycznym zaokrągleniem sprawy...

Evan śmiertelnie blady, milczał. Zdala na drodze ukazała się wielka postać i szeroki kapelusz d-ra Abbotta, zbliżającego się śpiesznie do nich. Nawet zdaleka można było dojrzeć, jak było wielkie jego podniecenie. Ale oni byli jeszcze pod wrażeniem własnych myśli.

— Tak, miał ksiądz rację, mówiąc, że nienawiść jest strasznym uczuciem, — odezwał się wkońcu Evan. Ale wie ksiądz, jest coś, co mi sprawia wielką ulgę. Cała moja nienawiść do biednego Dalmona gdzieś się podziiała i to teraz, gdy się właśnie dowiedziałem, że jest podwójnym mordercą.

W milczeniu skracali odległość, dążąc na spotkanie dra Abbotta, który wymachiwał rękoma w jakiś desperacki sposób, a wiatr miotał jego siwą brodą.

— Straszne wiadomości! — zawołał. Znalezione cia-

ło Sir Artura. Zdaje się, że został zabity w swym ogrodzie!

— O! — odparł ojciec Brown bezmyślnie. — To straszne.

— A co więcej — mówił zdyszany doktor — John Dalmon poszedł jakoby po Vernona Vaudreya, siostrzeńca Sir Artura, ale Vernon nie widział się z nim wcale i Dalmon gdzieś się zapodział...

— O! — odezwał się Ojciec Brown. — To dziwne!

IV

LUSTRO SĘDZIEGO GWYNNE'A.

James Bagshaw i Wilfred Underhill byli starymi przyjaciółmi i lubili się wałęsać nocami po ulicach, prowadząc nieskończenie długie rozmowy, zawracając od rogu do rogu w cichym i pozornie zamarłym labiryncie wielkiego przedmieścia, gdzie obaj mieszkali.

Pierwszy wielki, ciemnolity, pogodny mężczyzna ze smugą ciemnego wosa na twarzy był zawodowym policyjnym detektywem; drugi o ostrych rysach wrażliwej twarzy niezmiennie interesował się metodami śledczymi. Zgorszą się zapewne czytelnicy tej pouczającej opowieści, gdy się dowiedzą, że to policjant ciągle opowiadał, a dyletant słuchał i to nawet z pewnym respektem.

— Cała rzecz w tem — mówił Bagshaw — że w naszej profesji żaden z naszych pracowników nigdy, według ogólnego mniemania nie ma racji. Przecież nikt nie napíše powieści, w której fryzjer nie potrafi ostrzyć włosów, bez pomocy swego klienta, albo że dorożkarz nie potrafi kierować końmi, o ile mu nie wyłożą filizofji powożenia. Nie mogę zaprzeczyć, że często zbaczamy na manowce, lub też zanadto trzymamy się pewnych, uznanych zasad. Ale też i powieściopisarze błędzą, nie pozwalając nam wyjść zwycięsko, gdy działamy według swej rutyny.

— Z pewnością — odrzekł Underhill. Sherlock Holmes powiedziałby na to, że sam zawsze działał wedle zasad logiki.

— Mógłby mieć rację, ale ja mam na myśli zbiorowe zasady. To jakby praca w sztabie wojskowym. My gromadzimy nasze wskazówki.

— A uważasz, że detektywne powieści nie zgadzają się z tem?

— Zaraz. Weź pod uwagę którą z urojonych spraw Sherlocka Holmesa i Lestrade'a prawdziwego, zawodowego detektywa. Idzie sobie jakiś przechodzić ulicą i Holmes domyśla się odrazu, że jest on cudzoziemcem, dlatego tylko, że idzie stroną prawą, zamiast lewą. Przyznaję, że Holmes mógł się tego domysleć, ale Lestrade niczego podobnego nie domyślałby się. Bo powieściopisarze wyłączają fakt, że policjant nie potrzebuje się domyslać, gdyż wie. Wie dokładnie. Lestrade mógł już wiedzieć, że ten przechodzić jest cudzoziemcem, jedynie dlatego, że jego wydział kazał mieć oko na wszystkich cudzoziemców. Można by powiedzieć, że i na krajowców również. Sam jako policjant zadowolony jestem, że policja wie tak dużo, gdy każdy człowiek powinien dobrze wykonywać swój obowiązek, ale jako obywatel zastanawiam się, czy nie wie przypadkiem za dużo.

— Nie mówisz chyba tego poważnie — zawołał Underhill z niedowierzaniem. — Niemożliwe żebyś wiedział wszystko o nieznanych ludziach na nieznanej ulicy. Gdyby z tego domu wyszedł jaki człowiek, tybyś wiedział o nim wszystko?

— Gdyby to był właściciel tego domu, mógłbym wiedzieć. Dom ten wynajął pewien literat anglo-romańskiego pochodzenia. Mieszka stale w Paryżu, ale przebywa tu z powodu wystawienia jego scenicznego poematu. Nazywa się Osric Orm, należy do elity młodych poetów i zdaje się, że trudno go się czyta.

— Ale ja mam na myśli rozlicznych tych przechod-

niów ulicznych. Dla mnie wszystko tu jest obce, nieznane, bezimienne... te wysokie białe mury i te domy, gubiące się w wielkich ogrodach. Przecież i ty nie możesz mieć o nich wyczerpujących wiadomości...

— Trochę mam. Ten wysoki mur, koło którego przechodzimy, ogradza posiadłość Sir Humphreya Gwynne'a, sędziego, który podczas wojny miał wiele do czynienia ze szpiegami. Następna brama prowadzi do domu bogatego kupca cygar. Przyjechał z amerykańskiej Hiszpanji, jest mocno opalony i wygląda nawet na Hiszpana, ale nosi nazwisko czysto angielskie — Buller. Ten następny dom... ale słyszysz? Co to za hałas?....

— Coś słyszę, ale nie wiem, co to jest.

— A ja wiem... To odgłos dwukrotnego strzału z dużego rewolweru i krzyk o pomoc, a dochodzi z ogrodu, leżącego poza domem sędziego Gwynne'a, z tego raju spokoju i praworządności. — Rozejrzał się dokoła i dodał: — A jedyna brama tamtego ogrodu jest co najmniej o pół mili stąd i z drugiej strony. Wolalbym, żeby ten mur był odrobinę niższy, albo żeby ja był trochę lżejszy... ale można spróbować.

— Tam dalej jest niższy — odezwał się Underhill — i zdaje się, że rośnie tam drzewo, które może się przydać.

Pobiegli szybko i znaleźli się w miejscu, gdzie mur zdawał urywać się raptownie, jakby zapadał się w ziemię, a drzewo osypane żywej barwy kwiatami, wychylało się z ciemnego otoczenia na światło samotnej, ulicznej latarni. Bagshaw schwycił zakrzywioną gałąź i zarzucił nogą na niski mur. Po chwili stali obaj między zdeptanymi roślinami ogrodu.

Ogród sędziego Gwynne'a przedstawiał w nocy zgola osobiwy widok. Był bardzo duży i leżał na pustej przestrzeni na samym krańcu przedmieścia. W ogrodzie stał dom, który był ostatnim z całego szeregu domów ulicy. W tej chwili był kompletnie ciemny, nieoświetlony, przynajmniej od tej strony ogrodu, z zasuniętymi okiennicami.

Ale ogród, który o tej porze powinien być być pograżony w całkowitej ciemności, jaśniał światłem niby przygasłych fajerwerków, niby wielkiej świetlanej rakiety spadłej między drzewa. Gdy obaj przyjaciele podeszli bliżej, spostrzegli, że były to liczne kolorowe lampki, wplątane między gałęzie drzew, gdzie wyglądały jak klejnoty Aladyna. Mała sadzawka czy jezioro ziało bladą barwą, jakby od rozżarzonego ogniem dnia.

— Czy odbywa się tu jaki festyn? — spytał Underhill. — Ogród cały uiluminowany...

— Nie — odrzekł Bagshaw. Gdy sędzia siedzi samotnie w swym domu, z całem upodobaniem iluminuje sobie ogród. To jego manja... Lubi zabawiać się elektrycznością, zwłaszcza gdy pracuje w swym bungalowie, tam oto, gdzie zwykle najchętniej przesiaduje. Buller, który go zna doskonale, powiada, że zapalone światła są znakiem, iż sędzia jest zajęty i nie chce, aby mu przeszkadzano.

— Coś w rodzaju czerwonych sygnałów niebezpieczeństwa.

— Wielki Boże! może w istocie są to sygnały niebezpieczeństwa.

I Bagshaw pobiegł szybko naprzód.

Po chwili i Underhill ujrzał to samo. Silnie opalizujący krąg światła, jak obwódka księżycowa, dokoła pochyłych brzegów sadzawki, w jednym miejscu był przecięty dwiema smugami, które okazały się długimi, czarno odzianymi nogami postaci, leżącej głową w sadzawce.

— Prędeż... — wołał na niego detektyw. — Zdaje mi się, że to...

Głos jego gubił się, gdy biegł przez pustą, słabo oświetloną sztucznem światłem łakę. Musiał przebiec naprzelaj cały wielki ogród, żeby pośpieszyć na ratunek topielcowi. Underhill szedł prosto ścieżką, w tym samym kierunku. Naraz przystanął zdumiony, gdyż detektyw, który pędził jak kula ku ciemnej postaci przy jaśniejącej sadzawce, zwrócił

stromym brzegu sadzawki. Krew zwolna spływała z rany i jakby kierowana szatańskim kaprysem wirowała dookoła głowy w rozświetlonej wodzie węzowemi skrętami, niby przezroczysta purpura obłoków ubarwionych zachodem słońca.

Underhill sam nawet nie zdawał sobie sprawy, jak długo stał nad tą upiorną postacią, gdy nagle obejrzał się i zobaczył obok siebie cztery osoby. Że zobaczy Bagshawa ze swym irlandzkim więźniem był na to przygotowany i nie trudno mu było domyśleć się obecności służącego w czerwonej kurtce, ale czwarta postać odznaczała się tak groteskową powagą, że uzupełniała tę fantastyczną scenę. Był to mały krępy mężczyzna w szerokim kapeluszu, który tworzył dookoła krągłej twarzy ciemny nimbus. Poznać można było, że jest księdzem, jednak dziwnie przypominał starą drewnianą rzeźbę.

— Bardzo jestem zadowolony, — odezwał się Bagshaw — że ksiądz stwierdził tożsamość tego pana, ale musi ksiądz przyznać, że na nim ciąży podejrzenie. Oczywiście może być zupełnie niewinny, ale wszedł do ogrodu niezbyt utartą drogą.

— O, jestem pewien, że jest niewinny — odrzekł ksiądz bezbarwnym głosem. Ale może się myłę.

— Dlaczego ksiądz sądzi, że jest niewinny?

— Właśnie dlatego, — że wszedł do ogrodu niezbyt utartą drogą. Widzi pan, ja wszedłem utartą drogą, ale zdaje mi się, że jestem tu jedyną osobą, która użyła tego sposobu. Zresztą najporządniejszy człowiek głową muru nie przebije, więc go musi przeskoczyć.

— Co ksiądz rozumie przez utartą drogę?

— No tak — odrzekł Ojciec Brown, patrząc poważnie na detektywa — wszedłem przez drzwi frontowe. Często wchodzi do domów w ten sposób.

— Przepraszam, ale czy to takie ważne, jak ksiądz tam wchodzi, jeżeli zależy tylko na tem, aby wypowiadać zabójcę?

— Przypuszczam, że czasem jest ważne — odrzekł ksiądz łagodnie.

W tym naprzykład wypadku, wchodząc przez frontowe drzwi, — zobaczyłem coś, czego zapewne żaden z panów nie widział. Zdaje się, że będzie to coś wspólnego z tą sprawą.

— Cóż tam ksiądz zobaczył?

— Zobaczyłem ogólny nieład. Wielkie lustro straszkane, palma złamana, a skorupy rozrzucone po całej podłodze. Odrazu poznałem, że tam coś zająć musiało.

— Ma ksiądz rację — przyznał Bagshaw po chwili. — Jeżeli tak jest, jak ksiądz powiada, to istotnie musi być związane z tym wypadkiem.

— Jeżeli pan się z tem zgadza, to z tego wynika, że jedna z tych osób tu obecnych niema nic wspólnego z tym wypadkiem, a mianowicie pan Michał Flood, który wszedł do tego ogrodu niezbyt utartą drogą, bo przez mur i próbował go opuścić w ten sam sposób. To właśnie według mego zdania najbardziej świadczy o jego niewinności.

— Chodźmy do tego domu — przerwał mu Bagshaw.

Gdy przechodzili przez boczne drzwi, Bagshaw cofnął się o parę kroków i szepnął do przyjaciela:

— Coś mi się nie podoba w tym służącym. Powiada, że nazywa się Green, chociaż wcale na to nie wygląda. Niema jednak, zdaje się, żadnej wątpliwości, że jest służącym Gwynne'a, który widocznie trzymał tylko jednego lokaja. Ale co najdziwniejsze, że on kategorycznie przeczy, aby pan jego żywy czy umarły miał się znajdować w ogrodzie. Powiada, że stary sędzia poszedł na jakiś proszony obiad i napewno nie było go w domu już od paru godzin i tem tłumaczył swoje wyjście z domu.

— A czy nie powiedział, dlaczego wybrał sobie tak osobliwą drogę na ten spacer?

— Nie. Nie tłumaczył się z tego. Wogóle nie mogę go zrozumieć. Zdaje się, że jest czemś wystraszony.

Wszedłszy przez boczne drzwi, znaleźli się wewnątrz hollu, który zajmował całą długość domu i kończył się frontowymi drzwiami. Nad nimi było okno w kształcie wachlarza, starodawnego wzoru. Słabe, szare światło zaczynało się przez nie przesączać, niby jakiś posępny, bezbarwny wschód słońca. Holl był oświetlony jedną, przysłoniętą lampą, też staroświeckiego kształtu, stojącą w kącie na półce. Przy jej świetle Bagshaw mógł dojrzeć nieład, o którym mówił Ojciec Brown. Wysoka palma z długimi, opuszczonymi liśćmi leżała na podłodze, a obok niej czerwona donica potłuczona na drobne kawałki. Skorupy jej zaścielały podłogę wraz z blado połyskującymi szczątkami lustra, z którego tylko pusta rama wisiała na ścianie w drugim końcu hollu. Z prawej strony od wejścia wprost drzwi, któremi weszli, był drugi, zupełnie podobny do tego pasaż, prowadzący do pokojów. Przy końcu tego pasażu wisiał telefon, którego użył służący, wzywając księdza i widać było wpółotwarte drzwi, do pokoju gdzie można było dojrzeć wiele półek z książkami oprawnymi w skórę. Był to gabinet sędziego. Bagshaw przyglądał się donicze rozbitej i różnym szczątkom, leżącym pod jego nogami.

— Ksiądz ma rację — zwrócił się do Ojca Browna — musiała tu odbyć się walka. A walka ta musiała się odbyć między Gwynne'em i zabójcą.

— Pomyślałem rzeczywiście — odrzekł skromnie ksiądz — że tu coś zająć musiało.

— To jest zupełnie jasne, co się mogło stać — zgodził się detektyw. Zabójca wszedł przez frontowe drzwi i zastał Gwynne'a... i prawdopodobnie Gwynne pozwolił mu wejść. Tu odbyła się bójka, jakiś wypadkowy wystrzał strzaskał lustro... mogło być również rozbite jakimś kopnięciem, czy czemś podobnym.

Gwynne chciał się ocalić i wybiegł do ogrodu. Tamten gonił go i zastrzelił przy sadzawce. Sądzę, że tak musiało się wszystko odbyć, ale naturalnie muszę jeszcze obejrzeć inne pokoje.

W innych pokojach nic szczególnego nie było, tylko Bagshaw wskazał znacząco na automatyczny, nabity pistolet, który znalazł w szufladzie biurka.

— Wygląda na to, że sędzia spodziewał się napadu — odezwał się. Ale dziwne, że nie wziął go ze sobą, kiedy wychodził z pokoju.

Idąc okólną drogą przez frontowe drzwi wrócili do hollu. Ojciec Brown spoglądał na wszystko roztargnionym wzrokiem.

Dwa korytarze jednakowo były wytapetowane szarym, zniszczonym papierem w jednakowe wzory i na tem tle uwydatniały się zakurzone pociemniałe ornamenty w stylu Wiktorjańskim, zielona rdza pożerała bronz lampy, przyćmione złoto lśniło na ramie rozbitego lustra.

— Powiadają, że to zły prognostyk zbić lustro — odezwał się Ojciec Brown — a tu z każdego kąta wygląda nieszczęście. Coś jest w tych meblach...

— To dziwne jednak — przerwał nagle Bagshaw. Myślałem, że drzwi frontowe są zamknięte, tymczasem one były zamknięte tylko na klamkę.

Nie było odpowiedzi. Przez frontowe drzwi wyszli do ogrodu kwiatowego, nieco węższego od tamtego, gdzie na końcu dostrzegli osobliwy jakiś przyszyżony żywopłot z dziurą w środku, wyglądającą jak zielona grotta i tam pod jej cieniem widać było ślady stóp.

Ojciec Brown zajrzał do tej groty, wetknął tam głowę i wkońcu zniknął cały. Ku wielkiemu zdumieniu obecnych dał się słyszeć głos jego gdzieś z góry, jakby z wierzchołka drzewa. Rozmawiał z kimś. Detektyw wszedł również tam i ze zdziwieniem zobaczył schody prowadzące na rodzaj mostku, przerwanego w środku, zawieszonego nad ciemną, pustą częścią ogrodu. Łączył się zaokrągloną linią domu. Stamtąd roztaczał się widok na pola i na uiluminowany ogród. Była to prawdopodobnie jakaś architektoniczna fantazja, rodzaj tarasu na arkadach. Bagshaw przypomniał sobie, że niejednokrotnie widywał takie zaułki,

takie zamknięte uliczki podczas nocnej swej włóczęgi, w godzinach poprzedzających ranki. Nie przyglądał się jednak szczegółowo, patrzył bowiem na człowieka, którego tam zastał.

Mężczyzna ten stał odwrócony tyłem. Był on niewielkiego wzrostu, w jasno popielatym ubraniu. Najbardziej uderzającą cechą jego postaci były jego włosy, tak złote i błyszczące, jak korona wielkiego słonecznika. Tworzyły one prawdziwą aureolę i stanowiły zdumiewający kontrast z twarzą, kiedy zwolna i niechętnie zwrócił się do przyby-
szów.

Auerola taka powinna otaczać słodką twarz anielską, tymczasem twarz była przykra w wyrazie i już dość stara, z szerokimi policzkami i krótkim nosem, który przypominał złamany nos boksera.

— To jest pan Orm, sławny o ile wiem, poeta — odezwał się Ojciec Brown tak spokojnie, jakby przedstawiał go w salonie.

— Jest mi to obojętne, kim on jest, muszę go tylko poprosić, żeby pofatygował się ze mną i odpowiedział na pewne pytania — odrzekł Bagshaw.

Nie można powiedzieć, aby pan Osric Orm, znany poeta, umiał dokładnie wytłumaczyć się ze swej tutaj bytności. Nie dowiedziano się nic od niego. I tutaj na tym malowniczym tarasie, gdy szary świt rysował już kontury żywopłotu i później w obecności władz odmówił odpowiedzi na wszelkie pytania, prócz jednego, na które zeznał, że chciał odwiedzić Sir Humphreya Gwynne'a. Nie mógł jednak wejść do domu, bo nikt mu nie otworzył, gdy zadzwonił do drzwi. Zwrócono mu na to uwagę, że jak okazało się, drzwi były niezamknięte, a godzina zbyt późna na wizytę, na co pan Orm mruknął coś niewyraźnie. Wogóle wszystko co powiedział, było bardzo niejasne, może dlatego, że z trudnością wyrażał się po angielsku, a może dlatego, że wiedział więcej niż inni.

W jego poezji wyczuwało się przekonania nihilistycz-

ne, podkopujące dotychczasowe zasady, Stosunek więc nie mógł być przyjazny z sędzią Gwynne'em, który podczas wojny widział wszędzie szpiegów niemieckich, a teraz w każdym podejrzewał bolszewika.

W każdym razie pewna okoliczność zaraz po jego aresztowaniu utrwaliła w detektywie przekonanie, że jest to sprawa, nad którą trzeba się poważnie zastanowić.

Gdy wychodzili już na ulicę, przed bramą ogrodu spotkali innego sąsiada — Bullera, kupca cygar, znanego ze swej ogorzałej, przebiegłej twarzy i pięknej orchidei w bu-tonierce. Z zamilowaniem hodował te kwiaty i zyskał już nawet rozgłos. Ku zdumieniu wszystkich zwrócił się do poety, jakby spodziewał się go tutaj zobaczyć.

— A, wraca pan? — odezwał się. — Jakoś długo rozmawialiście ze starym Gwynne'em...

— Sir Humphrey Gwynne nie żyje — odrzekł Bags-haw. — Badam tę sprawę i poproszę pana o wytłumaczenie tych słów.

Buller stanął jak wryty, niczem ta latarnia wkopana za nim w ziemię. Być może zdretniał tak z wrażenia. Ognik palącego się cygara rozjaśniał się i ciemniał rytmicznie, ale twarz była w cieniu.

— Miałem na myśli — odezwał się wreszcie zmienionym głosem, że gdy dwie godziny temu przechodziłem tędy, pan Orm zdążał właśnie do bramy Sir Humphreya.

— A pan Orm powiada, że nie widział się wcale z sędzią, a nawet nie był w jego domu.

— Jakoś długo stał przed bramą — zauważył Buller.

— Tak, — wtrącił Ojciec Brown — to cokolwiek za długo stać tak na ulicy.

— Ja zaś byłem cały czas w domu — mówił kupiec. Pisałem listy, a teraz wyszedłem wrzucić je do skrzynki.

— Opowie nam pan to później... A teraz dobranoc, czy też może dzieńdobry — przerwał Bagshaw.

Sprawa Osric Orma o zabójstwo Sir Gwynne'a zapełniła szpalty wszystkich gazet, badania jednak nie posunęły

się ani o krok dalej. Obracały się ustawicznie dokoła tej rozmowy pod latarnią, gdy siny świt przepędzał ciemności z ulic i sadów. Wszystko utknęło na martwym punkcie niedocieczonej zagadki dwóch godzin, czyli czasu, gdy Buller widział Orma pod bramą ogrodu sędziego, do chwili, kiedy Ojciec Brown zobaczył go stojącego na tarasie. Miał niewątpliwie dość czasu, by popełnić nawet kilka morderstw, mógłby je nawet popełnić z nudów dla zabicia czasu, mógł nie zdawać nawet sobie sprawy z tego co robi. Podczas dochodzenia śledczego, utrwaliło się przekonanie, że sposobności miał dosyć, gdyż frontowe drzwi nie były na klucz zamknięte, a drzwi boczne domu zupełnie otwarte. Sąd z zainteresowaniem wysłuchał opowiadania Bagshawa, odtworzącego przebieg walki w pasażu, której ślady były widoczne. Przy ścisłym przeszukiwaniu znaleziono nawet kulę, która strzaskała lustro. Miejsce, gdzie spotkano pana Orma, wielce podobne było do kryjówki. Aby tam się dostać, trzeba było przejść przez grotę w żywopłocie. Jednak Sir Matthew Blake, bardzo zdolny obrońca, obalił tę tezę, zapytując, poco ktoś miałby sam włączyć w pułapkę, która nie miała innego wyjścia, kiedy mógł swobodnie wyjść na ulicę.

Sprawa przyjęła pomyślny obrót dla więźnia po wymianie zdań między oskarżycielem a obrońcą, bo Sir Blake podniósł niewyjaśnioną dotychczas tajemnicę motywu zbrodni, na co Sir Artur Travers wysunął słaby argument o spisku bolszewickim, co brzmiało zresztą niewiarogodnie. Robił też z uporczywego milczenia oskarżonego najgłośniejszy zarzut, mimo to nie udało mu się go przełamać.

Bardzo wysoki, szczupły Sir Artur Travers ze swą długą, pozbawioną życia twarzą, był uderzającym kontrastem krzepkiego o bystrych ptasich oczach p. Blake. Jeżeli tego ostatniego można było przyrównać do buńczucznego wróbla, to Sir Artur przypominał bociana czy też żórawia, zwłaszcza w chwili, gdy pochylony naprzód, z nosem groź-

nie jak dziób wyciągniętym brał w krzyżowe ognie pytań oskarżonego.

— Więc pan powiada, że nigdy pan nie bywał u nieboszczyka? — pytał tonem zgryźliwego niedowierzania.

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— Ale przypuszczam, że chciał się pan z nim zobaczyć... Koniecznie chciał pan zobaczyć się z nim. Czy pan nie czekał dwóch godzin przed drzwiami?

— Tak.

— I nawet pan nie zauważył, że drzwi są otwarte?

— Nie.

— Cóż więc na Boga robił pan przez te dwie godziny, jeżeli pan tego nie zauważył? — nalegał prawnik. Musiał przecież pan coś robić, sądzę?

— Tak.

— Czy to tajemnica? — pytał Sir Artur drwiąco.

— Tajemnica dla pana.

Na tej niewyjaśnionej tajemnicy oparł Sir Artur całe oskarżenie. Z wielką pewnością siebie, nie licząc się z niczem wysnuł motyw zbrodni i to, na czym opierał Sir Blake swoją obronę, on uczynił swoim argumentem. Dowodził, że tajemnica ta kryje niewątpliwie jakiś spisek, którego ofiarą padł partjota, nie mogący zwalczyć niepokonanych wrogów, którzy jak mackami ośmiornicy potrafili go oplątać.

— Tak! — wołał przenikliwym głosem — mój światły przeciwnik ma rację! Nie znamy prawdziwej przyczyny śmierci ogólnie szanowanego sługi państwa i nie będziemy wiedzieli dlaczego następny wierny urzędnik zostanie zamordowany. I może paść mój światły kolega ofiarą swej sławy i tajemniczej nienawiści, która piekielne niszczycielskie swe moce rozciąga na stróżów prawa i zostanie zabity nie znając przyczyn. Połowa obecnych tu uczciwych ludzi może zostać wyróżniona w swych łóżach, a my nie będziemy wiedzieli dlaczego. I nigdy nie dowiemy się i nie powstrzymamy rzezi, jeżeli obrona pozwala sobie zatrzymać całe postępowanie sądowe starą piosenką o „motywie“, kiedy

każdy inny szczegół sprawy, kiedy całe to milczenie, jaskrawo nam dowodzi, że stoimy przed Kainem...

— Nie widziałem nigdy Sir Artura tak podnieconego — mówił później Bagshaw do gromadki kolegów. — Można by powiedzieć, że przekroczył dozwolone granice, że w sprawie kryminalnej oskarżyciel nie powinien być tak zawzięty. Muszę się przyznać, że i na mnie ten gnom z żółtym czubem na głowie robi niemiłe wrażenie. Najwidoczniej bawi się wywołaniem przez siebie wrażeniem. Przypomina mi się niezbyt jasno coś, co De Quincey powiedział o Williamsie, o tym niesamowitym zbrodniarzu, który wyrzynał całe rodziny, prawie bez krzyku. De Quincey wspomina, że Williams miał włosy nienaturalnie jaskrawo żółtego koloru i sądzi, że musiały być farbowane w jakiś dziwny sposób, uprawiany przez Indjan, którzy takich farb używają do malowania koni na różne kolory. Tamten też milczał jak kamień. Nie mogę zaprzeczyć, że działa na mnie jak jakiś potwór. Jeżeli to jednak wpływa na elokwencję Sir Artura, to sądzę, że bierze na siebie zbyt wielką odpowiedzialność, wkładając w swe oskarżenie tyle namiętnego zapалу.

— Był przyjacielem biednego Gwynne'a i to go usprawiedliwia — łagodził Underhill. — Widziałem ich nieraz na oficjalnych obiadach, trącających się przyjaźnie kieliszkami. Żal po utracie przyjaciela musi niewątpliwie wpływać na dzisiejsze usposobienie Sir Artura. Jednak nie uważam za wskazane, aby urzędnik naginał sprawę do osobistych swych uczuć.

— Nie powinien — odrzekł Bagshaw. Jestem jednak przekonany, że Sir Artur daleki jest od tego, jakkolwiek silnie odczuł śmierć przyjaciela. Zawód swój traktuje bardzo surowo. Jest to człowiek niezwykle ambitny. Nie znam nikogo, kto by tak dbał o swe stanowisko w świecie. Jak widzisz, zły wniosek wyciągnąłeś z jego pełnego zapалу przemówienia. On stoi na gruncie własnych, silnych przekonań, uważa, że ma prawo mieć takie a nie inne przekonania. Podejrzewając przytem istnienie spisków, o których

wspominał, pragnie stanąć na czele politycznego ruchu, mającego za cel zwalczanie tych konspiracji. Musi mieć poważne przyczyny, dążąc do wydobycia z Orma tego wyznania i niewątpliwie jest pewien, że mu to się uda, tem bardziej, że fakty za tem przemawiają. Jego pewnośc nie wróży nic dobrego dla oskarżonego.

Zwrócił uwagę na jakąś niepozorną figurę, płaczącą się między jego kolegami.

— Ach, to Ojciec Brown! — zwrócił się do księdza z uśmiechem. Cóż ksiądz myśli o naszej procedurze sądowej?

— Myślę — odrzekł ksiądz dość obojętnie — że peruki ogromnie zmieniają ludzi. Wyraził się pan o prokuratorze, że jest taki groźny. Ale udało mi się go zobaczyć, gdy na chwilę zdjął perukę i naprawdę miał wtedy zupełnie inną minę. Jest zresztą zupełnie łysy.

— Chyba to nie zmieni mego twierdzenia, że jest w każdym razie groźny — odpowiedział Bagshaw. Nie zwróci ksiądz chyba uwagi obrońcy, że prokurator jest łysy, co?

— Nie wiem — roześmiał się Ojciec Brown. — Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to podczas sprawy myślałem o tem, jak mało pewnego gatunku ludzie wiedzą o ludziach innego gatunku. Przypuśćmy, że znajdę się w jakimś odległym kraju, gdzie nigdy nie słyszano o Anglii. Przypuśćmy, że opowiem im, że w moim kraju znajduje się człowiek, który nie zapyta się o kwestję życia i śmierci, dopóki nie włoży na głowę szopy z końskich włosów z małemi ogonkami z tyłu i szaremi korkociągami z boków, co nada mu wygląd starej matrony z wczesnej wiktoriańskiej epoki. Powiedzianoby mi na to, że człowiek ten musi być bardzo ekscentryczny. Ale on wcale nie jest ekscentryczny, tylko stosuje się do zwyczajów. Takby sobie myśleli, bo nie wiedzieliby nic o angielskich prawnikach... ba! nie wiedzieliby nawet, co to jest prawnik... Otóż prawnik też nie wie, co to jest poeta. Nie może zrozumieć, że ekscentrycz-

ność poety nie będzie się wydawała ekscentrycznością dla innych poetów. On uważa za nieprawdopodobne, żeby taki Orm mógł spacerować przez dwie godziny po przepięknym ogrodzie i nic tam nie robił! Boże miłosierny! Poeta może o niczem nie myśleć, a przytem spacerować po ogrodzie przez dziesięć godzin, jeżeli ma napisać poemat. Ten cały obrońca Orma jest zupełnym idjotą. Nie zadał mu nawet tak zwykłego pytania.

— Jakiego pytania? — spytał Bagshaw.

— No, jako? Jaki pisze teraz poemat? — zniecierpliwiał się Ojciec Brown. — Na jakim wierszu stanął, jakiego szuka porównania, jaką figurę retoryczną obmyśla? Gdyby w sądzie znajdowali się wykształceni ludzie, którzyby wiedzieli, co to jest literatura, rozumieliby, czy jest zdolny do innego czynu. Przemysłowca zapytałby pan o warunki jego przemysłu, ale nikomu nie przyjdzie do głowy rozważyć warunki, w jakich są opracowywane poezje. To się samo robi, prawda?

— Bardzo to pięknie — odparł detektyw — ale dlaczego on się ukrywał? Poco wdrapywał się na te trzeszczące schody i stał tam? One nigdzie nie prowadziły...

— Właśnie dlatego, że nigdzie nie prowadziły... przecież to jasne! — wybuchnął Ojciec Brown. — Każdy, kto rzucił okiem na tę ślepą alejkę, zawieszoną w powietrzu, musi zrozumieć, że artysta zapragnie tam pójść, jak i dziecko poszłoby tam również.

Mrugał przez chwilę oczyma, a po chwili dodał łagodniejszym tonem:

— Bardzo pana przepraszam, ale to naprawdę dziwne, że nikt nie rozumie tych rzeczy. A jest jeszcze coś innego. Czy pan nie wie, że dla artysty każda rzecz ma pewną postać czy też kąt widzenia, w którym właśnie jest prawdziwą? Drzewo, krowa, obłok w pewnym stosunku ma jakieś znaczenie, jak trzy litery w pewnym porządku tworzące wyraz. Widok tego iluminowanego ogrodu z tego niekończonego mostku był właśnie takim widokiem. Był to wi-

dok zaświatów. Coś w rodzaju czarodziejskiej perspektywy, tak jakby patrzyło się z nieba na gwiazdy kwitnące na drzewach, na księżyc — sadzawkę, spadły napłask na pola. Była to piękna baśń starej niani i w tej postaci widział to wszystko Orm. Jeżeli pan powiedział, że ta ścieżyna nie prowadzi nigdzie, on mógłby powiedzieć, że wiedzie do krainy na końcu świata. Ale czy pan oczekuje, że on panu to powie na ławie oskarżonych? Coby pan na to odpowiedział? Mówi się o oskarżonych, dla których przysięgli są dobierani z pośród ludzi jego zawodu, czemuż niema przysięgłych poetów?

— Ksiądz mówi, jakby sam był poetą — odezwał się Bagshaw.

— Dzięki szczęśliwej gwieździe nie jestem nim — odrzekł Ojciec Brown. — Dzięki niebu ksiądz może być bardziej litościwy niż poeta, bo gdyby pan mógł odczuć, jak miazdząca, jak okrutną jest wzgarda, jaką on dla was czuje, zdruzgotałaby pana jak fale Niagary.

— Ksiądz więcej wie o usposobieniu artystów niż ja — odezwał Bagshaw po chwili — ale na to jest tylko jedna odpowiedź. Niech ksiądz dowiedzie, że on tylko w ten sposób czas tam spędzał, nie spełniwszy zbrodni. Ale również może być prawdą, że ją popełnił. Któż inny mógł to zrobić?

— Czy pan brał pod uwagę służącego Greena? — spytał Ojciec Brown zamyślony. — Opowiadał on jakieś osobliwe historie...

— Ach! — zawołał porywczo Bagshaw — więc jednakże ksiądz myśli, że to Green zabił?

— Jestem zupełnie pewien, że to nie on zabił. Pytałem tylko, czy pan brał pod uwagę jego dziwaczne opowiadania. Wyszedł sobie na chwilkę, na kieliszeczek, czy też na jakąś schadzke. Wyszedł przez bramę ogrodową, a wrócił przez mur. Czyli że zostawił wychodząc bramę otwartą, a wracając znalazł ją zamkniętą. Dlaczego? Bo ktoś inny przechodził tamtędy...

— Zabójca — szepnął detektyw z powątpiewaniem.
— Czy ksiądz już wie, kto to jest?

— Wiem tylko jak wygląda...—odrzekł spokojnie Ojciec Brown. — Tylko to jedno wiem... Prawie że go widzę, jak w świetle lampy w hollu wchodzi przez frontowe drzwi, widzę jego postać, jego ubranie, nawet jego twarz...

— Co to znaczy?

— Podobny jest do Sir Humphreya Gwynne'a...

— Co u licha ksiądz ma na myśli? Przecież Gwynne leżał zabity głową w sadzawce...

— O tak! — przyznał Ojciec Brown. Po chwili zaczął znowu: — Wróćmy do pańskiej teorii, która jest może prawdopodobna, chociaż ja niezupełnie na nią się zgadzam. Pan przypuszcza, że zabójca wszedł frontowymi drzwiami, spotkał w hollu sędziego, walczył z nim, stłukł lustro, że sędzia uciekł do ogrodu, gdzie ostatecznie został zabity. To jakoś mi nie wygląda zbyt naturalnie... Przypuśćmy, że chciał wycofać się z hollu, gdzie były dwa wyjścia, jedno do ogrodu, drugie do mieszkania. Z pewnością wolałby cofnąć się do mieszkania, gdzie miał broń, telefon, gdzie, o ile wiedział, jest służący. Nawet najbliższe sąsiedztwo było w tamtej stronie. Pocóż miałby uciekać do pustego ogrodu?

— Ależ przecie wiemy napewno, że wyszedł z domu—przekonywał zdumiony Bagshaw. — Wiemy, że wyszedł, bośmy go znaleźli w ogrodzie.

— Wcale z domu nie wychodził, bo wcale tego wieczoru nie był w domu. Siedział w swoim bungalowie. Widzę jak na dłoni cały ten wypadek. Odczytuję go od początku przy świetle tych złotych i czerwonych gwiazd, jaśniejących w ogrodzie. Wyrabiano je tam w tym bungalowie. Gdyby nie było sędziego, nie świeciłyby wcale. Chciał dobiec do domu, do telefonu, gdy został zabity przy sadzawce.

— A co znaczą te ślady walki? doniczka, palma, stłuczone lustro — zawołał Bagshaw. — Przecie to ksiądz

właśnie pierwszy zobaczył... To ksiądz pierwszy powiedział, że musiała odbyć się jakaś walka w hollu...

Ksiądz zamrugał oczami z przykrością.

— Powiedziałem? — szepnął. — Nie, napewno nie powiedziałem. Nawet o tem nie pomyślałem wcale. O ile sobie przypominam, powiedziałem, że coś stało się w hollu... Coś rzeczywiście stało się, ale to nie była walka.

— A jakim sposobem stłukło się lustro?

— Kula strzaskała lustro—odrzekł poważnie ksiądz.— Kula wystrzelona przez zabójcę. A duży odłam lustra mógł odbić się o doniczkę palmy.

— Przypuśćmy. Ale do kogożby innego strzelano, jeżeli nie do Gwynne'a?

— To jest właśnie ciekawy, że tak powiem, metafizyczny punkt... — mówił jak przez sen Ojciec Brown. — Oczywiście strzelano do Gwynne'a, ale jego tam nie było. Zabójca był sam w hollu.

Milczał przez chwilę, a potem spokojnie ciągnął dalej:

— Wyobraźmy sobie całą scenę przed wypadkiem. Wyobraźmy lustro wiszące na końcu pasażu i wysoką palmę przed lustrem. Światło było przyćmione, w lustrze odbijały się jednobarwne ściany i drugi koniec pasażu. Odbił się w niem i mężczyzna wchodzący z zewnątrz do hollu, a wyglądało to, jakby wychodził z mieszkania hollu. Musiał być podobny do gospodarza domu, jeżeli... wziął za niego swoje odbicie w lustrze.

— Zaraz! — zawołał Bagshaw. — Zdaje się, że zaczynam...

— Że zaczyna pan rozumieć, dlaczego wszyscy podejrzewani w tej sprawie muszą być niewinni. Żaden z nich bezwątpienia nie mógł wziąć własnego odbicia za starego Gwynne'a. Orm odróżniłby zaraz swoją żółtą szopę od łysej głowy. Flood też dostrzegłby rude włosy, a Green czerwoną kurtkę. Wszyscy zresztą są niskiego wzrostu i niedbale ubrani. Żaden z nich nie mógł się omylić i wziąć własny obraz za wysokiego i szczupłego, starego gentelmana w wie-

czorowym stroju. Musimy teraz wyszukać kogoś innego równie wysokiego i szczupłego i porównać go.

— A jakież stąd wnioszek? — spytał Bagshaw patrząc nań uporczywie.

Ksiądz parsknął figlarnym śmiechem, co było wręcz przeciwnie jego usposobieniu.

— Taki wniosek, że to co pan powiedział, jest zabawne i niemożliwe...

— O czym ksiądz myśli?

— Dam podstawę obronie, twierdząc, że prokurator jest zupełnie łysy.

— Boże! — zawołał detektyw zdumiony.

Ojciec Brown monologował w dość zawikłany sposób:

— Śledził pan czynności wszystkich, biorących udział w tej sprawie. Pan, jako policjant interesował się głównie czynnościami poety, służącego i Irlandczyka. Człowiek o którego czynnościach zapominano, był zabity. Służący jego szczerze był zdziwiony, dowiedziawszy się, że jego pan wrócił. Bo pan jego wyszedł na koleżeński obiad, gdzie byli obecni wszyscy jego koledzy. Pozostawił ich tam jednak, a sam wrócił do domu. Nie był chory, bo nie żądał pomocy. On tylko posprzeczał się z jednym ze swoich kolegów. Zdarza się nawet między wyższymi urzędnikami, że jeden drugiego uważa za wroga. Wrócił więc i zamknął się w swoim bungalowie, gdzie chował najtajniejsze dokumenty. Ale kolega jego wiedział, że w tych dokumentach znajdowały się rzeczy, które świadczyły przeciw niemu. Był nagle przebiegły, że poszedł za nim. Miał na sobie również wieczorowe ubranie, ale w kieszeni miał rewolwer... I to wszystko. Trudno byłoby się domyśleć, gdyby nie lustro.

Utkwił oczy w próżnię i dodał:

— Dziwnym przedmiotem jest lustro... Rama obrazu, w którym mieszczą się setki obrazów pełnych życia i znikających nagle bezpowrotnie. Tylko było coś specjalnie dziwnego w tem właśnie lustrze wiszącym na końcu szarego ko-

rytarza nad zieloną palmą. Było to niby czarodziejskie zwierciadło, które pragnęło przeżyć samo siebie, wisząc jak widmo, lub jak abstrakcyjny wykres, czy jak szkielet argumentu w tym mrocznym kącie. My przynajmniej możemy wyczarować z próżni coś, co i Sir Artur Travers widział. W każdym razie zgodzę się z tem, co pan o nim powiedział.

— Bardzo mi przyjemnie — odrzekł Bagshaw nieco smętnie — ale co to było?

— Powiedział pan, że Sir Artur ma ważne przyczyny, pragnąc zaprowadzić Orma na szubienicę.

W tydzień później ksiądz spotkał detektywa i dowiedział się, że sąd skierował w inną stronę swe dochodzenie, które jednak zostało przerwane sensacyjnym wypadkiem.

— Sir Artur Travers... — zaczął Ojciec Brown.

— Sir Artur Travers nie żyje — odrzekł krótko Bagshaw.

— Ach! — głos księdza załamał się. — Sądzi pan...

— Tak! — odparł Bagshaw. — Strzelił znów do tego samego człowieka, ale już nie w lustro...

V.

CZŁOWIEK O DWÓCH BRODACH.

Historja ta opowiedziana została przez Ojca Browna profesorowi Crake, znakomitemu kryminologowi. Było to po obiedzie w klubie, gdzie postarano się, aby ich ze sobą zapoznać, jako ludzi biorących nieszkodliwy udział w zbrodniach i kradzieżach. W opowiadaniu tem Ojciec Brown bagatelizował swój udział w owej sprawie, powtarzamy jednak je bardziej bezstronnie. Chodziło o różnicę zdań. Profesor wyłożył całą swą uczoną teorię, na którą ksiądz zapatrywał się całkiem sceptycznie.

— A więc wielbny ojciec — mówił profesor z wymówką w głosie — nie wierzy, że kryminologja jest nauką?

— Hm, nie jestem tego pewny, — odrzekł Ojciec Brown. — Czy pan wierzy, że hagjologja jest nauką?

— Cóż to takiego? — zapytał ostro uczony.

— Nie, to nie jest wiedza o jędzach i nie ma nic wspólnego z palonemi na stosach czarownicami — odrzekł Ojciec Brown z uśmiechem. — Sądził pan, że wyraz ten powstał z angielskiego słowa — *the hag* — czarownica. W takim razie należałoby to przetłumaczyć na jędzologję... Nie. Jest to nauka o ludziach i rzeczach świętych. Widzi pan, zamierzchle wieki pragnęły stworzyć naukę o ludziach dobrych, a nasz humanitarny, oświecony wiek zacieka-

wia nauka o ludziach złych. Prócz tego doświadczenie nauczyło nas, że świętego człowieka nie trudno pojąć. Podejrzewam zaś, że pan uważa, iż zbrodniarza nietrudno zrozumieć.

— Naturalnie, zbrodniarzy nietrudno rozklasyfikować. Smutna to lista i długa, ale zdaje się zupełnie wyczerpująca. Przedewszystkiem należy rozdzielić zabójstwa na uzasadnione i nieuzasadnione. Weźmy naprzykład te ostatnie, popełniane zwykle bez rozważenia. Popołniają je ludzie, dotknięci manją morderczą czy też rozmiłowani w rzezi, jako pojęciu. Zdarzają się między nimi tacy, którzy czują nieuzasadnioną antypatję, lecz w tym wypadku rzadko się trafia homicydium. Przejdźmy teraz do zbrodni z prawdziwych motywów. Między niemi trafiają się i mniej uzasadnione, to znaczy, że są albo romantycznej natury lub też dają wyraz zadowolnionym uczuciom. Krwawa zemsta jest czynem bezużytecznego odwetu. A więc kochanek zabija rywala, któryby nigdy nie zajął jego miejsca, lub rewolucjonista zabija tyrana, gdy zwycięstwo rewolucji jest już pewne. Najczęściej jednak zbrodniarze żywią jakąś uzasadnioną nadzieję. Są to ludzie żyjący nadzieją lepszej przyszłości. Tacy dostają się do największej sekcji drugiego oddziału między tych, których nazywamy zbrodniarzami przezornymi. Ci znów dzielą się na dwa rodzaje. A więc tacy, którzy zabijają dla otrzymania własności ofiary, czy to w celach sukcesji, czy zwyczajnej kradzieży, albo tacy, którzy w ten sposób pragną zapobiec czynom współzawodnika, naprzykład zabójstwo szantażysty lub politycznego przeciwnika, pozbycia się biernej przeszkody—żony czy męża—która pozostała przy życiu zawadzałaby. Jesteśmy przekonani, że taka klasyfikacja jest doskonale obmyślana i zastosowana i całkowicie wyczerpuje problemat zbrodni. Ale obawiam się, że wyrażam się niezbyt jasno i nudzę księdza.

— Bynajmniej — odrzekł Ojciec Brown. — Przypuszczam pana za swoją roztargnioną minę. Myślałem właśnie o pewnej osobie, którą przypadkiem poznałem. Był to mor-

derca, ale nie wiem w którą przegródkę pańskiego muzeum mógłbym go wpakować. Nie był warjatem i w czasie zbrodni nie udawał obłąkanego. Nie czuł żadnej nienawiści, do człowieka, którego zabił. Bardzo mało go znał i nie miał za co mścić się na nim. Zabity nie posiadał nic takiego, co by pragnął posiadać zabójca. Zabity nie czynił nic takiego, czemuby zabójca chciał przeszkodzić. Zabity niczem nie obrażał ani zawadzał zabójcy w żaden sposób. W całej tej sprawie nie było kobiety i nie było polityki. Człowiek zabił swego bliźniego dla bardzo dziwnej przyczyny, jedynej może w historii ludzkości.

I swoim gawędziarskim stylem opowiedział następującą historję.

— Opowieść tę należy zacząć od opisu zacnej aczkolwiek bogatej rodziny nazwiskiem Bankes, siedzącej w tej chwili przy śniadaniu. Dom ich stoi na przedmieściu, co ma ważne znaczenie, gdyż rozmowa tocząca się zwykle o wypadkach dnia, wyczytanych w gazetach została naraz skierowana na tajemnicę obchodzącą blisko ich przedmieście.

Mówi się często o ludziach roznoszących plotki o swych sąsiadach, w tym wypadku jednak rodzinę tę można zupełnie usprawiedliwić. Kmiotkowie na wsi opowiadają sobie chętnie o swych bliźnich plotki prawdziwe czy też wyssane z palca, ale kulturalni mieszkańcy nowoczesnego przedmieścia tak wierzą we wszystko, co wyczytają w gazetach, czy to chodzi o zdrożności papieża, czy też o męczeńską śmierć króla Kanibalskich wysp, że tematy takie wystarczają im do tego stopnia, iż nie wiedzą nawet, co się dzieje u najbliższego sąsiada. W tym wypadku jednak obie formy zainteresowania zbiegły się zgodnie z niezwykłą siłą. Ich własne przedmieście wymienione było w gazecie. Był to jakby dowód ich własnej egzystencji, gdy zobaczyli tę nazwę w druku. Tak jakby dotychczas byli nieznani i niewidzialni, a teraz stali się rzeczywistością, niczem król Kanibalskich wysp.

A więc czytali, że sławny przestępca znany pod nazwiskiem Michała Moonshine (światło księżyca), jak i pod

wielu innemi, z których żadne przypuszczalnie nie było jego własnem, został świeżo wypuszczony z długoterminowego więzienia, gdzie odbywał karę za liczne kradzieże z włamaniem. Dalej dowiedzieli się, że pozostając obecnie na wolności, osiedlił się na wspomnianem przedmieściu, które dla wygody nazwijmy Chasham. Prócz tego przeczytać mogli długą listę jego sławnych, nieustraszonych czynów.

Gazetki tego pokroju redagowane są widocznie dla czytelników nie posiadających pamięci. Zupełnie słusznie może, bo jeżeli w pamięci pospólstwa wspomnienie Robin Hooda czy Rob Roya jest żywe przez całe stulecia, to zwykły urzędnik z trudnością przypomni sobie o rzezimieszku, o którym rozmawiał jakieś dwa lata temu w tramwaju. Tylko że Michał Moonshine heroizmem swych łotrów wykazał tyle podobieństwa do Robin Hooda i Rob Roya, że zasługiwał na to, aby postać jego otoczyć legendarnym urokiem.

Zbyt zręcznym był rzezimieszkiem, żeby mordować ludzi, lecz gdy pewnego razu z niezwykłą siłą i zręcznością kopnął policjanta, jakby to był kręgiel, czyn ten steroryzował ostatecznie ludność, dopełnił miary lęku i tajemniczości. Uznano, że gdyby zabijał, byłby bardziej zbliżonym do ludzkiej istoty.

Pan Simon Bankes, ojciec rodziny, był uważniejszym czytelnikiem gazet i zapatrywania miał bardziej zacofane niż reszta jego rodziny. Był to krzepki jeszcze mężczyzna, nosił krótko przyszyżoną siwą bródkę, a czoło miał poorażone zmarszczkami. Zaczął zaraz przypominać sobie różne anegdoty i zdarzenia. Doskonale pamiętał czasy, kiedy Londyńczycy nie mogli usnąć, myśląc o Mike Moonshine lub o Kubusiu Skoczypięcie.

Przy stole siedziała również i żona jego, szczupła, ciemnowłosa dama. Była zawsze ubrana z przesadną elegancją, co uważała za nieodzowne, gdyż rodzina jej posiadała więcej pieniędzy niż rodzina jej męża, ale o wiele mniej wykształcenia. Była właścicielką wielce cennego szmarag-

dowego naszyjnika, co dawało jej prawo do wygłaszania apodyktycznych zdań o złodziejach.

Córka jej Opal też szczupła i ciemnowłosa uważała się za okultystkę. Oczywiście uważała się sama, bo domownicy mało ją do tego zachęcali. Duchom astralu dano do zrozumienia, żeby nie materjalizowały się w obecności członków tak licznej rodziny.

Brat jej John, wielkie otyłe chłopaczysko, całkiem niewykwintnie wyrażał się o spirytystycznym rozwoju swej siostry, zato z wielkim zapalem interesował się automobilizmem. Stale zajęty był sprzedażą jakiegoś auta i kupnem innego i dziwnym jakimś sposobem, trudnym do zrozumienia dla ekonomistów, toż samo auto, które u sprzedającego było już zepsute i zdyskredytowane, w jego rękach nabierało odrazu niebywałych wartości.

Drugi brat Filip, młody człowiek o ciemnych kędzierzawych włosach, zwracał uwagę niezwykle wytwornem ubraniem, co jednak było wątpliwą zaletą spełniającego obowiązki pośrednika giełdowego, jakkolwiek na swem stanowisku mógł zaledwie dać lekko do zrozumienia, jakby się ubrać potrafił.

Oprócz zebranej rodziny przy śniadaniu znajdował się i przyjaciel Filipa, Daniel Devine, również ciemnowłosy i wytwornie odziany, niezwykle jednak jego broda nadawała twarzy piętno cudzoziemskie i pewną surowość.

Devine pierwszy podsunął im temat rozmowy. Udało mu się tak skutecznie zastosować ten środek rozrywki, że rodzinna pogawędka zaczęła rychło przybierać wszelkie pozory rodzinnej sprzeczki. Uduchowiona panna przypomniała sobie blade twarze zjaw, widziane za oknami w próżni nocnej, a John z większą niż zwykle bezwzględnością wyśmiewał te objawy wyższego stopnia.

Jednak dziennikarska wzmianka o ich nowym a może niepokojącym sąsiedzie pogodziła poważnione rodzeństwo.

— Ależ to okropne! — zawołała pani Bankes. — To ktoś z nowoprzybyłych! Kto to może być?

— Nie słyszałam, żeby tu kto nowy się sprowadził — odrzekł małżonek. — Prócz Sir Leopolda Pulmana z Beechwood House.

— Mój drogi — odrzekła żona. — Mówisz głupstwa! Sir Leopold! — po chwili dodała: — Jeżeli, to już może jego sekretarz... ten z bokobrodami... Mówiłam zawsze od czasu gdy objął miejsce, które Filip powinien był zająć...

— Niema się o co rozbijać — odezwał się Filip, składając także skromną daninę do ogólnej konwersacji. — Nieodpowiednie dla mnie.

— Jednego z nowych mieszkańców i ja znam — wtrącił Devine. — Jest to niejaki Carver, który zamieszkał w farmie Smitha. Prowadzi bardzo spokojne życie, ale jest dość ciekawy w rozmowie. Zdaje się, że John miał z nim jakieś interesy.

— Coś niecoś rozumie się na autach — przyznał się John — a rozumiałby więcej, gdyby siedział w mojem nowem aucie.

Devine uśmiechnął się lekko. Każdy pobłażliwie traktował nowe auto Johna.

— Nie mam do niego wielkiego nabożeństwa — mówił dalej Devine. — Zna się na prowadzeniu auta, podróżował, ale teraz siedzi stale w domu, — depcząc koło ulów starego Smitha. Podobno studjuje kulturę pszczół i dlatego mieszka u Smitha. Dosyć spokojna manja, jak na takiego człowieka. Chociaż nie wątpię, że auto Johna wywarło na nim pewne wrażenie.

Gdy tego wieczoru Devine wychodził z domu, ogorzała twarz jego nosiła wyraz wielkiego skupienia. Myśli jego zasługiwały na to, żeby się nimi zainteresować, ale wystarczy, jeżeli powiemy, że rezolucją ich było postanowienie złożenia natychmiastowej wizyty Carverowi w farmie Smitha. Gdy zawrócił w tym kierunku, spotkał Bernarda, sekretarza z Beechwood House, znanego z szczupłej figury i szerokich bokobrodów, które mu pani Bankes poczytywała za ujmę.

Znajomość ich była przelotna, a rozmowy krótkie, ale tym razem Devine znalazł w niej pokarm do przyszłych rozmyślań.

— Bardzo przepraszam — odezwał się nagle, — że o to pytam, ale czy to prawda, że lady Pulman trzyma podobno wspaniałe klejnoty w Beechwood House? Nie jestem zawodowym złodziejem, — ale właśnie dowiedziałem się, że w tej okolicy przebywa taki obwieś.

— Zwrócę jej uwagę, żeby miała na nie oko — odrzekł sekretarz. — Co prawda to ośmieliłem się już ostrzec ją. Przypuszczam, że będzie uważała.

Naraz za nimi rozległ przeraźliwy ryk trąbki samochodowej. To John Bankes nadjechał i zatrzymał się koło nich, dumny, że tak doskonale umie kierować. Gdy usłyszał dokąd Devine idzie, oznajmił, że i on tam się wybiera, ale z tonu wymiarkować można było, że cieszy go możliwość zaproponowania przejażdżki przyjacielowi. Podczas jazdy rozprawiał bez przerwy o zaletach auta, o doskonałym jego przystosowaniu do pogody.

— Zamyka się szczelnie jak pudełko a otwiera się tak łatwo jak twoje usta.

Usta Devine'a do tej pory nie mogły się jakoś łatwo otworzyć i przybyli do farmy Smitha przy bezustannem monologowaniu Johna.

Gdy minęli bramę, Devine ujrzał człowieka, którego pragnął zobaczyć. Chodził dokoła ogrodu z rękami w kieszeniach. Na głowie miał wielki obwisły słomiany kapelusz. Był to mężczyzna o szczupłej twarzy i szerokiej dolnej szczęce. Szerokie rondo kapelusza rzuciło wielki cień na górną część twarzy, która wyglądała jak w masce. Za nim widać było szereg słonecznych uli, przy których jakiś starszy jegomość, pewnie sam Smith, kręcił się w towarzystwie niskiego, pospolicie wyglądającego mężczyzny w czarnej sutannie.

Proszę pana — odezwał się porywczo John, zanim Devine zdążył się przywitać — dostawiłem je tutaj, aby pan

mógł się przejechać. Nie uważa pan, że jest lepsze niż „Thunder-bolt“?

Usta pana Carvera ułożyły się do uśmiechu, który miał być wdzięczny, pozostał jednak przykry.

— Nie wiem, czy będę mógł — odrzekł. — Będę dziś miał jeszcze dużo zajęcia...

— Jakież zamilowanie do pracowitych pszczołek, — zauważył Devine trochę zagadkowo. — Pańskie pszczoły muszą być naprawdę bardzo pracowite, jeżeli zatrzymują pana przy sobie przez całą noc. Nie dziwiłbym się, gdyby...

— Gdyby?... — zapytał wyzywająco Carver.

— Gdyby pan sam za nie zbierał miód przy świetle księżycy...

Błysnęły oczy z pod szerokiego kapelusza.

— Jest tu dosyć księżycowego światła do roboty. Ale ostrzegam pana, że moje pszczoły nietylko miód robią. — One kłują...

— Idzie pan do auta? — nalegał John. Carver jednak stanowczo choć grzecznie odmówił:

— Nie mogę. Mam jeszcze wiele do pisania. Może pan jednak zadowoli się innym towarzystwem. Oto Ojciec Brown, mój przyjaciel.

— Naturalnie! — zawołał Bankes. — Pojedziemy razem!

— Bardzo panu dziękuję — odrzekł Ojciec Brown — ale jestem zmuszony odmówić. Za parę minut muszę być w kościele.

— Ale pan Smith — odezwał się Carver lekko zniecierpliwiony — sędzę, że marzy o przejażdżce autem.

Smith nie wyglądał wcale na to, aby mógł o czemś marzyć. Był to ruchliwy mały człowiek w wielkiej peruce, którą można było równie dobrze zastąpić kapeluszem. Żółta jej barwa zlała zupełnie, dostosowując się do bezbarwnej cery właściciela.

Pokręcił głową, wymawiając się uprzejmie.

— Pamiętam, że dziesięć lat temu jeździłem tą drogą, w tamtą stronę. Jeździłem do siostry w Holmgate i od tego czasu nie używałem samochodu. Bardzo wyboista droga, niech mi pan wierzy.

— Dziesięć lat temu! — pokiwał John. — Dziesięć tysięcy lat temu jeździł pan wozem, zaprzężonym wołami! Czy pan sobie wyobraża, że od dziesięciu lat nie zmieniły się auta i drogi? W mojem aucie nie będzie pan nawet czuł, że się koła obracają! Będzie się panu zdawało, że pan fruwał...

— Jestem pewien, że pan Smith pragnąłby pofruwać — namawiał Carver. — Marzył o tem przez całe życie... Cóż, Smith? wybierz się pan do siostry do Holmgate. Przecież powinienes ją pan odwiedzić. Możesz pojechać i tam przemocować.

— Tak, jeżeli tam chodzę, zawsze muszę przemocować, — odrzekł stary Smith. — Ale nie chcę pana fatygować, dzisiaj zwłaszcza.

— Ale pomyśl pan, jakie to robi wrażenie na siostrze, gdy zobaczy pana zajeżdżającego do niej autem — zawołał Carver, — mógłby pan naprawdę pojechać... Nie należy być takim samolubem.

— Właśnie! powtórzył Bankes. — Nie należy być samolubem! To nie robi panu przykrości. Chyba nie boi się pan?

— No, już dobrze — odparł Smith lekko zafrasowany. — Nie chcę być samolubem i wcale się nie boję. Pojadę z panem, jeśli już pan tak chce koniecznie.

Ruszyli obaj, żegnani powiewami chusteczek. Ale Ojciec Brown i Devine zwrócili uwagę na imponującą minę Carvera; przesyłającego te pożegnalne gesty. Znać było w całym zachowaniu wielką i silną indywidualność ich gospodarza.

W chwili, gdy auto znikło im z oczu, Carver zwrócił się do gościa.

— I cóż? — odezwał się. Powiedział to w sposób niby uprzejmy, mało jednak zachęcający do pozostania.

— Muszę już iść — odrzekł Devine. — Nie będziemy panu przeszkadzali w pracy przy pszczołach. Przyznam się, że niewiele wiem o pszczołach. Nie wiem, czy potrafiłbym odróżnić pszczołę od osy.

— Trzymam i osy — odpowiedział tajemniczy Carver.

Kiedy obaj z księdzem wyszli z farmy, Devine nie panując prawie nad sobą, zwrócił się nagle do księdza:

— Dziwnie to jakoś wszystko wygląda, nie uważa ksiądz?

— Rzeczywiście — odrzekł ksiądz. — A co pan o tem myśli?

Devine spojrzał na Ojca Browna i dojrzał w jego szarych oczach coś, co wznowiło jego niepokój.

— Myślę, że Garver pragnął się nas wszystkich pozbyć tego wieczoru. Nie wiem czy i ksiądz ma jakie względem niego podejrzenia?

— Mam pewne, ale nie jestem pewien, czy pańskie są takie same.

Tegoż wieczoru, gdy w ogrodach otaczających posiadłość Bankesów, ostatnie zwoje zmierzchu barwiły się ręką nocy na czarno, panna Opal przechadzała się po mrocznych i pustych pokojach, bardziej niż zwykle pogrążona w abstrakcyjnej zadumie. Gdyby kto teraz spojrzał na nią, zauważyłby, że blada jej twarz bledsza była niż zazwyczaj. Mimo mieszczańskiego zbytku, w mieszkaniu panowała melancholja. Jest to nieuchronny smutek, właściwy rzeczom, które są bardziej stare niż starożytne. Więcej mówiły o wygasłej modzie niż o dziejowych zmianach, styl zaś i ozdoby były na tyle świeże, że można było rozpoznać, iż panowanie ich dawno się skończyło. Gdzie niegdzie kolorowe szyby z wczesnej wiktoriańskiej epoki barwiły szary zmierzch, wysokie sufity zwężały długie komnaty, a na końcu wąskiego bardzo pokoju znajdowało się jedno z tych

okien okrągłych, jakimi ozdabiano niegdyś podobne domy. Gdy doszła do połowy pokoju, stanęła nagle i uczyniła jakiś gest, jakby usuwając z przed twarzy niewidzialną rękę.

W chwilę potem dało się słyszeć stukanie do frontowych drzwi. Wiedziała wprawdzie, że wszyscy domownicy są na piętrze, jednak nie analizowała przyczyny, dlaczego sama poszła otworzyć... Na progu stała wielce osowiała i przygnębiona postać w czarnym ubraniu. Poznała księdza Browna. Znała go niewiele, ale lubiła bardzo. Nie zachęcał jej do psychicznych eksperymentów, nawet przeciwnie. Nie zachęcał jednak nie dlatego, żeby mu na tem co zależało, lecz zniechęcał właśnie dlatego, że mu nic na tem nie zależało. Zresztą nie było mu do tego stopnia obojętne, żeby nie mógł sympatyzować z jej pojęciami, może i sympatyzował, ale nie zgadzał się.

W tej chwili jednak w głowie jej panował zupełny chaos. Gdy go zobaczyła, nie witając się z nim i nie czekając, co jej powie, zawołała:

— Jak to dobrze, że ksiądz przyszedł! Widziałam ducha!

— Niech się pani tem nie przejmuje. To się często zdarza. Wiele duchów nie jest wcale duchami, a reszta nie zrobi pani krzywdy.

Czy to był jaki osobliwy duch?

— Nie — odrzekła z pewnem uczuciem ulgi — to nie było tak przerażające, jak pęknięcie niebios czy błysk upadających światów... To była twarz. Jakaś twarz w oknie... Ale blada z wytrzeszczonemi oczyma, jak obraz Judasza.

— Phi... bardzo wielu ludzi jest do niego podobnych — rozważał ksiądz. — I napewno nieraz zaglądają do okien. Czy mogę zobaczyć, gdzie to było?

Gdy oboje powrócili z oględzin, w pokoju zebrała się tymczasem reszta rodziny, a ponieważ byli mniej uduchowieni, pomyśleli o zapaleniu lamp. W obecności pani Bankes Ojciec Brown przypomniał sobie o formach towarzyskich i przeproszał za swą wizytę.

— Obawiam się, że zbyt bezceremonjalnie tu przyszedłem, mogę się jednak wytłumaczyć tem, że to co zaszło, może i panią obchodzić. Wróciłem właśnie od Pulmarów, gdy zawiadomiono mnie telefonicznie, żebym tu przyszedł i spotkał się z kimś, kto ma do zakomunikowania coś, co może i państwa też spotkać. Nie mogę nic więcej powiedzieć, tylko tyle, że byłem świadkiem tego, co stało się w Beechwood House. Właściwie to ja sam podniosłem alarm.

— Ale co się stało? — spytała pani Bankes.

— Popelniono tam wielką kradzież. Zginęły klejnoty lady Pulman, a jej sekretarza pana Bernarad, znaleziono zabitego w ogrodzie.

Zastrzelił go widocznie złodziej.

— Jego? — wyjąkała pani Bankes. — A ja myślałam...

Spotkała poważny wzrok księdza i słowa jej uwięzły w gardle.

— Porozumiewałem się z policją — mówił ksiądz dalej — i innemi władzami zainteresowanemi tą sprawą i dowiedziałem się, że nawet powierzchowne śledztwo wykazało ślady palców i stóp znanego dobrze przestępcy.

Rozmowę przerwało wejście Johna Bankesa. Mine miał niebardzo zadowoloną, widocznie stary Smith nie był zbyt przyjemnym towarzyszem.

— Cuchnął niemożliwie do ostatniej chwili — oznajmił z niesmakiem. — Wyrывał się, jak tylko dodałem gazu... Na przyszły raz wolę wziąć ze sobą...

Narzekania jego nie robiły żadnego wrażenia na zmonotonowanym towarzystwie, które skupiło się dookoła księdza Browna.

— Za chwilę przyjdzie tu ktoś — tłumaczył się ksiądz dość oględnie — kto uwolni mnie od odpowiedzialności i gdy skonfrontuję państwa z nim, wypełnię swój obowiązek, jako świadek w poważnej bardzo sprawie. Dodam tyl-

ko jeszcze, że służąca z Beechwood mówiła mi, że widziała jakąś twarz w oknie.

— I ja widziałam — wtrąciła Opal.

— E, ty zawsze widzisz twarze — burknął John.

— To znaczy, że się widzi fakty, nawet jeżeli one są twarzami — mówił Ojciec Brown. — A sędzę, że twarz, którą pani widziała...

Znowu zastukano do drzwi i do pokoju weszła nowa osoba. Devine na jej widok uniósł się z krzesła. Była to wyniosła postać mężczyzny z kamienną twarzą o mocnej szczęce. Oczy niebieskie, błyszczące silnym ogniem, które Devine przed paroma godzinami widział osłonięte słomianym kapeluszem.

— Proszę, — niech się nikt stąd nie rusza — odezwał się Carver bardzo uprzejmym tonem. Devine miał jednak wrażenie, że jest to uprzejmość bandyty, grożącego przy tych słowach rewolwerem.

— Proszę usiąść panie Devine — mówił dalej — a za pozwoleniem pani Bankes i ja pójdę za pańskim przykładem. Obecność moja tutaj wymaga wyjaśnienia. Zdaje mi się, że państwo biorą mnie za sławnego bandytę?

— Rzeczywiście — odparł Devine poważnie.

— Jak pan widzi, niezawsze łatwo jest odróżnić pszczołę od osy.

Po chwili zwracając się do całego towarzystwa, ciągnął dalej:

— Muszę przyznać, że jestem jednym z najpożyteczniejszych, a zarazem najprzykrzejszych owadów. Jestem detektywem i przybyłem tu, aby śledzić wznowioną działalność przestępcy, który podawał się za Michała Moonshine. Kradzież klejnotów była jego specjalnością, a teraz właśnie miała miejsce w Beechood House i wszystko przemawia za tem, że była to jego sprawka. nietylko odciski palców i stóp zgadzają się, ale o ile państwo sobie przypominają, że kiedy był ostatnim razem aresztowany, nosił nieskomplikowa-

ne, lecz efektowne przebranie... Nosił rudą brodę i ogromne w rogowej oprawie okulary.

Opal Bankes pochyliła się naprzód silnie wzruszona.

— Ta sama! — zawołała z przejęciem. — Widziałam tę twarz w ogromnych okularach i z czerwoną potarganą brodą. Wyglądał jak Judasz. Myślałam, że to duch...

— Takiego samego ducha widziała służąca w Bechwood — odparł Carver. Rozłożył jakieś papiery i paczki na stole i zaczął je przewiązywać. — Jak już wspominałem zostałem tu przysłany na zbadanie planów tego Monshine'a. Dlatego też zainteresowałem się pasieką Smitha i zamieszkałem u niego.

Zapadło milczenie, które wreszcie przerwał Devine mówiąc:

— Pan chyba nie myśli, aby ten miły staruszek...

— O, panie Devine — odparł Carver z uśmiechem — pan przypuszczał, że ul jest moją kryjówką. Czemużby nie mógł być jego kryjówką?

Devine kiwnął głową ze smutkiem, a detektyw wrócił do swych papierów.

— Podejrzanego Smitha chciałem oderwać od roboty i wejrzeć w jego sprawy, skorzystałem więc z uprzejmości pana Bankesa, namawiając go do przejażdżki. Przeszukując jego rzeczy, znalazłem parę ciekawych rzeczy, należących do niewinnego starego chłopca, zajmującego się spokojnie pszczelnictwem. Oto jedna z nich.

Z rozwiniętego papieru wydobył długi pęk jaskrawo rudych włosów, coś w rodzaju przyprawnej brody, jaką kładą aktorzy na scenie. — Obok tego leżały wielkie rogowe okulary.

— Prócz tego znalazłem jeszcze coś, co bardziej może obchodzić dom państwa, a mnie usprawiedliwi z bezceremonialnego tu przyjścia. Znalazłem notatnik, a w nim nazwisko sąsiednich mieszkańców i przypuszczalnych wartości ich biżuterij. Zaraz po diademie lady Pulman, był wymieniony szmaragdowy naszyjnik pani Bankes.

Pani Bankes, która dotąd wyniośle patrzyła na intruzów nachodzących jej dom, teraz natężyła uwagę. Twarz jej naraz postarzała o lat dziesięć i nabrała inteligentniejszego wyrazu. Zanim jednak zdążyła przemówić, porywczy John porwał się z miejsca jak oszalały słon.

— Diadem zginął! — ryknął, — a naszyjnik?... Pójdę zobaczyć, czy jest naszyjnik...

— Niezła myśl — odezwał się Carver, gdy młody człowiek wyleciał z pokoju. — Chociaż podwoiliśmy teraz czujność. Zajął mi trochę czasu odczytywanie notatnika, gdyż był szyfrowany, a kiedy byłem już bliski końca Ojciec Brown zatelefonował po mnie z Beechwood, poprosiłem więc go, aby naprzód sam przyszedł tu z tą wiadomością, a ja zaś miałem za chwilę...

Przerwał mu krzyk. Opal zerwała się z miejsca i wskazywała okrągłe okno: — Jest! Znowu jest!...

Wszyscy zobaczyli coś, co uwolniło pannę z posądzenia o kłamstwo lub histerję, którą ją stale prześladowano. Z mrocznej ciemności wylaniała się twarz blada, przyciśnięta do szyby i wielkie, błyszczące oczy w ciemnych obwódkach, podobne do oczu wielkiej ryby, wynurzającej się z ciemnego morza. Ale skrzela czy pletwy tej ryby były miedziano-czerwone. Były to rude bokobrody i górna część brody tej samej barwy. Devine uczynił krok w stronę okna, gdy naraz rozległ się wystrzał, który zatrzęsł całym domem. Był zbyt ogłuszający, żeby można było rozpoznać w której padł stronie. Było to jednak dostateczne by powstrzymać krok Devine'a. Zrozumiał, co się stało.

— Naszyjnik zginął! — krzyknął John, ukazując we drzwiach swą wielką postać i prawie natychmiast zniknął w zacieklej gonitwie za złodziejem.

— To złodziej był teraz w oknie! — krzyknął Carver i też popędził za Johnem, który był już w ogrodzie.

— Uważaj! — rozpaczala matka. — Oni mają zawsze rewolwery przy sobie...

— Ja mam też — brzmiał z odległości głos nieustraszonego syna.

Devine widział w istocie, że młodzieniec, wybiegając wywijał rewolwerem i przypuszczał, że może nie będzie potrzebował się bronić. Ale właśnie w tej chwili dały się słyszeć dwa strzały, jakby jeden był odpowiedzią na drugi i obudziły całe stado ech w cichym, podmiejskim ogrodzie.

— Czy John zabity? — spytała Opal cichym, drżącym głosem.

Ojciec Brown zanurzył się głębiej w ciemności nocne, widać jednak było, że stoi tyłem zwrócony do domu i przygląda się czemuś bacznie.

— Nie — odpowiedział. — To ten drugi.

Carver pobiegł za nim. Po chwili dwie osoby, niska i wysoka, przydźwigały ciało zabitego. Zachmurzony dziś księżyc słabe rzucił światło na leżącą postać. Ojciec Brown i Carver usunęli się na stronę i wtedy ujrano małą, drobną postać lekko skurczoną, jakby w ostatniej walce. Przyprawna broda z ironiczną wzdrgadą podniosła się w górę, a księżyc zajrzał w wielkie kłamliwe okulary człowieka, który nazwał siebie księżycowem światłem (Moonshine).

— Taki koniec — szepnął detektyw, — po tylu przygodach i awanturach został zabity najzwyczajniej w podmiejskim ogrodzie, przez zapalonego automobilistę.

Automobilista patrzył na swe zwycięstwo poważnie, nie bez lekkiego jednak zdenerwowania.

— Tak, zabiłem... — westchnął, drżący jeszcze ze wzruszenia, — bardzo mi przykro... strzelił do mnie.

— Będzie śledztwo, naturalnie — odezwał się Carver poważnie. — Ale przypuszczam, że nie będzie pan miał żadnych przykrości. Oto jest rewolwer, który wypadł mu z ręki, z jedną wystrzeloną kulą. Nie mógł więcej strzelać, gdyż go pan ubiegł.

Po chwili detektyw zaczął zbierać papiery ze stołu, mając zamiar odejść. Ojciec Brown stał naprzeciw niego, pa-

trząc na stół z jakimś niezwykłym zainteresowaniem. Nagle odezwał się:

— Panie Carver, niewątpliwie wypracował pan już całokształt tej sprawy w bardzo umiejętny sposób. Umiem tylko domyślać się tajników pańskiego zawodu, ale nie mogę zrozumieć, w jaki sposób zespolił pan wszystkie ogniwa tego łańcucha — i pszczoły i brodę i okulary i pismo szyfrowane i naszyjnik — wszystko jednym słowem.

— Zawsze daje dobre wyniki sprawa, gdy ją się zdala okrąża.

— Tak — zgodził się Ojciec Brown, patrząc ciągle na stół. — Podziwiam to właśnie. — Ale zdobywając się na energję dodał ze skromnością: — Tylko jeżeli mam być szczery, nie wierzę w to ani trochę...

Devine pochylił się naprzód z niesłychanym zainteresowaniem.

— Ksiądz nie wierzy, że to jest Moonshine, rzeźmieszek?

— Wiem, że to jest rzeźmieszek, ale nie popełnił tej kradzieży. Wiem, że nie przyszedł tutaj, ani do tamtego domu w celu kradzieży czy zabójstwa. Gdzież są te klejnoty?

— Tam, gdzie są zwykle w takich razach — odrzekł Carver. — Albo je ukrył, albo je oddał jakiemuś współnikowi. To nie jest robota jednego człowieka, w tej chwili moi ludzie przeszukują cały ogród i czuwają w całym dystrykcie.

— Może to współnik kradł naszyjnik — domyślała się pani Bankes — a Moonshine zaglądał do okna?

— Pocoby Moonshine miał koniecznie zaglądać do okna? — spytał spokojnie Ojciec Brown.

— Jakto? — zawołał wesoło John. — A cóż sobie ksiądz wyobraża?

— Myślę, że on chyba nigdy nie potrzebował zaglądać do okien.

— Więc dlaczego to robił? — spytał Carver. — Co tu o tem dużo gadać! przecież widzieliśmy to wszyscy na własne oczy!...

— Wiele rzeczy widziałem na własne oczy, a nie wierzę w nie — odparł ksiądz. — Chociażby na scenie...

— Ojcie Brownie — z dziwnym respektem w głosie zwrócił się do niego Carver — proszę nam powiedzieć, dlaczego ksiądz w to nie wierzy?

— Chętnie. Pan wie kto ja jestem i jaka jest moja cała parafja. Nie sprawiamy panu wielkiego kłopotu. Chcemy żyć w zgodzie z całym sąsiedztwem. Ale pan nie może przypuszczać, że nic nie robimy. Pan nie może sądzić, że nic nie wiemy. Myślimy o własnych sprawach, ale też znamy własne sprawy i znamy własnych ludzi. Znam więc doskonale tego zabitego człowieka. Byłem jego spowiednikiem i jego przyjacielem. O ile to jest w mocy ludzkiej, znałem jego duszę, wiedziałem o czem myślał, do tej chwili, gdy wyszedł dziś do swego ogrodu. Jego dusza była jak szklany ul, pełen złotych pszczoł. Będzie to słabo brzmiało, jeżeli powiem, że jego odrodzenie było najszczęśliwsze. Był to jeden z tych wielkich grzeszników, którzy lepiej pojmują pokutę, niż inni cnotę. Powiedziałem, że byłem jego spowiednikiem, ale właściwie to ja sam przyszedłem do niego, by go pokrzepić. Sam czułem się lepszym, gdyż byłem w pobliżu dobrego człowieka. A gdy zobaczyłem go, leżącego bez życia, pomyślałem sobie, że pewne słowa, które były niegdyś wypowiedziane, stosują się do niego... Tak, bo jeżeli człowiek może się dostać do nieba, to właśnie on nim mógł być.

— Niech go diabli! — zawołał John z jakimś niepokojem. — Przecież to był notoryczny złodziej!

— Tak, — przyznał Ojciec Brown — właśnie taki notoryczny złodziej usłyszał kiedyś obietnicę: — „Zaprawdę, powiadam ci, dziś jeszcze będziesz ze Mną w niebie“.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które w końcu przerwał Devine pytaniem:

— Więc jakże to sobie ksiądz tłumaczy?

Ksiądz pokręcił głową.

— Nie umiem tego wytłumaczyć — odrzekł popro-
stu. — Widzę tylko jakieś dziwne sprawy, ale ich nie ro-
zumiem. Nie dowiodłem dotychczas niewinności człowieka,
potwierdziłem tylko tożsamość jego osoby. Niewinności
zaś jego jestem pewien.

Westchnął i położył rękę na swym wielkim kapeluszu.
Wziął go już w rękę, ale spojrzał znów na stół, tknięty jakąś
nową myślą. Okrągła jego, uczesana na jeża głowa zwró-
ciła się w inną stronę. Jakby jakiś ciekawy stwór wylazł
z jego kapelusza jak z kapelusza czarodzieja. Ale wszyscy,
idąc za jego spojrzeniem, nie widzieli nic, prócz papierów
detektywa, czerwonej brody i okularów.

— Wielki Boże! — szepnął Ojciec Brown. — Prze-
cież on tam leży nieżywy z przyprawioną brodą i w oku-
larach. — Obrócił się nagle do Devine'a. — Tego nie moż-
na tak pozostawić, jeżeli chcemy coś zrozumieć... Dlaczego
on miał dwie brody?

Wyskoczył z pokoju w niezbyt poważny sposób, a De-
vine pożerany ciekawością podążył za nim do ogrodu.

— Nic teraz nie mogę stanowczego powiedzieć —
odezwał się do niego Ojciec Brown. — Nie jestem pewien
i to mnie dręczy... Przyjdź pan jutro do mnie, może już będę
mógł to wytłumaczyć. Rozjaśni mi się w głowie i... słyszy
pan turkot?

— Tak, odjeżdża auto.

— Auto Johna Bankesa. Zdaje się, że jest bardzo
szybkie.

— Przynajmniej on tak twierdzi — odrzekł Devine
z uśmiechem.

— Tej nocy zajedzie daleko, bezpiecznie i prędko...

— Co ksiądz ma na myśli?

— Myślę, że już nie powróci. John domyśla się,
z tego co mówiłem, że zrozumiałem wiele rzeczy. Odjechał,
a z nim szmaragdy i inne klejnoty.

Nazajutrz Devine zastał Ojca Browna chodzącego koło uli. Był zatroskany lecz spokojny.

— Zwoływałem pszczołki — mówił. — Czy pan wie, jak nazwał swoje pszczoły? „Śpiewającymi mularzami, budującymi strzechy złote“. Był sam jak pszczoła, pielęgnując je tak troskliwie.

— Przypuszczam, że nie lekcewałzył rodzaju ludzkiego, gdy te roje brzęczały wesoło koło niego — odrzekł młody człowiek. — Miał ksiądz rację mówiąc, że Bankes uciekł z klejnotami, ale nie mogę dociec, jakim sposobem doszedł ksiądz do tego przekonania.

Ojciec Brown mrugnął dobrotliwie na pszczoły i odrzekł:

— Jeden fałszywy krok staje się powodem upadku. Zdumiony byłem, że ten biedny Bernard został zabity w Beechwood. Chociaż Moonshine był mistrzem złodziejstwa, uważał sobie za punkt honoru spełniać swe czyny bez zabójstw. Byłoby więc wprost nieprawdopodobne, aby teraz, kiedy prowadził zupełnie światobliwe życie, mógł popełnić występki, który miał w pogardzie, gdy był grzesznikiem. Inne szczegóły tej sprawy zdumiewały mnie również. Nic z tego nie rozumiałem, byłem tylko pewien, że nic z tego nie jest prawdą. Ale spadł na mnie spóźniony promień objawienia, gdy zobaczyłem brodę i okulary i przypomniałem sobie, że złodziej był tam też z brodą i w okularach. Oczywiście było możliwe, że miał tego po dwie sztuki, ale byłby to conajmniej dziwny zbieg okoliczności, gdyby nie użył starych szkieł i starej brody, jeszcze w zupełnie dobrym stanie. Było również możliwe, że wyszedł nie przebrawszy się i postarał się o inne, ale to też nie jest bardzo prawdopodobne. Nie zrobił tego, jadąc z Banksem. Gdyby wybierał się na „robotę“, mógłby zabrać je z sobą do kieszeni, a jeżeli tego nie zrobił, to przecie brody nie rosną w krzakach. Trudno byłoby mu zdobyć takie rzeczy tak naprędce. A więc nie. Im więcej nad tem myślałem, im bardziej wczuwałem się w tę całą sprawę, wi-

działem coś nienaturalnego w tem nowem przebraniu. I zaczęła mi świtać w głowie prawda, którą dotychczas czułem instynktownie tylko. Gdy wyjeżdżał z Bankesem nie przyszło mu nawet do głowy, by zabrać ze sobą przebranie. Bo on się wcale nie przebierał. Ktoś inny postarał się o podobne przebranie i nałożył na niego.

— Nałożył na niego? — powtórzył Devine. — Ki djabeł mógł to zrobić?

— Wróćmy się — tłumaczył Ojciec Brown. — I spojrzmy przez to okno, w którym młoda panna zobaczyła ducha.

— Ducha?—powtórzył znów ze zdziwieniem Devine.

— Ona to nazwała duchem, — mówił ksiądz z przekonaniem, — a może i nie była tak daleką od prawdy. Istotnie jest ona bardzo rozwinięta psychicznie. Popelnia tylko błąd, sądząc, że istota psychicznie rozwinięta, jest osobą rozwiniętą duchowo. Niektóre zwierzęta bywają także rozwinięte psychicznie. W każdym razie jest bardzo wrażliwa i zupełnie słusznie odczuła dokoła tej twarzy aurę śmierci.

— Ksiądz sądzi?...

— Sądzę, że w oknie była twarz umarłego człowieka. Umarły pełzał nietylko koło tego jednego domu i zaglądał nietylko do tego jednego okna. Ale powie pan, że musiał unieść się wgórę? Tak. Jest to droga dobra dla duszy oswobodzonej od ciała, nieodpowiednia jednak dla ciała oswobodzonego od duszy.

Zerknął znów w stronę pszczołek i ciągnął dalej:

— Ale łatwiej będzie to wytłumaczyć z punktu widzenia człowieka, który to wykombinował. Pan go zna — to John Bankes.

— Nigdybym go o to nie posądził.

— A ja tylko jego jednego mógłbym posądzić o to, tak dalece, że nie miałem prawa posądzać nikogo innego. Mój drogi panie, niema złych, ani dobrych typów ludzkich, czy też zajęć ludzkich. Każdy człowiek może być zabójcą,

jak ten biedny John, każdy człowiek, nawet ten sam człowiek, może zostać świętym, jak ten biedny Michał. Ale jest jeden typ, który przeważnie ma większe skłonności do złego niż kto inny. Jest to brutalny typ ludzi interesu. Nie ma on ideałów społecznych, pozbawiony jest zasad religijnych, nie ma tradycji szlachealnych ani prawości klas pracujących. Jeżeli chęłpi się, że operuje grubemi interesami, to znaczy, że popełnia wiele oszustw. Jego brutalne zachowanie względem mistycyzmu siostry było wstrętne. Jej mistycyzm jest niedorzeczny, lecz on nienawidzi spirytyzmu, tylko dlatego, że ma coś wspólnego z uduchowieniem. Jednem słowem był to kawał łajdaka, ale cała rzecz w tem, że osobliwy kawał łajdaka. Miał tylko jeden, dotychczas nienotowany w kronikach kryminalnych, powód do morderstwa. Potrzebował trupa, jak lalki czy marjonetki, do pewnego rodzaju teatralnego przedstawienia. Powziął myśl zabicia Michała w samochodzie, jedynie poto tylko, żeby go zabrać potem do domu i udać, że go zabił w ogrodzie. A wszystkie dalsze fantastyczne kombinacje wypłynęły z tego pierwszego faktu. Miał w zamkniętym samochodzie do dyspozycji ciało znanego i łatwego do poznania rzezimieszka. Mógł zrobić odciski palców i stóp. Mógł oprzeć twarzą o okno i zabrać je zpowrotem. Czy zwrócił pan na to uwagę, że Moonshine ukazał się w oknie wtedy, gdy Bankes wybiegł z pokoju, jakoby dla zobaczenia naszyjnika?

Wkońcu musiał zaciągnąć ciało na łąkę i wystrzelić z obu rewolwerów. Nigdy nie możnaby się domyśleć tej historii, ale dwie brody nasuwały pewne wątpliwości.

— Pocóż ten pański przyjaciel chował tę starą brodę? — pytał Devine zamyślony. — To jednakże zastanawiające.

— A dla mnie, który go dobrze znałem wydaje się nieodzownem. Całe jego postępowanie było jak ta peruka, którą nosił. To nie było przebranie w tem przebraniu. Nie potrzebował już przebierać się, ale nie odrzucał go, bo uważałby za obłudę, gdyby zniszczył tę starą brodę. Nie chciał,

aby go kto posądzał, że się krył. On nie krył się wcale. Nie krył się przed Bogiem, nie krył się przed samym sobą. Był na oczach ludzkich w pełnem świetle dziennem, gdyby go zamknięto znów w więzieniu, byłby nawet szczęśliwy. Nie był wybielony, tylko oczyszczony. Było w nim coś tak niezwykłego, jak niezwykłym był ten taniec śmierci, do którego go wleczono po śmierci. A i wtedy, kiedy kręcił się tu między temi ulami uśmiechnięty, był już umarły. Umarły w najbardziej promiennem i najpiękniejszym pojęciu. Był poza sądem tego świata.

Zamilkł Ojciec Brown, a Devine wzruszył ramionami:

— Jakże te pszczoły i osy są podobne do naszego świata, prawda?

VI.

ALIBI.

Pan Mundon Mandeville, dyrektor teatru, był to ro-
sły mężczyzna o byczym karku i kruczo czarnych brwiach.
W tej chwili był bardzo elegancko ubrany, można nawet
powiedzieć, że uroczysty to był strój, bo i kwiatek w buto-
nierce i nieposzlakowany blask butów nadawał mu jakiś
święteczny wygląd, ale twarz była wcale niewesoła, a zsu-
nięte brwi wydawały się jeszcze czarniejsze niż zwykle.
Oczywiście jako człowiek na takim stanowisku, miał bar-
dzo dużo kłopotów i teraz z zatroskaną miną szybkim kro-
kiem szedł długim pasażem pod sceną, gdzie były zwalone
na stos stare dekoracje wystawianych dawniej pantomin.
Bo teatr, w którym rozpoczął swą karierę wystawiał nie-
gdyś popularne pantominy. Mandeville objawszy w nim
kierunek zaczął dawać sztuki poważniejsze, klasyczne, które
go sporo kosztowały pieniędzy.

Widok Bramy Szafirów z Pałacu Błękitnego Ptaka,
czy też fragmentu Zaczarowanego Gaju Żółtych Pomarańcz,
leżących w zapomnieniu pod ścianą, ozdobionych festonami
pajęczyn i nadgryzionych przez myszy, nie budził słodkich
wspomnień pełnych czaru i prostoty lat młodości. Na-
łzy nie tracił czasu, bo musiał tracić pieniądze na literackie
sztuki, nie tracił też czasu na marzenia o Raju Peter Pana,

gdy śpieszył teraz załatwić kwestję, nie mającą nic wspólnego z piękną przeszłością.

Kwestje podobne zdarzały się czasami w tem osobliwem środowisku poza sceną, tym razem jednak fakt przedstawiał się dość poważnie.

Dziś w południe miała się odbyć próba sztuki, której premierę wyznaczono na wieczór tego samego dnia. Otóż jedną z główniejszych ról dano pannie Maroni, młodej utalentowanej artystce, rodem z Włoch. W ostatniej chwili panna Maroni nagle i niespodziewanie odmówiła swego udziału.

Pan Mandeville nie widział się z nią jeszcze dzisiaj, a teraz gdy rzuciła wyzwanie światu, trzasnąwszy drzwiami i zamknąwszy się na klucz w swej garderobie, trudnoby sobie wyobrazić, żeby go chciała dopuścić przed swe rozgniewane oblicze. Pan Mundon Mandeville jako prawy Anglik, szepnął do siebie, że tylko cudzoziemka może być tak zwarjowana, ale samo rozkoszowanie się myślą o tak wielkiem szczęściu, że zamieszkuje jedyną normalną na tej planecie wyspę, nie mogło go ukoić. Łatwiej mu było przejść spokojnie obok wspomnień Zaczarowanego Gaju. Wszystko to było przykre, a może nawet i inne przykrości chował w zanadrzu pan Mandeville, bo baczny obserwator dojrzałby w jego twarzy coś więcej niż chwilową troskę.

Jeżeli to możliwe, żeby zupełnie zdrowy mężczyzna, przytem tak krzepki jak pan Mandeville mógł źle wyglądać, to właśnie o nim można było powiedzieć, że wyglądał nieszczególnie. Twarz była pełna, ale oczy zapadłe, usta wykrzywione, jakby miał ochotę przygryźć wąsa, ale cóż? wąs nie nadawał się do tej manipulacji, bo zanadto krótko był przyszyty. Rodziło się nawet przypuszczenie, że zaczął przyjmować lekarstwa, a taka hipoteza nie może być bezpodstawna. Lekarstwo wszak nie jest przyczyną tragedji, jeno tragedia bywa przyczyną przyjmowania lekarstw.

Mniejsza zresztą o to, jaka to tajemnicza przyczyna podkopywała jego siły, w każdym bądź razie kryła się za-

pewne w tym ciemnym kącie korytarza, gdzie mieścił się jego gabinet, gdyż wychodząc stamtąd, rzucił niespokojne spojrzenie poza siebie. Ale interes jest interesem, udał się więc w przeciwny koniec długiego pasażu, gdzie urągały światu zamknięte na klucz drzwi panny Maroni.

Stała już tam zebrana grupka aktorów, rozmyślając nad położeniem i rozważając, czyby w tym wypadku nie było wskazane użycie taranu.

Był tam między innymi i Norman Knight, bardzo przystojny blondyn, z włosami zaczesanemi nisko na czoło, czem przypominał nieco Nerona, ruchy jednak jego szybkie, impulsywne, nie miały w sobie nic z majestatu Cezara. Nie był to aktor bylejaki, fotografie jego ozdabiały kominki wszystkich salonów, a o autograf gorliwie się ubiegano. Bo jakkolwiek występował w teatrze wcale nie pierwszorzędnym, w teatrze, który zalatywał jeszcze parafjańszczyzną i zacofaństwem, sława jednak roztwierała już przed nim swoje podwoje.

Przy nim stał Ralf Randall, aktor charakterystyczny, ze śmiesznie zaostrzonymi rysami i sinemi po wygoleniu policzkami, zasmarowanemi szminką.

Był tam jeszcze jeden pretendent do sławy, dźwigający niewygasłą jeszcze tradycję Karola Frienda. Ciemny, kędzierzawy, o semickim nieco profilu, noszący nazwisko Aubrey'a Vernona.

Między nimi stała służąca żony Mandeville'a, bardzo godnie wyglądająca osoba. Twarz drewniana, bez wyrazu i rude włosy.

Za całem towarzystwem mającyla dziwnie wyblakła twarz kobieca. Twarz niepozbawiona pewnej klasycznej symetrii i powagi, lecz włosy zaczesane na uszy, na wzór Madonny Prymitywów, były bardzo jasne, cera chorobliwie blada i oczy nawet wyglądały blado. Była to żona dyrektora Mandeville'a. Nie każdy wiedział, że była kiedyś sławną, cenioną artystką, przedstawicielką głównych ról

w dramatach Ibsena i sztukach o głębszym podkładzie psychologicznym.

Teraz jednak małżonka jej nie interesowały głębokie, czy mniej głębokie zagadnienia scenicznego repertuaru. Rozmyślał nad tem, jakim sposobem, uda mu się wywabić kapryśną aktorkę z zamkniętego pokoju. Coś jak zmieniony finał czarodziejskiej ferji o Tajemniczej Damie.

— Jeszcze nie wyszła? — zapytał, zwracając się bardziej do panny służącej, niż do swej żony.

— Nie — odpowiedziała jejmość, zwana tu panią Sands. Głos jej brzmiał ponuro.

— Zaczynamy się trochę niepokoić — odezwał się stary Randall. — Była strasznie zdenerwowana i obawiamy się, że może się stać nieszczęście.

— Psiakrew! — syknął Mandeville, jak zwykle mało wytworny. — Cóż u diabła przyjdzie mi z pańskiej obawy? Może który z was zalicza się do jej przyjaciół? Może kto potrafi jakoś wpłynąć na nią?

— Jarvis powiada, że jedynym człowiekiem, który mógłby przemówić do jej rozsądku, jest jej ksiądz — odrzekł Randall. — I gdyby miała ochotę powiesić się na wieśzadle, to też byłoby lepiej, że ten ksiądz był tu obecny. Jarvis już poszedł po niego... a nawet już tu idą.

Ukazały się więc jeszcze dwie osoby w podziemnym korytarzu. Jedna z nich był to Ashton Jarvis, wesół kompan, grywający zwykle różnych nicponiów, który jednak dziś odstąpił swą rolę kędzierzawemu koledze z garbatym nosem, druga zaś osoba była niskim, przysadkowatym księdzem Brownem z pobliskiego kościoła.

Ojciec Brown uważał za rzecz zupełnie naturalną, że został wezwany do zastanowienia się nad postępowaniem jednej z owieczek jego stada, bez względu na to, czy była uważana za owcę czarną, czy tylko za zbłąkaną. Nie uważał jednak za prawdopodobne, żeby mogło zajść samobójstwo.

— Musi być chyba jakaś przyczyna jej postępowania — odezwał się. — Czy kto z państwa nie domyśla się?

— Zdaje się, że w ten sposób zmanifestowała jakieś swoje niezadowolenie — odrzekł stary aktor.

— One nigdy nie są zadowolone — mruknął Mandeville. — Myślałem, że żona moja rozdając role, będzie to miała na uwadze.

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia — przemówiła pani Mandeville znużonym głosem. — Zrobiłam wszystko, co mogłam, aby dostała jak najlepszą rolę. Jest to rola wymarzona dla młodej osoby. Przyjemniej chyba grać piękną, młodą heroinę i wkońcu wśród frenetycznych oklasków i deszczu kwiatów poślubić urodziwego młodziana, niż wziąć na siebie rolę szanownej matrony. Ja, w moim wieku, jestem już zmuszona ograniczyć się do takich ról.

— Czyż można u diabła teraz zmienić rolę? — irytował się Randall.

— Niema nawet o czym myśleć — zdecydował stanowczo Norman Knight. — Ja ostatecznie, mógłbym jeszcze wziąć, ale... w każdym razie jest już za późno.

Ojciec Brown wsunął się naprzód i stanął przed zamkniętymi drzwiami, nasłuchując.

— Cóż? Nic tam nie słyhać? — zapytał z niepokojem dyrektor. — Jak ksiądz sądzi, czy ona mogła co sobie zrobić?

— Coś słyhać... — odrzekł spokojnie Ojciec Brown... — Coś jakby wylamywanie okna i tłuczenie szyb, pewnie nogą. Ale nie sądzę, żeby to było bardziej niebezpieczne od samobójstwa. Gdyby była Niemką, zajęłaby się metafizyką, *Weltschmerz*em i wówczas trzebaby koniecznie drzwi wysadzić. Ale Włoszki nie są tak pochopne do umierania i nie uważają za konieczne zabijać siebie w pa-sji. Gdyby to kto inny... może... tak, może być... trzebaby przedsięwziąć pewne ostrożności, gdyby chciała oknem wyskoczyć...

— Więc nie uważa ksiądz za konieczne sforsowanie drzwi? — zapytał Mandeville.

— Nie, o ile pan chce, żeby grała w pańskiej sztuce — odparł ojciec Brown. — Jeżeli zostawi ją pan w spokoju, wyjdzie. Wyjdzie z pewnością, przez samą tylko ciekawość. Na pańskim miejscu postawiłbym kogoś na straży przy drzwiach i całą sprawę zostawiłbym czasowi.

— W takim razie zróbmy próbę tych scen, w których ona nie występuje — zdecydował Mandeville. — Żona moja zajmie się przygotowaniem wszystkiego. Zresztą czwarty akt jest najważniejszy i najbardziej wymaga próby.

— Ale nie gramy w kostjumach — zwróciła się pani Mandeville do aktorów.

— Zgoda! — odparł Knight. — Niech będzie nie w kostjumach. Wolalbym, żeby stroje z piekielnego okresu nie były tak skomplikowane.

— Co to za sztuka? — spytał ksiądz z lekkim zainteresowaniem.

— „Szkola Skandalu“ — odpowiedział Mandeville. — Bardziej literatura niż sztuka sceniczna. Długie widowisko, więcej chyba klasyczne niż komiczne.

W tej chwili stary Sam, odzwierciedlony teatralny, jedyny mieszkaniec teatru poza godzinami przedstawień, podszedł nieśmiało do dyrektora z kartą wizytową w ręku, mówiąc, że lady Miriam-Marden pragnie się z nim zobaczyć. Odszedł, a Ojciec Brown spojrzawszy na dyrektora i jego żonę, dojrzał na jej twarzy słaby uśmiech. Nie był to jednak uśmiech wesoły.

Ojciec Brown odszedł na stronę z Jarvisem, który czuł dlań wiele przyjaźni i przekonaniemi niedaleko odbiegał od niego, co się często zdarza u aktorów.

Odchodząc usłyszeli, jak pani Mandeville spokojnie dawała zlecenie pani Sands, żeby zajęła posterunek przed zamkniętymi drzwiami.

— Pani Mandeville wydaje się bardzo inteligentną

kobietą — odezwał się ksiądz do swego towarzysza, — tylko zawsze usuwa się na drugi plan.

— Była to naprawdę niepospolita kobieta — odrzekł smutnie Jarvis, — ale zmarnowała się zupełnie, wychodząc za takiego idjotę, jak Mandeville. W duszy pielęgnuje wysokie ideały sztuki, ale niestety niezawsze udaje się jej skłonić swego pana i władcę, żeby spojrzał jej oczyma. Czy ksiądz wie, że wymagał, aby taka kobieta grała rolę chłopca w pantominie. Przyznawał, że jest wybitną artystką, ale pantominy — mówił — robią kasę. To jedno daje miarę jego subtelności i duchowej wrażliwości. Ale ona nie skarży się nigdy. Kiedyś powiedziała do mnie: skarga wróci zawsze echem z końca świata, tylko milczenie nas pokrzepia. — Gdyby wyszła za innego człowieka, za człowieka, któryby pojął jej ideały, byłaby największą artystką naszych czasów... Jeszcze i teraz poważni krytycy wspominają o niej. Ale wyszła za takiego...

I wskazał w stronę przedsionka, gdzie zwrócony do nich tyłem Mandeville rozmawiał z dwiema paniami.

Lady Miriam była to szczupła, wyniosła dama, przystojna, ukształtowana według ostatniej mody na wzór egipskiej mumji. Ciemne włosy obcięte w formie hełmu, usta mocno wykarminowane, wypukłe, nadawały twarzy wyraz pogardliwy. Towarzyszyła jej dama bardzo żywego usposobienia. Brzydota jej przyciągała oczy, włosy były lekko przyprószone siwizną. Była to panna Teresa Talbot. Cały czas sama ropriawiała, podczas gdy jej towarzyszka wydawała się zbyt zmęczona, aby otworzyć usta. Ale gdy dwaj mężczyźni przechodzili mimo, lady Miriam zdobyła się na energję i przemówiła:

— Sztuki wogóle są nudne, ale nigdy nie widziałam próby bez kostjumów. To może być zabawne. Bądź co bądź w tych czasach trudno znaleźć coś, czego się jeszcze nie widziało.

— Więc panie Mandeville — mówiła panna Teresa, klepiąc przyjacielsko po ramieniu dyrektora — niech nam

pan pozwoli zobaczyć próbę. Nie możemy przyjść wieczorem, zresztą nie chcemy. Chcemy zobaczyć tych zabawnych aktorów w codziennych ubraniach.

— Ależ z przyjemnością, dam paniom łóżę, jeżeli panie życzą — zgadzał się skwapliwie Mandeville. — Może panie zechcą przejść tędy. — I poprowadził je przez inny korytarz.

— Ciekaw jestem — zastanawiał się Jarvis, — czy Mandeville lubi i taki rodzaj kobiet?

— A czy pan ma dowód przypuszczać? — spytał ksiądz — że Mandeville lubi i inny rodzaj kobiet?

Jarvis spojrzał uważnie na przyjaciela, zanim odpowiedział.

— Mandeville ma jakąś tajemnicę — odrzekł poważnie. — O, wiem dobrze, że wygląda tak pospolicie, jak posłaniec przechadzający się na rogu Piccadilly. A jednak jest w nim jakaś tajemnica. Coś tam leży na jego sumieniu. Jest jakiś cień na jego życiu. I z pewnością nie jest to jakiś przelotny flircik, to napewno coś poważniejszego, co powinno obchodzić jego godną pożałowania, zaniedbywaną żonę.

Obejrzał się dokoła i widząc, że pozostali sami, ciągnął dalej przyciszonym głosem:

— Możeby nie opowiadał tego nikomu, ale wiem, że ksiądz jest wieżą milczenia, w której wszystkie tajemnice są zawarte. Otóż to, co spostrzegłem, ogromnie mnie zdziwiło, tem bardziej, że powtórzyło się już kilka razy. Jak ksiądz widzi, gabinet Mandeville'a znajduje się na końcu tego korytarza, tuż pod samą sceną. Zdarzyło mi się przechodzić tamtędy dwa razy i za każdym razem byłem zupełnie pewien, że może znajdować się tylko sam w swoim gabinecie, a co więcej, że wszystkie kobiety były albo nieobecne, lub też zajęte na scenie.

— Wszystkie kobiety? — powtórzył zaintrygowany Ojciec Brown.

— A tam z nim była kobieta — mówił Jarvis prawie szeptem. — Była tam kobieta, która zawsze do niego przy-

chodzi. Nikt jej tu nie zna. Nikt nie wie, jak może tu przychodzić, bo w tej części pasażu niema wcale drzwi. Ale zdaje się, że raz widziałem jakąś zawołowaną postać kobiecą, snującą się o zmroku koło teatru jak duch. Nie wierzę, że to jest jakaś pospolita sprawa. Nie wierzę, żeby to miała być jakaś miłośćka. Myślę, że to chyba szantaż...

— Dlaczego pan to myśli?

— Dlatego — odrzekł Jarvis, uśmiechając się lekko, — że raz słyszałem coś w rodzaju kłótni i ta tajemnicza kobieta powiedziała groźnym tonem trzy wyrazy: — Jestem twoją żoną!

— Więc pan myśli, że popełnił bigamję — rozmyślał Ojciec Brown. — Tak, bigamja i szantaż często idą w parze. Ale ona może mieć jakieś urojenia, może to jakaś obłąkana... Ta aktorska brać miewa często podobne manjackie napady. Może zresztą pan i ma słuszość, ale ja nie mogę wyciągać z tego wniosków... Ale... czy nie zaczęła się już próba. Pan nie należy do teatralnego personelu?

— Nie występuję w tej scenie — odrzekł Jarvis z uśmiechem. — Próbują tymczasem jeden akt, dopóki pańska Włoszka nie przyjdzie do rozumu.

— Chciałbym jednak dowiedzieć się, co się z nią tam dzieje...

— Chodźmy zpowrotem i zobaczymy — odrzekł Jarvis. Zeszli więc znów w podziemia pasażu, gdzie na jednym końcu był gabinet Mandeville'a, a na drugim garderoba signoriny Maroni. Drzwi tej garderoby były szczelnie zamknięte, a przed niemi sztywno, jak drewniany bożek, siedziała odęta pani Sands.

W samym środku pasażu były schody, wiodące na scenę. Po nich teraz wchodzili aktorzy. Vernon i stary Randall biegli szybko na samym przedzie, pani Mandeville szła wolniej, spokojnie, poruszając się z wielką dystynkcją i rozmawiała z Normanem Knight. Parę słów wpadło mimowoli w uszy obu przyjaciół.

— Zapewniam panią, że jakaś kobieta go odwiedza — mówił gwałtownie Knight.

— Pst!... — ostrzegła go srebrnym głosem. Może bardziej stalowym niż srebrnym. — Nie powinien pan tego mówić. Proszę pamiętać, że to mój mąż!

— Oby mi Bóg pozwolił zapomnieć o tem! — zawołał Knight i pobiegł szybko na scenę.

Pani Mandeville, blada i spokojna poszła za nim na swój posterunek.

— Nietylko więc my o tem wiemy — odezwał się ksiądz. — W każdym razie nie powinno to nas obchodzić.

— Może — mruknął Jarvis. — Zdaje się, że wszyscy o tem wiedzą, nikt jednak nie wie dokładnie, co to być może.

Poszli na drugi koniec korytarza, gdzie surowa strażniczka siedziała niewruszenie przy drzwiach signoriny Maroni.

— Nie, jeszcze nie wyszła — odpowiedziała na zapytanie opryskliwie jak zwykle — i nie umarła, bo słyszałam, jak łązi bez przerwy po pokoju. Pewnie obmyśla jakiś kawał.

— Czy pani nie wie przypadkiem, gdzie jest teraz pan Mandeville? — spytał Ojciec Brown.

— Owszem, widziałam go, jak wszedł do swego pokoju, jeszcze przedtem, nim sufler kazał podnieść kurtynę. Pewnikiem jest tam jeszcze, bo nie widziałam, żeby wychodził.

— Czy nie ma innych drzwi do jego gabinetu — spytał bez namysłu Ojciec Brown. — Zdaje się, że próba idzie doskonale, mimo kaprysu tej damy.

— A tak — odrzekł Jarvis, nasłuchując przez chwilę. — Słyszę nawet głosy. Stary Randall ma jednak donośny głos.

Stali, przysłuchując się. Rzeczywiście głos Randalla rozlegał się po schodach i całym pasażu. Nie zdążyli podjąć nanowo przerwanej rozmowy, gdy uszu ich doszedł jakiś tępy, głuchy łoskot od strony gabinetu dyrektora.

Ojciec Brown jak strzała pobiegł szybko przez pasaż i zaczął potrząsać klamką, zanim Jarvis ocknął się ze zdumienia i pobiegł za nim.

— Drzwi są zamknięte — odezwał się ksiądz, odwracając ku niemu twarz nieco przybladłą. — Nie tamte, lecz te drzwi trzeba będzie wylamać.

— Czyżby, — zapytał Jarvis z przerażeniem, — ta nieznajoma kobieta była tam znowu? Ksiądz myśli, że... tam się coś stało? — Po chwili dodał: — Zdaje się, że będę mógł odsunąć zasuwkę. Znam zamknięcie tych drzwi.

Ukląkł, wyciągnął z kieszeni nóż z długim stalowym ostrzem, manipulował przez chwilę i naraz drzwi zakolysały się, otwierając się naoścież.

Przedewszystkiem rzuciło się im w oczy, że nie było tam innych drzwi. Nie było nawet okna. Wielka elektryczna lampa paliła się na stole. Na środku pokoju leżał Mandeville, twarzą zwrócony ku podłodze. Z niewidzialnej rany sączyła się krew naksztalt szkarłatnego węża, połyskującego dziwnie w tem podziemnem świetle.

Patrzyli na siebie długą chwilę w zdumieniu, wreszcie Jarvis odezwał się z ciężkiem westchnieniem:

— Jeżeli ta nieznajoma weszła tu jakimś sposobem, jakże mogła stąd wyjść?

— Może za dużo myślimy o tej nieznajomej — odrzekł Ojciec Brown. — Tyle dziwnych myśli nasuwa się w tym dziwnym teatrze, że narazie lepiej będzie o niej zapomnieć.

— Jakich myśli? — spytał gorączkowo Jarvis.

— Różnych. Są tu na przykład jeszcze jedne drzwi zamknięte...

— Ależ tamte drzwi zamknęła sama Maroni...

— Niechże pan pamięta, że są takie same. — Po chwili namysłu Ojciec Brown dodał uwagę:

— Ta pani Sands to jakieś ponure i kwaśne babsko.

— Czy ksiądz przypuszcza, że skłamała i Włoszka wyszła?

— Nie. Rozmyślałem tylko nad charakterem ludzkim.

— Ale chyba ksiądz nie sądzi, że to Sands zrobiła?

— Nie. Nie miałem na myśli jej charakteru.

W czasie gdy zamieniali między sobą te krótkie uwagi, Ojciec Brown ukląkł przy ciele dyrektora i stwierdził, że niema już żadnej nadziei. Obok ciała leżał sztylet, którego narazie nie spostrzegli. Należał zapewne do rekwizytów teatralnych i leżał tak, jak wypadł z rany, czy też z ręki zabójcy. Samo narzędzie, zdaniem Jarvisa, nic nie mówiło, dopóki władze nie zdejmą odbitek palców. Broń ta nie należała do nikogo, nieużywana od dłuższego czasu, każdy mógł ją wziąć.

Ksiądz powstał z kolan i rozejrział się poważnie po pokoju.

— Trzeba posłać po policję — przemówił ksiądz — i po doktora, chociaż doktor nic już tu nie pomoże. Ale przyglądając się temu pokojowi, nie mogę zrozumieć, jak ta nasza Włoszka mogła to urządzić?

— Włoszka? — zawołał Jarvis. — Nie sądzę! Ona chyba lepiej niż kto inny może wykazać swoje alibi... Dwa oddzielne pokoje, w dwóch przeciwległych krańcach pasażu, a przed jednemi z nich przecie siedzi kobieta, która też może być świadkiem...

— Niezupełnie. Tylko jak ona mogła przyjść do tego pokoju?... Musiała stamtąd wyjść.

— Ale jak?

— Mówilem panu, że słyszałem brzęk rozbitej szyby — lustra czy też okna. Ach, całkiem głupio z mej strony, żem zapomniał o pewnym szczególe... Była bardzo przesądna. Nie rozbilaby za nic lustro, mogła więc rozbić tylko szybę w oknie. Wprawdzie oba pokoje mieszczą się w podziemiach, ale mogło być jakieś okienko w górze, może wychodzące na podwórze. Ale tutaj niema nic podobnego. — I patrzył na sufit przez dłuższą chwilę, głęboko zamyślony.

Nagle ocknął się z zadumy, jakby tknięty jakąś myślą.

— Idźmy na górę do telefonu... Trzeba tu kogoś wezwać. Strasznie przykre... Boże drogi! Słyszysz pan tych aktorów, wykrzykujących i hałasujących tam na górze? Zdaje mi się, że to się nazywa tragiczmem ironji.

Gdy zrządzeniem losu teatr zmienił się w dom żałoby, aktorzy mogli zależnie od indywidualności wykazać wszystkie swe zalety. Postępowanie ich było godne gentlemanów. Nie wszyscy lubili Mandeville'a, nie wszyscy mieli do niego zaufania, ale umieli ocenić jego przymioty. Okazywali wiele względów i sympatji wdowie. Mieli wrażenie, że występuje w świetnie odczutej roli tragicznej królowej. Każde jej życzenie stawało się dla nich prawem i smutnymi oczyma śledzili jej zgźębioną postać.

— Nie zmieniła się zupełnie — mówił o niej stary Randall — zawsze miała silny, nieugięty charakter. Naturalnie Mandeville nie dorównywał jej wykształceniem i mógł ją nawet razić, ale ona zawsze spełniała swe obowiązki bez zarzutu. Było to naprawdę wzruszające, gdy czasem marzyła o tem, jak pragnęłaby prowadzić bardziej intelektualne życie, ale Mandeville — *nil nisi bonum* — jak to mówią.

I stary aktor odszedł, kiwając smutnie głową.

— *Nil nisi bonum*, w istocie — przyznał strapiiony Jarvis. — Nie zdaje mi się, aby Randall słyszał co o tej nieznanym damie. Jednak ksiądz też przyznać musi, że musiała to być jakaś osoba nietutejsza w każdym razie.

— To zależy, kogo pan nazywa nietutejszym.

— O, nie mam wcale na myśli Włoszki — zapewniał Jarvis. — Chociaż co do niej to zdaje się, że ksiądz miał rację. Kiedy otworzono jej pokój, górne okno było stłuczone, a pokój pusty. Ale policja zbadła dokładnie tę sprawę i stwierdziła, że ona wprost ze swego pokoju udała się najspokojniej do domu. Nie, mówię o kobiecie, o której wiadano, że go tajemnie odwiedza, która mówiła, że

jest jego żoną. Jak ksiądz myśli, czy naprawdę była jego żoną?

— Bardzo możliwe — odrzekł Ojciec Brown, zapatrzoney gdzieś w przestrzeń — że była jego prawdziwą żoną.

— A więc jego bigamja i jej zazdrość stały się powodem zbrodni — zastanawiał się Jarvis, — bo rabunku nie było żadnego. Niema potrzeby poddawać rewizji służbę ani wiecznie potrzebujących pieniędzy aktorów. Ale mam wrażenie, że ksiądz już w tej sprawie zrobił pewne spostrzeżenia.

— Nawet kilka. A co pan miał na myśli?

— Myślałem o ogólnem alibi. Niezawsze się tak zdarza, żeby wszyscy mogli tak wykazać swoje alibi, jak tutaj. Alibi na oświetlonej scenie i na oczach wszystkich. A nawet jak to wypadło korzystnie, że Mandeville zaprosił do łoży te dwie głupie damy. One mogą zaświadczyć, że cały akt szedł bez przerwy i że przez cały czas wszyscy aktorzy byli na scenie obecni. Rozpoczęto próbę, przed wejściem Mandeville'a do gabinetu. Zeszli ze sceny dopiero wtedy, gdyśmy znaleźli martwe ciało. A szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, żeśmy słyszeli upadające ciało, gdy wszyscy aktorzy byli na scenie.

— Tak, to jest bardzo ważne — odrzekł Ojciec Brown — i upraszcza sytuację. Policzmy wszystkich, którzy mogą wykazać alibi. Naprzód Randall. Zdaje mi się, że Randall nie znosił dyrektora, ale umiał ukrywać swe uczucia. Ale o nim niema mowy, bośmy słyszeli jego grzmiący głos na scenie, nad naszymi głowami. Potem pan Knight. Chyba nie omylę się, jeśli wyrażę przypuszczenie, że kocha się w żonie Mandeville'a, a nie ukrywa tak swych uczuć jakby powinien był, ale i o nim niema mowy, bo i on coś tam wołał ze sceny donośnym głosem. Potem ten miły żydek, który każe się nazywać Aubrey Vernonem, ale i o nim wiemy, że był na scenie. Jeszcze pani Mandeville. Ona także była na scenie. Więc całe to zbiorowe alibi może być, jak pan powiada poświadczane przez lady Miriam i jej przy-

jaciółkę pannę Teresę Talbot, a najważniejszym z tego jest fakt, że sztuka szła cały czas bez szwanku i dzięki rutynie nie było zdaje się żadnej przerwy. Prawnymi świadkami będą więc tylko obie damy z łoży. Sądzę, że pan jest ich pewien?

— Lady Miriam? — zdziwił się Jarvis. — Ależ naturalnie! Mam wrażenie, że ksiądz wyobraża ją sobie jako rodzaj „Vampa”. Ale w tych czasach panie z najlepszych rodzin tak wyglądają. A czy ksiądz ma jakie podstawy, żeby wątpić w ich świadectwo?

— Tyle tylko, że stawia to nas niby przed białą ścianą. Czy pan nie uważa, że to zbiorowe alibi już uniewinnia każdego. Służby w tym teatrze jest niewiele. Stary Sam pilnuje wejścia, a służąca siedziała cały czas pod drzwiami tej Włoszki. Pozostajemy więc tylko my obaj — pan i ja i tylko my możemy być posądzeni o zbrodnię, bo nawet myśmy o niej zawiadomili. Nikogo więcej o to nie można obwinić. Pan chyba go nie zabił w chwili gdy odwróciłem od pana głowę?

Jarvis spojrział na księdza z lekkim zdziwieniem, ale po chwili uśmiech rozjaśnił jego smagłą twarz. Potrząsnął głową.

— Pan więc nie zrobił tego — mówił dalej Ojciec Brown, — i przypuśćmy tylko na chwilę, dla możliwości dokładniejszego roztrząsania tej sprawy, że i ja nie zrobiłem. Aktorzy mają swoje alibi, pozostaje więc ta signorina w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, albo stary Sam. A może która z tych pań z łoży? Może która wymknęła się cichaczem...

— Nie! — odrzekł stanowczo Jarvis. — Ciągłe myślę o tej kobiecie, która tu przychodziła i mówiła Mandeville'owi, że była jego żoną.

— Może i była — odrzekł ksiądz tak dziwnym tonem, że Jarvis zerwał się na równe nogi i pochylił się nad stołem.

— Mówiliśmy już o tem — mówił gwałtownie przyciszonym głosem, — że pierwsza żona mogła być zazdrosna o drugą...

— Nie — odparł Ojciec Brown. — Ona mogła być zazdrosną o tę włoską dziewczynę, a może o lady Miriam. Ale nie była zazdrosna o inną żonę.

— Ale dlaczego nie?

— Bo nie było żadnej innej żony. Tak dalece nie posądzam Mandeville'a o bigamię, iż jestem pewien, że był w najszerszem znaczeniu monogamistą. Żona zbyt wiele z nim przebywała, nawet nie widzieliście, jak była mu nieodłączną towarzyszką i urobiliście sobie o niej zupełnie odmiennie wyobrażenie. Nie rozumiem tylko, jak wtedy mogła być z nim razem, kiedy stwierdziliśmy, że znajdowała się na scenie w pełnem świetle. Grając tak ważną rolę...

— Czy ksiądz serjo myśli! — zawołał Jarvis, — że ta tajemniczą kobietą, odwiedzającą jak duch Mandeville'a, była jego żona, którą wszyscy znamy?

Nie otrzymał odpowiedzi, gdyż Ojciec Brown wlepił wzrok w próżnię z zupełnie idjotycznym wyrazem. Zawsze najbardziej idjotycznie wyglądał, gdy najinteligentniej myślał. Po chwili dźwignął się na nogi z miną zmęczoną i strapioną.

— To straszne — szepnął. — Nie wiem, czy kiedy miałem do czynienia z gorszą niż ta sprawą. Możeby pan zechciał spytać się pani Mandeville, czyby nie chciała porozmawiać ze mną na osobności?

— Chętnie — odrzekł Jarvis, zwracając się ku drzwiom. — A co jej ksiądz powie?

— Ot, jestem takim warjatem, że pragnąłbym jej wyrazić swe współczucie na tym padole leż. Do tego stopnia jestem warjatem, że zapomniałem na śmierć, że sztuka ta to była „Szkoła Obmowy“.*)

*) „Szkoła Obmowy“ — „The School of Scandal“ — niezmiernie popularna komedja Sheridana.

Chodził niespokojnie po pokoju, dopóki Jarvis nie zjawił się z bardzo zmienioną i zmieszaną twarzą.

— Nie mogę jej nigdzie znaleźć. Nikt nie wie, gdzie może być.

— Czy nie wiedzą również, gdzie jest i Norman Knight? — spytał sucho Ojciec Brown. — To dobrze. Oszczędziła mi bardzo przykrej rozmowy. Chwała Bogu, bo już się obawiałem o tę kobietę. Ale nie chwalcę się i ona obawiała się mnie. Bała się, że mogę coś dojrzeć lub powiedzieć... Knight przecież błagał ją, żeby połączyła się z nim. Więc zrobiła to. Ale teraz martwię się bardzo o niego.

— O niego?

— Naturalnie. Niebardzo to pięknie uciekać z morderczynią — tłumaczył Ojciec Brown z niezmiernym spokojem. — A nawet ona jest czemś gorszem jeszcze niż morderczynią.

— Czemże jest?

— Egoistką. Jest osobą tego rodzaju, która musi na-przód spojrzeć w lustro, zanim spojrzy w okno, a to jest najgorszym nieszczęściem w życiu doczesnem. Lustro było jej nieszczęściem, chociaż go wcale nie stłukła.

— Nic nie rozumiem. Każdy patrzył na nią, jako na osobę o najszczytniejszych ideałach, znajdującą się już za życia na wyższej duchowej płaszczyźnie...

— To ona uważała się za taką. I umiała każdego zahipnotyzować tą myślą. Może dlatego, że nie znam jej od-dawna, mogę ją lepiej ocenić. Wystarczyło mi rzucić na nią okiem. Odrazu domyśliłem się, jakiego to rodzaju osoba.

— Trudno mi się na to zgodzić. Jej postępowanie na-przykład z Włoszką było zawsze bez zarzutu.

— Jej postępowanie zawsze było bez zarzutu. Od was wszystkich słyszałem o jej subtelności, finezji i duchowych wzlotach nad głową biednego Mandeville'a. Ale wszystkie te subtelności i cała ta duchowość kipiały w niej na myśl, że ona była damą, a on nie był gentlemanem. Wie pan, nigdy

tęgo tak dobrze nie rozumiałem jak dziś, że Sty Piotr wyznaczy nam tylko jedną próbę przed bramą niebios. A ta jej dobroć...—mówił dalej z rosnącym ożywieniem—zaledwie odezwała się, wiedziałem, że z całą finezją i lodowatą swą wielkoduszością nie była dobra dla tej cudzoziemki. Upewniłem się ostatecznie, dowiedziawszy się, że mieliście grać „Szkolę Obmowy“.

— Zbyt szybkie jest to rozumowanie dla mnie — przerwał oszołomiony Jarvis. — Co ma do tego sztuka?

— Pani Mandeville, powiedziała, że Włosze dała rolę pięknej heroiny, sama zaś wzięła rolę matrony. Może byłoby to dobre w innej sztuce, ale nie w tej. Ona dała jej rolę Marji, która prawie nie jest wcale rolą, sama zaś, jako schodząca już z pola artystka miała grać lady Teazle, którą każda artystka pragnęłaby grać. Jeżeli, jak słyszałem, Maroni była pierwszorzędną artystką, której obiecano tu główne role, to nie dziwcie się, że wpadła w zaiste włoską furję. Taka furja to specjalność Włochów, bo Latynicy są logiczni i muszą mieć powód do wściekłości... Ten jeden fakt odsłania w pełnem świetle wielkoduszość pani Mandeville. Ale jeszcze jedno. Pan roześmiał się, gdy powiedziałem, że patrząc na ponurą i kwaśną minę pani Sandsowej rozmyślałem nad charakterem, ale nie jej charakterem. Jeżeli pan chce poznać charakter kobiety, niech pan na nią nie patrzy, ona jest zbyt sprytna, żeby dała po sobie co poznać. Nie patrz pan też na mężczyzn, którzy ją otaczają, bo mogą przy niej głupieć. Ale przyjrzyj się pan kobietom, które są blisko niej, a specjalnie tej jednej, która jest jej podwładną. Jak w lustrze zobaczy pan prawdziwą twarz jej chlebobawczyni. Otóż twarz pani Mandeville odbijała się w twarzy Sandsowej bardzo potwornie. Jakież jeszcze spostrzeżenia uczyniłem? Wiele słyszałem o małej wartości starego Mandeville'a. Chodziło o to, żeby wszyscy zrozumieli, że nie był jej wart. Jestem pewien, że opinia ta wychodziła od niej i okólną drogą dochodziła do was. Zresztą to było jasne. To, co jej każdy mężczyzna mówił,

dowiedział się od niej samej. Przecież każdemu mówiła o swem intelektualnem osamotnieniu. Nawet pan mówił mi, że nigdy nie skarżyła się i że to jej milczenie bez skargi krzepi jej duszę. A to jest ważne. To jest nieomylny styl... Ludzie, którzy się skarżą, mają zwykłe ludzkie przykrości, więc nie biorę ich pod uwagę. Ale ci, którzy z bolesną miną mówią, że nie skarżą się nigdy — są szatanami! Tak! naprawdę szatanami... Czy chęłpienie się stoicyzmem nie jest głównym motywem bajronicznego kultu Szatana? A więc słyszałem o tem, ale naprawdę, nie wiem o niczem konkretnem, na co mogłaby uskarżać się. Nikt nie może powiedzieć, żeby jej mąż pił, albo ją bił, albo pozostawiał bez pieniędzy, albo że nie był jej wierny, prócz tej pogłoski o tajemniczej damie, która zrodziła się z jej melodramatycznego zwyczaju dokuczania mu małżeńskimi kazaniami w jego gabinecie. A kiedy się spojrzy na fakty z poza tej atmosfery dobrowolnego męczeństwa, całe ich pożycie małżeńskie w innem przedstawi się świetle. Mandeville zaprzestał wystawiania pantomin dla dogodzenia jej, pozbywając się dochodów. Ona wystawiała sztuki, ona obmyślała sceny, dekoracje i rekwizyta, według swego uznania. Chciała mieć sztuki Sheridana — miała je, chciała mieć rolę lady Tazle, — i miała ją, chciała mieć próbę w zwykłych ubraniach o niezwyklej godzinie — miała ją także. Warto by jednakże zastanowić się nad tym ostatnim szczegółem, dlaczego właśnie tego chciała.

— Ale do czego ma służyć cała ta tyrada? — zapytał aktor, który nigdy dotychczas nie słyszał tak dużo mówiącego księdza. — Chodziło nam, zdaje się, o morderstwo i psychologiczne podłoże. Mogła pani Mandeville uciec sobie z Knightem, mogła ocyganić Randalla, mogła nawet mnie ocyganić, ale nie mogła zabić męża, bo każdy może zaświadczyć, że była cały czas na scenie, podczas faktu zabójstwa. Może być zła, ale nie jest czarownicą.

— Nie byłbym tego bardzo pewny — odrzekł z uśmiechem Ojciec Brown. — Nie potrzebowała jednak w tym

wypadku używać jakich czarów czy uroków. To co zrobiła było bardzo proste.

— I ksiądz jest tego tak pewny? — spytał Jarvis z pewnem zdumieniem.

— Jestem tego tak pewny, bo sztuką była „Szkoła Obmowy“, a w niej jeden ciekawy akt. Chcę tylko przypomnieć panu, że sama obmyślała dekoracje i rekwizyta według swego gustu. Chcę również przypomnieć, że scena w tym teatrze budowana była i używana do pantomin. Były więc różne ukryte wejścia w podłódze w ścianach i t.p. A że pan powiada, iż świadkowie mogą potwierdzić obecność bez przerwy wszystkich aktorów na scenie, to muszę panu przypomnieć także, że w jednej scenie tego aktu, jedna z osób znajduje się wprawdzie na scenie, ale nie jest widziana. Zasadniczo jest ona na scenie, ale właściwie jest za sceną. Jest to parawanik lady Teazle i alibi pani Mandeville...

Zamyślili się obaj, poczem zabrał głos aktor.

— A więc ksiądz przypuszcza, że przez otwór w podłódze wsunęła się do gabinetu męża?

— Jestem tego zupełnie pewny. Tem łatwiej jej się to udało, że była w zwykłej sukni. Dlatego z pewnością zarządziła próbę bez kostjumów, gdyż w krynolinie z osiemnastego stulecia byłoby jej trudno przecisnąć się przez otwór w podłódze. Jakkolwiek nie wątpię, że i z tem dałaby sobie radę.

— Ja zaś nie mogę sobie poradzić z wątpliwościami — odezwał się Jarvis, opierając głowę na rękę i ciężko wzdycając. Nie mogę zrozumieć, jak taka promienna, pogodna istota mogła tak upaść cielesnie, że tak powiem, nie mówiąc już o moralnym upadku? Czy była dostatecznie silna do tego przyczyna? Czyżby tak kochała Knighta?

— Może. Byłoby to najwłaściwszem, najbardziej ludzkim sprawiedliwieniem. Ale przykro mi przyznać, że mam pewne wątpliwości. Pragnęła uwolnić się od męża, który w jej oczach był starą, zacofaną mumją, nie umie-

jąca nawet robić pieniędzy. Chciała zrobić karierę jako sławna żona świetnego, szybko dobijającego się sławy artysty. Ale nie wystarczało jej grać taką rolę w „Szkołę Obmowy”. Ostateczność tylko zmusiła ją do ucieczki z tym człowiekiem. Nie była to u niej zwykła ludzka namiętność, lecz do najwyższego stopnia posunięta, prawdziwie djabelska ambicja. Oddawna dokuczała mężowi, chcąc na nim wymusić rozwód, pragnąc, żeby usunął się jej z drogi, a ponieważ nie chciał się na to zgodzić, zapłacił teraz za swój upór. A teraz proszę sobie przypomnieć, co mi pan mówił o tych krytykach, zwolennikach nowszych prądów, zwolennikach dramatów filozoficznych. Przypomnij pan sobie, ile jest tych filozofij. Przypomnij pan sobie, jakie to kierunki zalecane są wyższym umysłem. Żądza Władzy, Prawo Życia, Prawo Eksperymentacji... same niedorzeczności, szkodliwe niedorzeczności, które należy potępić.

Nachmurzył się Ojciec Brown, co rzadko mu się zdarzało — a gdy kładł kapelusz i wychodził na ulicę, jeszcze leżała chmura na jego czole.

VII.

CZERWONY KSIĘŻYC Z MERU.

Każdy przyznać musi, że bazar urządzony w Opactwie Mallowood, za łaskawem zezwoleniem lady Mount-eagle, udał się doskonale. Były tam kołowroty, huśtawki i inne różne atrakcje, któremi licznie zebrana publiczność świetnie się bawiła. Mógłbym wspomnieć również o dobrotczynności, która jest doskonałym celem takich zabaw, gdyby kto z publiczności mógł mię objaśnić, co to jest.

Z publicznością bawiącą się tutaj nie będziemy mieli do czynienia, zaledwie parę osób pozwoli sobie tu przedstawić. Przechodzą one właśnie między namiotami, zajęte żywą rozmową.

Naprawo stał namiot Władcy Gór, wszechświatowej sławy wróżbity, który czytał z rąk lub w kryształach swe przepowiednie. Namiot wspaniałej czerwieni z czarno złotymi sylwetkami azjatyckich bóstw, wymachujących jak ośmiornice niezliczoną ilością rąk. Może symbolizowały gotowość boskiej pomocy, a może jedynie wyrażały, że duchowa istota pobożnego wróżbity mogłaby mieć tyle rąk, ileby zapragnęła. Z lewej strony zwracał uwagę namiot w białym czarnym kolorze, przybrany znakami matematycznymi i rysunkami głów Sokratesa i Szekspira. Wy-

glądał poważnie i surowo, jak przystało na przybytek racjonalnej wiedzy. Był to namiot frenologa Phroso. W purpurowym namiocie wejście podobne było do czarnej jaskini i wewnątrz panowała niezmącona cisza. Za to przed swoim namiotem Phroso chudy, ogorzały mężczyzna z zadziwiająco czarnymi włosami i bokobrodami stał, gadając bez przerwy, zwracając się do przechodniów z propozycją zbadania głowy, tłumacząc, że czaszka tego lub tamtego przechodnia mogłaby bezwątpienia dowieść przy zbadaniu, że ma takie same guzy, jak Szekspir.

Gdy między namiotami ukazało się eleganckie towarzystwo złożone z dwóch panów i jednej damy, fertyczny Phroso przyskoczył dość obcesowo i szastając nogami, cały w ukłonach, wyraził gotowość poszukania guzów na głowie damy. Podziękowała mu niby grzecznie, w każdym razie ozięble, co należy jej wybaczyć również i dlatego, że była to lady Mounteagle.

Postać jej nie mogła przejść bez wrażenia. Piękna twarz o głębokich ciemnych oczach i przenikliwym spojrzeniu, miała ostry, prawie okrutny uśmiech. Strój miała też dziwny, jak na te czasy, było to bowiem przed Wielką Wojną, kiedy ubrania nosiły jeszcze na sobie piętno pewnej powagi i skromności. Suknia jej stylem przypominała ów purpurowy namiot, jakaś orzentalna w kroju, pokryta egzotycznymi i ezoterycznymi emblematami. Ale każdy wiedział, że Mounteagle'owie są trochę zwarjowani. Tak określano niepojęty dla przeciętnych ludzi zapał, z jakim oboje małżonkowie oddawali się wierzeniom i kulturze Wschodu.

Ekscentryczność tej damy bardziej uwydatniała się wobec bardzo przeciętnej elegancji obu panów, którzy szczególnie opięci w swe modne ubrania niepodobni byli jednak do siebie. James Hardcastle zwracał uwagę swym poprawnym, eleganckim wyglądem, elegancja zaś Tommy Huntera była poprawna, lecz banalna.

Hardcastle był rokującym wielkie nadzieje politykiem, którego wszystko prócz polityki niezmiernie interesowało.

Należy mu jednak oddać sprawiedliwość, gdyż sam uważał się za człowieka, grającego tylko tę polityczną rolę.

— Co do mnie — mówił, pakując sobie w oko monokl, a polysk tego szkiełka rozjaśnił nieco srogą jego, nieugiętą twarz — uważam, że mówiąc o magji, należy wyłączyć mesmeryzm. Rozwój psychologiczny w wyjątkowo wysokim stopniu istnieje nawet u pozornie niecywilizowanych ludów. Cudowne wprost rzeczy wykonywują np. fakirzy.

— Powiedziałeś „wykonywują“? — odezwał się Hunter, rzucając zapytanie z podejrzaną niewinną miną.

— Tommy! jesteś poprostu głupi... — skarciła go dama. — Dlaczego wątpisz w rzeczy, których właściwie nie rozumiesz?... Mówisz jak uczeń, który wrzeszczy z uciechy, że wie, jak się jakiś czarodziejski figiel wykonywa... Taki sztubacki sceptycyzm należy już do przeszłości, a co do mesmeryzmu wątpię, czy mógłbyś zgłębić...

W tej chwili lady Mounteagle spostrzegła osobę, którą chciała koniecznie spotkać. Był to krępy, niski ksiądz katolicki, stojący w szopie, pośród dzieciarni, bawiącej się rzucaniem obręczy. Pośpieszyła do niego, wołając:

— Ojciec Brownie! Szukam księdza... Chciałam się o coś zapytać... Czy ksiądz wierzy we wróżby?

Zaczepiony ksiądz wyglądała dość bezradnie z małą obręczą w rękę. Po namyśle odrzekł:

— Nie wiem, w jakim sensie użyła pani wyrazu „wierzy“? Oczywiście, jeżeli to jest zwykłym krętactwem...

— Ależ Władca Gór nie jest wcale krętaczem. — zawołała. — To nie jest zwykły czarnoksiężnik czy też wróżbita. On czyni wielki zaszczyt, zgadzając się stawiać horoskopy na mojej zabawie, jest bowiem wielkim przewodnikiem duchowym w swoim kraju... Prorok i jasnowidz... Jego przepowiednie nie ograniczają się do pospolitych wróżb, jak dojść do majątku na przykład lub coś podobnego... On powie całą praw-

dę o wewnętrznych cechach człowieka i o jego sposobie myślenia.

— Właśnie z tego czynię zarzut — odrzekł Ojciec Brown. Jak już powiedziałem, jeżeli jest to zwykłym wyprowadzeniem w pole, to nie będę nad tem łamał głowy. Nie będę sobie zaprzętał głowy figlami, jak i wieloma fantastycznymi atrakcjami na bazarze, które tutaj są rodzajem doświadczalnych figlów. Ale uważam za fałsz, za djabelski podstęp, jeżeli to ma być religją i objawieniem duchowych prawd i nie zająłbym się tem za nic w świecie.

— Coś podobnego do paradoksu — rzekł Hardcastle z uśmiechem.

— Wątpię, czy to jest podobne do paradoksu — odpowiedział ksiądz, zamyślając się. — Zdaje mi się, że jest to zupełnie jasne. Sądzę, że nie zrobiłoby na nikim wrażenia, gdyby ktoś przebrał się za niemieckiego szpiega i opowiadał Niemcom jakieś kłamstwa. Ale jeżeli ktoś pracuje naprawdę na rzecz Niemiec... Uważam, że taki wróżbita pracuje właśnie w tym sensie.

— Ksiądz naprawdę tak się zapatruje? — zapytał Hardcastle, chmurząc się.

— Tak, jestem pewien, że pracuje na rzecz nieprzyjaciela.

Tommy Hunter wybuchnął śmiechem.

— Jeżeli więc Ojciec Brown uważa, że przepowiednie o tyle są dobre, o ile są oszustwem, to gotów jestem uwierzyć, że tego czerwonoskórego proroka uważa za świętego.

— Mój kuzyn Tom jest niepoprawny — odezwała się lady Mounteagle. — Powiada, że musi demaskować proroków. Przyszedł tu tylko dlatego, że dowiedział się o bytności Władcy Gór. Przypuszczam że chętnie zdemaskowałby Buddę lub Mojżesza.

— Myślałem, że chcesz się temu przyjrzeć — odparł młody człowiek, krzywiąc się niemiłosiernie — i dlatego tu

mię lichy przyniosło. Ta bronzowa malpa nie umie nawet chodzić, tylko wlecze się jak wąż.

— Znowu? — zawołała lady Mounteagle. — Parę lat temu, gdy byliśmy w Indjach miałam, jak wszyscy zresztą pewne uprzedzenie do ciemnoskórego narodu. Ale teraz wiem nieco więcej o jego duchowej potędze i jestem zadowolona, że pogłębiłam swą wiedzę.

— Nasze uprzedzenia leżą na przeciwnych krańcach — odrzekł Ojciec Brown. — Pani przebacza im ciemną skórę dlatego, że są braminami, ja zaś wybaczam im braminizm, ponieważ są ciemnoskórzy. Szczerze mówiąc, nie dbam wielce o duchowe moce. Bardziej sympatyzuję z duchową słabością. Ale nie mogę pojąć, dlaczego ktoś miałby czuć niechęć do człowieka, jedynie dlatego, że ten ma skórę koloru miedzi czy kawy, a czasem piwa lub węgla kamiennego. Dlatego też — dodał, patrząc na lady Mounteagle i mrużąc oczy — ja uprzedzam się na *korzyść* wszystkiego, co się nazywa ciemnem.

— A co! — zawołał lady z triumfem. — Wiedziałam, że ksiądz tylko żartuje, bo to jest nonsens...

— Tak... — mruknął pokrzywdzony młodzieniec — jeżeli ktoś mówi z sensem, nazywasz to sztubackim sceptycyzmem... Kiedy zaczniemy patrzeć w kryształ?

— Kiedy tylko chcesz — odrzekła dama. — Ale dziś nie będzie tu kryształu tylko wróżenie z ręki. Pewnie powiesz, że to jest takim samym nonsensem.

— Myślę, że jest to *via media* między sensem i nonsensem — odparł Hardcastle z uśmiechem — jakkolwiek są to rzeczy już uzasadnione i wcale nie bezsensowne, a rezultaty są naprawdę zdumiewające. Podda się pani tym doświadczeniom? Przyznaję, że ogromnie jestem tego ciekaw.

— A ja nie mam cierpliwości do takich głupstw — krzyczał sceptyk i czerwona okrągła twarz zaczerwieniła mu się ze wzgardą. — Traćcie sobie czas na tego mahoniowego szarlatana, a ja pójdę sobie strzelać do kokosowych orzechów.

Frenolog, który kręcił się koło nich, pośpieszył do swego namiotu.

— Głowy, szanowny panie — wołał do Toma — czaszki ludzkie są w konturach subtelniejsze niż kokosowe orzechy. Orzech kokosowy nie może równać się z pańską głową...

Hardcastle zanurzył się już w ciemne wejście purpurowego namiotu, skąd przypływał cichy szmer głosów.

Tom Hunter zniecierpliwionym głosem dał frenologowi odpowiedź, w której wyraził godną pożałowania obojętność na wszelkie przyrodzone i nadprzyrodzone nauki. Lady Mounteagle zaś w dalszym ciągu usiłowała przekonać księdza, gdy naraz umilkła zdziwiona.

James Hardcastle wyszedł z namiotu, a na jego smętnej twarzy i w błyszczącym monoklu malowało się również zdziwienie.

— Niema go tam — oznajmił. — Wyszedł. Jakiś stary murzyn, który zdaje się, stanowi jego świtę, coś tam szwargotał, że Władca wołał odejść, niż sprzedawać święte tajemnice za pieniądze.

Lady Mounteagle rozpromieniona zwróciła się do towarzystwa.

— A co? — zawołała — mówiłam, że potrafi rozstrzygnąć każdą sytuację! Nienawidzi tłumu i nie chciał tu pozostać, wołał więc wrócić do swej samotni.

— Bardzo mi przykro — odezwał się poważnie Ojciec Brown — byłem dla niego niesprawiedliwy. Nie wie pani, dokąd poszedł?

— Jeżeli pragnie samotności, udaje się zawsze do klasztoru. Tam w lewym skrzydle obrał sobie mieszkanie. Mieści się ono za gabinetem mego męża i jego małym muzeum. Pewnie księdzu wiadomo, że dom ten był kiedyś opactwem?

— Słyszałem coś o tem — odrzekł Ojciec Brown ze słabym uśmiechem.

— Jeżeli ksiądz sobie życzy, możemy tam pójść. Panowie przy tej sposobności obejrzą zbiory mego męża,

a przedewszystkiem Czerwony Księżyc. Nie słyszał książd nigdy o Czerwonym Księżycu z Meru? Tak, to rubin.

Zwrócili się na drogę, wiodącą do opactwa.

— Mało mię to wszystko obchodzi — mruzczał sceptyczny Tom, idąc za nimi. — Ale chciałbym wiedzieć, poco to bure bydlę tu się zjawilo, jeżeli nie chce przepowiadać?

Żwawy frenolog znów przyskoczył do niego, ciągnąc go prawie za połę ubrania.

— Guz... — zaczął.

— Nie guz — drwił młodzieniec — tylko guzik...

I obrócił się na pięcie, wyrывая się z objęć męża nauki.

Goście po drodze do klasztoru musieli przejść przez długą salę, przeznaczoną przez lorda Mounteagle na istotnie ciekawe muzeum azjatyckich guseł i fetyszów. Przy końcu tej sali były otwarte drzwi na wielki podwórzec, otoczony arkadami, pod którymi niegdyś przechadzali się zakonnicy. Ale po drodze ujrzano postać, większe, niż duch mnicha, wzbudzającą zaciekawienie.

Był to starszy już mężczyzna w białej długiej szacie i w bładozielonym turbanie. Cere miał jednak europejską, siwiejące wąsy i minę anglo-indyjskiego pułkownika. Był to lord Mounteagle, który tę orjentalną manję traktował o wiele poważniej niż jego żona. Jedynym tematem zajmującym go, była religja i filozofja Wschodu, a sam nawet uważał za stosowne przebrać się za wschodniego eremite.

Niezmiernie był zadowolony, mogąc pokazać swoje zbiory, które gromadził bardziej dla prawd, jakie miały symbolizować, niż dla ich wartości materialnych. Nawet ten wielki rubin, który w tej kolekcji był najcenniejszym okazem, bardziej wzbudzał zainteresowanie właściciela swoją nazwą i wielkością niż wartością.

Wpatrzyli się wszyscy w zdumiewająco wielki kamień, płonący jak ognisko widziane przez deszcz krwi. Lord Mounteagle obracał go jednak w palcach, nie zwracając nań wcale uwagi, a patrząc w sufit, wykladał gościom o legendarnym charakterze góry Meru, która w gnostycznych

wierzeniach była miejscem zapasów bezimiennych, pierwotnych potęg.

Gdy skończył wykład o Demiurgu gnostyków (nie zapomniawszy łączności z podobnem pojęciem u Manichejczyków), nawet pełen taktu, cierpliwy Hardcastle uważał, że czas zrobić dywersję. Poprosił o pozwolenie obejrzenia klejnotu, a ponieważ wieczór już nadchodził, a długa sala nie miała okien i pogrążała się w cieniu, wyszli na dziedziniec klasztorny, przyjrzeć się rubinowi w lepszym świetle.

Wówczas po raz pierwszy zaczęli z wolna odczuwać, jakgdyby uczucie to stopniowo wpelzało do ich dusz, żywą obecność Władcy Gór.

Klasztor miał zwykłą strukturę, lecz linja gotyckich filarów i ostrych łuków, opasujących wewnętrzny dziedziniec, łączyła się przez całą długość niskiego muru, przecinając gotyckie drzwi i tworząc w ten sposób z nich okna, dając u ich podstawy płaski, kamienny parapet. Przeróbka ta była zdaje się dawno już uczyniona, lecz były jeszcze inne zmiany, bardziej osobliwe i świadczące o niezwyklej, indywidualnej zupełnie pomysowości państwa Mounteagle.

Miedzy filarami wisiały kotary, zrobione z długich paciorków trzcinowych na wzór znanych zasłon, używanych w południowych krajach. Ozdobione były rysunkami azjatyckich bogów i smoków, silnie waśniących się z szarą gotycką ramą, na której były zawieszone.

Wszystko to niczem było, tem bardziej, że gasnące światło zacierało już barwy i kształty, w porównaniu ze zjawiskiem, jakie ukazało się oczom gości, reagującym zresztą na nie w różnorodny sposób.

W szerokim podwórku, otoczonym arkadami, biegła kolistą ścieżka, jak koło w kwadracie, wybrukowana jasnymi kamieniami i obrzeżona jakąś zieloną emalją, imitującą trawę. W samym środku leżał basen z ciemnozieloną sadzawką na której pływały lilje wodne, a złote rybki uwijały się pod powierzchnią. Ponad tem wszystkiem na tle ostatnich tchnień dnia rysowała się sylwetka wielkiego zielonego posągu. Goście widzieli tylko jego plecy, tak zgarbione, że

zdawało się, iż posąg jest pozbawiony głowy. Mimo zatartej zapadającym zmrokiem sylwetki, można było rozpoznać, że nie był to posąg chrześcijańskiego kultu.

O parę łokci dalej na kolistej ścieżce stał mąż zwany Władcą Gór, wpatrzony w zielone bożyszcze. Ostre, delikatnie wyrzeźbione rysy były niby maską z brązu, odlaną przez biegłego mistrza. W silnym kontraście z cerą twarzy szpakowata broda miała odcień niebieskawy, jak indygo. Zaczynała się wąskim klinem na podbródku, dalej rozszerzała się w wielki wachlarz czy też ogon ogromnego ptaka. Odzież miał pawio zielonej barwy, a na лыsej głowie kolpak niezwykle kształtu. Takiego przybrania głowy nikt z tu obecnych nie widział jeszcze. Wogóle cały strój przypominał bardziej Egipt niż Indie.

Mąż ten stał z wlepionym wzrokiem, szeroko otwartymi oczyma, tak pozbawionymi wszelkiego wyrazu, jak oczy wymalowane na drewnianej powłoce mumii.

Mimo iż postać Władcy Gór była niepospolita, niektórzy jednak goście wraz z Ojcem Brownem nie patrzyli na niego. Uwagę ich zajmował ciemny posąg bóstwa, na które patrzył i jego kapłan.

— Dziwnie to jakoś wygląda — odezwał się Hardcastle, chmurząc się nieco — w samym sercu opactwa.

— Teraz znów pan mówi niedorzeczności — odrzekła lady Mounteagle. — Właśnie przyszła nam myśl, aby połączyć dwie religje — Wschodu i Zachodu — Buddę i Chrystusa. Pan chyba rozumie, że wszystkie religje są właściwie jednakowe.

— Jeżeli tak jest — wtrącił łagodnie Ojciec Brown — to pocóż jeździć do wnętrza Azji i boga sobie stamtąd sprowadzać?

— Lady Mounteagle uważa, że różnią się tylko kształtami, gdy wykonane są z kamienia — odrzekł Hardcastle i zainteresowany nowym tematem położył wielki rubin na kamiennym progu czy też framudze pod gotyckim łukiem.

— Nie znaczy to wcale, by te dwie religje można było połączyć w znaczeniu artystycznym. W artyzmie można po-

łączyć chrześcijaństwo z islamem, ale nie można gotyku ze stylem saraceńskim, a już induski musi pozostać zupełnie odosobniony.

Tymczasem Władca Gór zaczął się budzić do przytomności, jak z kataleptycznego snu i z wolna zaczął iść po ścieżce. Stał teraz pod arkadami, plecami zwrócony do zebranego towarzystwa: miał przed sobą plecy bóstwa. Najwidoczniej czynił stacje dokoła posągu, zatrzymując się dla modlitwy i kontemplacji.

— Jaką on wyznaje religję? — zapytał Hardcastle, zniecierpliwiony już trochę.

— Powiada — odrzekła lady Mounteagle — że jego religja jest starsza niż braminizm, a czystsza od buddyzmu.

— Ach tak... — mruknął Hardcastle i patrzył uważnie przez swój monokl, trzymając ręce w kieszeniach.

— Powiadają — rozpoczął pan domu miłym, profesorskim tonem — że ich bóstwo, zwane Bogiem Bogów, jest olbrzymiego rozmiaru rzeźbą mieszczącą się w pieczarze góry Meru...

Pogodny wykład jego lordowskiej mości został nagle przerwany jakiemiś okrzykami, rozlegającymi się z wnętrza muzeum, gdzie panowały już zupełne ciemności. Obaj młodzi ludzie obejrżeli się ze zdziwieniem, trochę z gniewem, aż wkońcu wybuchnęli śmiechem.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — dał się słyszeć melodyjny głos profesora Phroso, tego niestrudzonego bojownika wiedzy — ale przyszło mi na myśl, że może kto z państwa zechce poświęcić chwilkę czasu na tak zapoznaną naukę o guzach, które...

— Uważaj pan! — zawołał porywczo Tom. — Ja nie mam żadnego guza, ale pan możesz parę oberwać...

Hardcastle łagodnie powstrzymywał go, gdy wyrwał się do drzwi i całe towarzystwo odwróciło się także, patrząc do pokoju.

I właśnie w tej chwili zdarzył się ten wypadek.

Tom wyrwał się chcąc dogonić Phrosa, Hardcastle zaś nagle przypomniał sobie o kamieniu pozostawionym na

kamiennej framudze. Tom skoczył jak kot przez podwórzec klasztorny, a wtykając głowę i ramiona przez otwór między dwiema kolumnami, krzyknął głosem, który rozdzwięczył się pod arkadami:

— Mam go!

Zanim to się stało, zanim usłyszano zwycięskie jego wołanie, wszyscy spostrzegli, jak z poza kolumn wyciągnęła się ciemna, brązowa ręka, barwy umarłego złota. Ręka rzuciła się, jak napadający wąż, tak szybko, jak drgający język mrówkojada i... połknęła klejnot. Kamienna płyta jaśniała nagością w bladym, gasnącem świetle.

— Miałem go już — wołał zadyszany Tommy — ale wywinął mi się z rąk. Panowie, biegnijcie od frontu!... W żaden sposób nie może nam uciec...

Usłuchali, niektórzy biegnąc przez korytarz, inni przeskakując przez niski mur i z takim rezultatem, że cała gromadka, składająca się z Hardcastle'a, lorda Mounteagle, Ojca Browna i nieodłącznego Phroso okrążyła ujętego Władcę Gór, którego Hunter trzymał za kołnierz jedną ręką i potrząsał nim w sposób wysoce nieodpowiedni dla godności wielkiego proroka.

— Jest! — westchnął ciężko Hunter, puszczając go. — Trzeba go teraz przeszukać. Musi mieć przy sobie...

Po trzech kwadransach Hunter i Hardcastle stanęli naprzeciwko siebie zmęczeni, w pogniecionych ubraniach, patrząc ze zdumieniem sobie w oczy.

— I cóż? — zapytał Hardcastle, hamując się. — Rozumiesz co z tego? Jakaś tajemnica!...

— Do diabła! — zawołał Tommy. — Nie możesz nazywać tego tajemnicą... Wszyscyśmy widzieli, jak brał!

— Tak, ale nie wszyscy widzieliśmy, jak się tego pozbył, czy ukrył... Tajemnicą jest, gdzie schował, bo nie możemy znaleźć.

— Gdzieś musi być — odrzekł Hunter. — A przeszukałeś sadzawkę i tego przekłętego boga?

— Złotych rybek nie krajałem — odpowiedział Hard-

castle, kładąc w oko monokl i patrząc na przyjaciela. — Czy ci przypomniał się pierścień Polikratesa?

Przez swój monokl patrzył w puciołowatą twarz, na której nie znać było rozmyślania nad grecką legendą.

— Przy sobie w każdym razie nie ma on tego klejnotu — zastanawiał się Hunter. — Jeżeli oczywiście nie połknął go.

— Czy mamy rozćwiartować też i proroka? — uśmiechnął się Hardcastle. — Ale idzie tu nasz gospodarz.

— Niezmiernie przykra historia — odezwał się lord Mounteagle, kręcąc siwego wasa drżącą nieco ręką. — To okropne mieć złodzieja w domu i wiedzieć, że jest nim taki człowiek, jak Władca Gór. Przytem nie mogę nic z tego zrozumieć, co on mówi. Może panowie pójdą tam i powiedzą mi swoje zdanie.

Poszli wszyscy razem. Hunter szedł na końcu, gawędząc z Ojcem Brownem, który dotychczas dreptał niestrudzenie po podwórku.

— Musi pan być bardzo silny — podziwiał ksiądz. — Trzymał pan go jedną ręką, a i on nie wydawał się ułomkiem, gdyśmy wszyscy czterej chwyтали go.

Przeszli parę razy dokoła klasztoru i weszli także do pokoju, gdzie jako jeniec, lecz z wielce królewską miną siedział na ławie Władca Gór.

Miał rację lord Mounteagle, że z jego twarzy i tonu niełatwo można było co wywnioskować. Mówił pogodnie, zachowując na obliczu ten sam wyraz władczej potęgi. Miało się wrażenie, że bawią go domysły o domniemanych miejscach ukrycia klejnotu, nie zdawał się nawet tem obrażony, a nawet lekki nieodgadniony uśmiech przewijał się przez jego usta, gdy słuchał, jak wszyscy starali się określić swe wrażenia. Przecież na własne oczy widzieli, jak brał rubin.

— Uczyliście się trochę — odezwał się prorok z bezczelną dobroduszością — o prawach przestępstwa i czasu, lecz wasze zdobycze naukowe wyprzedziła najstarsza nasza religja. Nie wiecie nawet, co właściwie znaczy ukrycie ja-

kiejś rzeczy. Nie, moi godni pożałowania przyjaciele, wy nawet nie wiecie, co to znaczy widzieć jakąś rzecz, bo wówczas widzielibyście ją tak wyraźnie, jak ja ją widzę.

— Sądysz, że jest tutaj? — zapytał Hardcastle ostro.

— Tutaj?... Jest to wyraz także o kilku znaczeniach — odrzekł mistyk. — Ale ja nie powiedziałem, że jest tutaj. Mówię, że mogę go widzieć.

Zapadła irytująca cisza, poczem sennym głosem mówił dalej:

— Gdyby tu panowała niezmacona, bezwzględna cisza, czy sądzicie, że bylibyście zdolni usłyszeć wołanie z drugiego końca świata? Ten zew czci ciela gór, gdzie istnieje prawdziwy posąg, sam podobny do góry? Powiadają, że nawet Żydzi i muzułmanie mogą czcić ten wizerunek, gdyż nie był wykonany ręką ludzką. Słuchajcie!... Czy słyszycie ten krzyk, z jakim on podnosi głowę i patrzy w zagłębienie w kamieniu, wydrążone przez wieki, w ten czerwony, gniewny księżyc, który jest źrenicą góry?

— Jakto? — zawołał lord Mouteagle z lekkim dreszczem. — Więc powiadasz, że byleś mocen przenieść ten klejnot na górę Meru? Gotów jestem uwierzyć w wielkie twe moce, ale...

— Może. — odrzekł Władca — moc moja jest większa, niż zdołacie w to uwierzyć...

Hardcastle powstał zniecierpliwiony i zaczął chodzić po pokoju z rękami w kieszeniach.

— Nigdy nie byłem zupełnie przekonany, a w każdym razie nie w tak wielkim stopniu, ale teraz gotów jestem przyznać, że są pewne siły... Wielki Boże!

Okrzyk jego rozdarł powietrze, a sam Hardcastle stanął jak wryty, wpatrując się w pewien punkt. Monokl wypadł mu z oka. Wszystkie twarze obróciły się w tym samym kierunku i na każdej odbiło się także samo wzruszenie. Czerwony księżyc z Meru leżał na kamiennej framudze tak samo, jak go wszyscy po raz ostatni widzieli. Może to była czerwona isierka, wypadła z ogniska, czy piatek czerwonej ró-

ży, dość, że leżał ściśle w tem samym miejscu, gdzie Hardcastle lekkomyślnie położył klejnot.

Hardcastle nie śpieszył się wcale, żeby go stamtąd zabrać. Dziwnie się jakoś zachowywał. Odwrócił się zwolna i zaczął znów chodzić po pokoju. W ruchach jego była jakaś pewność siebie, gdy poprzednio wyczuwało się niepokój. Zatrzymał się wreszcie przed Władcą i skłonił się przed nim z nieco szyderskim uśmiechem.

— Mistrzu! — odezwał się. — Wszyscy winniśmy błagać cię o przebaczenie, a co ważniejsze, powinniśmy to przyjąć jako nauczkę. Tak, z twojej strony żart, a dla nas nauczka... Będę zawsze miał w pamięci two niesłuchanie potężne moce i wspominać będę, jak niewinnie użyłeś ich w tym wypadku. Lady Mounteagle raczy mi przedewszystkiem wybaczyć, że posadziłem o kradzież Władcę. Miałem już honor tłumaczyć pani, nawet niedawno przed tym wypadkiem, że wiele podobnych zjawisk można wyjaśnić pewnego rodzaju hypnotyzmem. Powiadają, że w ten sposób objaśnić można wyrastanie rośliny manganowej, albo wspinanie się chłopca po sznurze do niebios. Zjawiska takie nie są rzeczywiste, lecz widzowie są zamesmeryzowani i wyobrażają sobie, że to dzieje się istotnie. I my zostaliśmy zamesmeryzowani przekonaniem, że zaszła kradzież. Ta ciemna ręka, wysuwająca się z okna i chwytająca rubin, była chwilową złudą, jak ręka we śnie... Zauważywszy, że kamień zniknął, nie spojrzeliśmy na miejsce, gdzie leżał poprzednio. Zaglądaliśmy do sadzawki i oglądaliśmy każdy liść wodnych lilij, gotowi nawet byliśmy dać emetyku złotym rybkom. A rubin leżał tam cały czas.

Spojrzał w opalowe, uśmiechające się oczy Władcy i dostrzegł, że uśmiech ten miał już cechy bardziej ziemskie. Był w tym uśmiechu tak dziwny wyraz, że wszyscy zerwali się z miejsc, wydając głębokie westchnienie ulgi.

— Bardzo szczęśliwe zakończenie — odezwał się lord Mounteagle, uśmiechając się nerwowo. — Niema najmniejszej wątpliwości, że istotnie tak być musiało jak pan mówi.

Był to niezmiernie przykry epizod i naprawdę nie wiem, jak wyrazić prośbę o przebaczenie...

— Nie mam o to żadnej pretensji — odrzekł Władca Gór, ciągle uśmiechnięty. — Nie dotknęło mnie to wcale.

Podczas gdy wszyscy oddawali się radości, uważając Hardcastle'a za chwilowego bohatera, mały frenolog powędrował do swego zabawnego namiotu. Obejrzawszy się nieco, ujrzał ku swemu zdumieniu Ojca Browna za sobą.

— Czy mam zbadać guzy? — zapytał lekko szyderczym tonem.

— Zdaje się, że już pan nic nie potrzebuje badać — odrzekł żartobliwie ksiądz. — Pan jest detektywem, prawda?

— A tak. Lady Mounteagle prosiła, żebym miał oko na tego Władcę, nie będąc zupełnie zwarjowaną na tle mistycyzmu. Gdy prorok opuścił swój namiot, poszedłem za nim, udając natrętnego manjaka. Gdy nikt nie zaglądał do mego namiotu, miałem czas przeczytać coś niecoś z encyklopedji o guzach.

— Guzy — zobacz folklor... — kończył sennie Ojciec Brown. — Tak, doskonale udała się panu ta rola na bazarze.

— Dziwna sprawa, nieprawdaż? — zmienił temat frenolog... — Zabawne, że nic nie wiedzieliśmy, iż rubin był tam cały czas...

— Bardzo zabawne — odrzekł ksiądz.

Powiedział to tak dziwnym tonem, że detektyw stanął i spojrzał na księdza.

— Jakto? — zawołał. — Ksiądz nie wierzy, że był tam cały czas?

Ojciec Brown zmrużył oczy z przykrością, jakby dostał szturchańca, a potem odrzekł zwolna z wahaniem:

— Nie... właściwie... nie mogę... nie mogę zmusić się, żeby uwierzyć...

— Wiem, że ksiądz nie jest jakimś fanfaronem, żeby miał coś mówić bez przyczyny — zawołał Phroso, patrząc na Ojca Browna przenikliwie. — Czemuż to ksiądz nie chce w to uwierzyć?

— Dlatego, że ten rubin sam tam położyłem.

Frenolog stanął jak wryty. Czuł, że mu włosy stają dębem na głowie. Otworzył usta i... nic nie powiedział.

— A właściwie namówilem złodzieja, żeby mi pozwolił go tam położyć — mówił ksiądz. — Wziąłem go na stronę, powiedziałem, że domyślam się jego w tem sprawki i dałem mu czas na skruchę. Nie mówię w tym celu, żeby to panu mogło się przydać, bo nie sędzę, aby lordostwo Mounteagle chcieli rozmazywać tę sprawę. Klejnot już odzyskali i sądzą, że wiedzą, kto był sprawcą.

— A więc jednak ten Władca?...

— Nie. Władca nie ukradł go.

— Nic nie rozumiem. Nikt, prócz Władcy nie stał za oknem, a jego ręka sięgnęła właśnie z poza okna.

— Ręka sięgnęła z wewnątrz, ale złodziej był zewnątrz.

— Znowu wracamy do tych samych mistycyzmów. Jestem człowiekiem praktycznym i chciałbym wiedzieć, czy z tym rubinem jest wszystko w porządku...

— Nie... Wiedziałem, że nie wszystko jest w porządku, zanim dowiedziałem się o rubinie.

Po chwili Ojciec Brown ciągnął dalej, zatopiony w myślach:

— Tak. Słuchając ich rozmowy, jeszcze tam przy namiotach czułem, że rozumowano mylnie. Znajdą się tacy, którzy panu powiedzą, że teorie nie mają znaczenia, że filozofja i logika niezawsze dadzą się zastosować w życiu. Proszę im nie wierzyć. Rozum pochodzi od Boga, a rzeczy nierozumne nie mają z nim nic wspólnego. Te abstrakcyjne rozumowania zakończyły się niezwykle komicznie. Niech pan sobie przypomni, jakie to były teorie. Hardcastle z pewną siebie miną twierdził, że wszystko jest możliwe, różne głupstwa tłumaczył mesmeryzmem, jasnowidzeniem i nadawał im różne filozoficzne, naukowe terminy. Hunter zaś uważał to za oszustwo i pragnął demaskować. Przyszedł tam w towarzystwie lady Mounteagle nie tylko demaskować wszystkich wróżbitów, ale specjalnie zjawił się, żeby stawić czoło jed-

nemu. Nieczęsto się tu zjawiał, niezbyt chętnie lordostwo go przyjmowali, gdyż będąc utracjuszem, musiał zawsze od nich pożyczać pieniędzy. Ale dowiedziawszy się o bytności Władcy pośpieszył czem prędzej. A teraz niech pan uważa. To Hardcastle poszedł do czarodzieja, nie Hunter. Hunter powiedział, że nie chce tracić czasu na takie głupstwa, on, który tracił masę czasu w swoim życiu na wykazanie, że sam jest głupstwem. Niebardzo wydaje się konsekwentne to jego postępowanie, prawda? Tak, on przypuszczał, że będzie patrzył w kryształ, a tymczasem okazało się, że to tylko chiromancja.

— A cóż to ma do tego? — spytał zdumiony frenolog.

— Ma. U chiromanty musiałby zdjąć rękawiczkę.

— Zdjąć rękawiczkę?

— Gdyby ją zdjął, zobaczylibyśmy, że rękę ma już ufarbowaną na bronzowo... O tak, zrobił to specjalnie, ponieważ wiedział, że Władca tu bawi.

— Jakto? książdz przypuszcza, że to ręka Huntera wysunęła się z poza okna? Ależ on był z nami cały czas...

— Niech pan sobie wszystko dokładnie przypomni, a przyzna, że było to zupełnie możliwe. Hunter skoczył naprzód, wychylił się przez okno, w mgnieniu oka ściągnął rękawiczkę, zawinął rękaw i wyciągnął rękę z drugiej strony filaru, a drugą ręką pochwycił Indusa i sprowadził jako złodzieja. Zauważyłem, że cały czas trzymał go tylko jedną ręką, gdy każdy zdrowy człowiek użyłby dwóch. Ale drugą ręką chował rubin do kieszeni spodni.

Milczeli obaj przez dłuższą chwilę, poczem frenolog odezwał się zwolna:

— Tak, to rzeczywiście zadziwiające. Ale jeszcze jedna rzecz mię zbija z tropu. Jak wytłumaczyć dziwne zachowanie samego czarodzieja? Jeżeli rzeczywiście był niewinny, czemu nie powiedział tego odrazu? Dlaczego nie obraził się za posądzenie i rewizję jego osoby? Dlaczego siedział, uśmiechając się tylko i przebiegle udawał, że jakieś niezwykłe, cudowne rzeczy robić potrafi.

— Ach! — zawołał Ojciec Brown lekko zniecierpliwiony. — Znowu wracamy do tegoż samego... Że też ludzie nie chcą, czy nie mogą zrozumieć takich zwykłych rzeczy? Wszystkie religie są jednakowe — powiedziała pani Mounteagle. Niech i tak będzie! Ale najlepszy nawet wyznawca jednej może zostać niedowiarkiem, a najgorszy niedowiarek drugiej stać się wierzącym. Mówilem, że nie dbam o duchowe moce, ale akcentuję wyraz „moce”. Nie twierdzę, że Władca chciał ukraść rubin, zupełnie możliwe, że nie chciał, nie pomyślał pewnie nawet, że go warto kraść. Nie miał pewnie nawet pokusy zabrania klejnotu, ale miał pokusę utrwalenia wiary w cuda, do których nie ma prawa, jak i do klejnotów... Dziś właśnie pozwolił sobie na ten rodzaj pokusy na ten rodzaj kradzieży. Chciał, żebyśmy uwierzyli w jego duchowe moce, którymi może on zmusić materialne przedmioty do przebywania przestrzeni, a chociaż tego nie uczynił, pozwolił nam w to uwierzyć. Pojęcie osobistej własności nie przyszło mu nawet na myśl zupełnie. Ta kwestja nie przedstawiałaby się w ten sposób: — Czy mogę ukraść ten kamień? — ale w formie: — Czy mogę kazać zniknąć temu kamieniowi i umieścić go na dalekiej górze? Kwestja j a k i to jest kamień była dla niego bez znaczenia. W tem właśnie widzę różnicę religij. On jest niezwykle dumny z tego, co nazywa duchową potęgą. Ale to, co nazywa duchową potęgą nie oznacza wcale tego, co my nazywamy moralnością. To jest raczej panowaniem umysłu, władzą umysłu nad materją, czarodziejstwem, panującym nad elementami. Otóż my z tem nie mamy nic wspólnego. Nawet wtedy, gdy nie jesteśmy od nich lepsi, nawet wtedy, gdy jesteśmy gorsi. Pod takiemiż średniowiecznemi samemi arkadami, które pomysłowość nasza przyozdobiła teraz we wszystkie demony Azji, żyli ojcowie nasi i pozostawili nam w dziedzictwie zupełnie inną ambicję i zupełnie odmienny wstyd. Wstydby nam było, gdyby ktoś pomyślał, że jesteśmy zdolni do kradzieży. Jemu zaś właśnie chodziło o utrwalenie przekonania, że to on ukradł, jakkolwiek nie zrobił tego wcale. On istotnie ukradł wam wiarę w kradzież. Gdy

każdy z nas odrzucał od siebie występki jak węże, on przywabił go ku sobie, jak zaklinacz węży. Lecz węże nie są czczone w naszym kraju. W tym wypadku chrześcijaństwo od razu wypowiedziało swą opinię. Dość było spojrzeć na lorda Mounteagle podczas tego zajścia... Ach! możesz być sobie zwolennikiem Wschodu i ezoterykiem, ile ci się podoba, nosić turban i długą suknię, ale jeśli ukradną ci w twym domu jakiś kamyk i twoi przyjaciele mogą być podejrzewani, wolisz od razu przypomnieć sobie, że jesteś zwykłym zakłopotanym angielskim gentlemanem. Ten młodzieniec, który rzeczywiście wykonał tę kradzież, nie chciał, żebyśmy wiedzieli, że to jego sprawa dlatego, że jest również angielskim gentlemanem. On nawet jest czemś lepszym. On jest zwykłym chrześcijańskim złodziejem. A mam nadzieję i wierzę, że jest już żałującym grzesznikiem.

— Wedle więc zdania księdza — roześmiał się detektyw — chrześcijański złodziej i pogański oszust martwią się z odmiennych pobudek. Jeden martwi się, że to uczynił, a drugi trapi się, że nie uczynił tego.

— Nie należy być zanadto surowym dla każdego z nich — odrzekł ojciec Brown. — Niejeden angielski gentleman już kradł i chronił się pod protekcję prawa i polityki. Zachód też ma swoje sposoby pokrywania złodziejstw sofistyką. A rubin nie jest jedynym wartościowym kamieniem, który zmienia właścicieli w ten sposób. Zdarza się to i innym drogocennym kamieniom, często rzeźbionym jak kamee i barwnym jak kwiaty.

Detektyw spojrział na księdza pytającym wzrokiem. Palec Ojca Browna wskazywał gotycką sylwetkę wielkiego opactwa.

— Tak wielki kamień grobowy — wyjaśniał — i to został skradziony.

VIII

NAJSTRASZNIEJSZA ZBRODNIA.

Ojciec Brown bardzo lubił sztuki piękne, ale na twarzy jego malowało się wyraźnie, że nie przyszedł na tę wystawę dla oglądania obrazów. Nie dlatego, żeby nowoczesne dzieła uważał za niewłaściwe czy niemoralne, bo mógłby mieć taki temperament, który potrafiłby roznamietnić się do tych urwanych spirali, koziółkujących ostrosłupów i połamanych walców, któremi sztuka przyszłości inspiruje ludzkość, czy też jej zagraża. Mógłby więc mieć taki temperament, ale tymczasem czekał tylko na młodą swą przyjaciółkę, która mu tu wyznaczyła spotkanie, ponieważ sama w futuryzmie widziała nowe objawienie. Była to siostrzenica Ojca Browna, jedna z nielicznych jego kuzynek. Nazywała się Elżbieta Fance, nazywano ją Betty i była córką jego siostry, która wyszła za prawdziwego, wytwornego lecz zubożałego squire'a. Gdy siostra owdowiała, Ojciec Brown został opiekunem Betty, a zarazem doradcą, nie przestając być kochającym ją bardzo wujem.

Rozglądał się więc po sali i nie mógł jakoś dojrzeć kasztanowatych włosów i jasnej twarzyczki swej siostrzenicy. Zobaczył parę osób znajomych i wiele nieznajomych, wliczając do tej liczby i tych, których nie chciał poznać, co zresztą było rzeczą gustu.

Miedzy osobami, których ksiądz nie znał, a którym przyglądał się z ciekawością był pewien przystojny, zgrabny młodzieniec, bardzo elegancko ubrany, z brodą przyciętą na kształt łopaty, niczem u starego Hiszpana, ciemne zaś włosy miał ostrzyżone tak krótko, że wyglądały jak czarna ciasna mycka. Z osób, których ksiądz specjalnie nie chciał poznać, była imponująca dama, ekscentrycznie ubrana w czerwoną suknię, z grzywą żółtych włosów, zbyt długich, żeby je można uważać za obcięte, a zbyt pokręconych, żeby je można było nazwać jakoś inaczej. Miała szeroką o wydatnych rysach bladą twarz, a wzrok jej badawczo przyglądający się wszystkim, zachował cały urok bazyliuszka. Ciągnęła za sobą niskiego jegomościa z wielką brodą i wąskimi, śpiącemi szparkami oczu. O ile czasami budził się do życia, wyraz jego twarzy bywał dobroduszny, byczy jednak kark, gdy się nań patrzyło z tyłu, wyglądał dosyć brutalnie.

Ojciec Brown przyglądał się damie, czując że widok jego siostrzenicy będzie miłym dla niego kontrastem, tymczasem patrzył na nią z innych względów, zanim doszedł do tego punktu świadomości, że czyjś widok może być miłym kontrastem. A więc z pewną ulgą, drgnąwszy jednak lekko, jak zbudzony ze snu, usłyszał znajomy głos, a obejmując się ujrzał i znajomą twarz.

Twarz miała ostre rysy, lecz była przyjaźnie uśmiechnięta. Pasma szpakowatych włosów dziwnie nie zgadzały się z młodzieńczemi, energicznemi ruchami prawnika Granby. Tacy jak on ludzie wybiegają zawsze pędem ze swoich biur, nie umieją ustać spokojnie, a więc i teraz, nie mogąc biegać po tej sali, kręcił się ciągle i rzucał na prawo i lewo oczyma, szukając znajomych.

— Nie wiedziałem — odezwał się Ojciec Brown z uśmiechem — że pan jest mecenasem nowej sztuki.

— Nie wiedziałem, że i ksiądz jest nim także — odciął się Granby. — Chcę tu go złapać.

— A tymczasem dobrze pan się bawi. I ja to samo robię.

— Powiedzieli mi, że bawi tu przejazdem, udając się na kontynent i że będę go mógł spotkać w tym labiryncie. — Rozmyślał przez chwilę i nagle dodał: — Niech ksiądz zechce wysłuchać. Wiem, że umie utrzymać tajemnicę. Czy ksiądz zna Johna Musgrave'a?

— Nie, nie znam — odrzekł ksiądz. — Ale trudno nazywać to tajemnicą, kiedy przecież o tem wszyscy wiedzą. Jeżeli oczywiście jest to ten stary pan, o którym opowiadają niestworzone historie, że ukrył się na swoim zamku za zwodzonym mostem, że od zamierzchłych czasów, nie wychodzi stamtąd i t. d. i t. d. Czy on jest pańskim kljentem?

— Moim nie, tylko syn jego, kapitan Musgrave, zgłosił się do naszej firmy. Ale w tej sprawie chodzi o jego ojca, a ja go nie znam i wtem cała rzecz. Jest to sprawa poważna, ale mogę ją księdzu zwierzyć.

Zniżył głos i pociągnął księdza do bocznej galerji, gdzie znajdowały się reprodukcje dzieł sztuki. Było tam zupełnie pusto.

— Młody Musgrave — opowiadał — chce podnieść większą sumę, złożoną u nas ale pozostawioną do odebrania dopiero *po śmierci ojca*. Stary ma dobrze po siedemdziesiątce i prawdopodobnie umrze prędzej czy później, ale pieniądze będą do odebrania dopiero *po śmierci*. Co ma zamiar zrobić ze swoim zamkiem, zwodzonym mostem, gotówką, Bóg raczy wiedzieć. Piękny to majątek i wiekiej wartości, ale dotychczas nie ma wyznaczonego dziedzica. Widzi więc ksiądz, w jakim jesteśmy położeniu. Cała rzecz w tem, czy — jak powiada Dickens — stary jest przyjaźnie usposobiony.

— Czy jest przyjaźnie usposobiony do swego syna? — zastanawiał się Ojciec Brown. — Pan przecie może to wyczuć. Nie, zdaje mi się, że nie będę mógł panu w niczem pomóc. Nigdy nie widziałem Sir Johna Musgrave'a i nie znam nikogo, ktoby się z nim w tych czasach widywał. Ale zdaje mi się, że ma pan zupełne prawo upewnić się w tej kwestji, zanim firma pańska wręczy temu młodemu człowie-

kowi pieniądze. Czy może on należy do ludzi, którzy gardzą pieniędzmi?

— Hm, wątpię. Żyje w wielkim świecie, jest bardzo wytworny, często jeździ zagranicę. Prócz tego był dziennikarzem.

— No, to nie zbrodnia, a przynajmniej niezawsze.

— Nonsens! — oburzył się Granby. — Zresztą czepiał się wszelkich zawodów. Był i dziennikarzem i nauczycielem i aktorem i Bóg wie czem jeszcze. Postarałem się zebrać o nim wiadomości... Ale... otóż i on!

I prawnik, który dotychczas dreptał niecierpliwie na jednym miejscu, odwrócił się nagle i pomknął szybko do najbardziej zatłoczonej sali. Wpadł na owego wysokiego, elegancko ubranego młodzieńca z krótko obciętemi włosami i brodą naksztalt łopaty.

Poszli obaj razem, zajęci rozmową i przez parę minut Ojciec Brown śledził ich swemi przenikliwemi oczyma. Wzrok mu złagodniał, gdy usłyszał głosik swej siostrzenicy. Zadyszana przypadła do niego, pociągnęła do pustej sali i posadziła na krześle.

— Muszę ci coś wujku powiedzieć. — zawołała. To jest takie niedorzeczne, że chyba tylko ty będziesz mógł to zrozumieć.

— Jestem tem zgnębiony — jęknął Ojciec Brown. — Czy może będziesz mówić o tem, co mi już twoja matka wspominała? Jakies oświadczyńy, czy coś podobnego?

— To już wiesz, że mama chce, abym przyjął kapitana Musgrave'a?

— Nie wiem — odrzekł Ojciec Brown z rezygnacją. — Wiem tylko, że o niczem innem nie mogę dziś mówić, tylko o tym kapitanie. Niezwykłe modny temat rozmowy...

— Oczywiście, jesteśmy bardzo niezamożne, niedobry jesteś wujku, przypominając mi różnicę majątkową.

— A ty chcesz wyjść za niego? — spytał Ojciec Brown, patrząc na nią z pod przymruczonych powiek.

Zasepila się i spuściwszy oczy, odpowiedziała cichym głosem.

— Chyba chcę... Przynajmniej zdaje mi się, że chcę. Ale właśnie teraz zdarzyło mi się coś osobliwego.

— Hm, to mi powiedz.

— Słyszałam jego śmiech.

— Jest to wielka zaleta towarzyska.

— Nie rozumiesz mnie. To wcale nie było w towarzystwie. Właśnie o to chodzi, że to nie było w towarzystwie.

Umilkła na chwilę.

— Przyszłam już tu dość dawno — ciągnęła dalej — i widziałam go siedzącego samotnie w tamtej sali z nowymi obrazami, gdzie było zupełnie pusto. Nie spodziewał się, żeby ktokolwiek mógł być wpobliżu. Siedział zupełnie sam i... śmiał się...

— Cóż to dziwnego? — oburzył się Ojciec Brown. — Nie jestem krytykiem, ale patrząc na te obrazy...

— E, kiedy nie chcesz mnie zrozumieć... — zawołała z gniewem. — Wcale nie tak było. Nie patrzył na obrazy. Patrzył się wprost w sufit, ale oczy patrzyły jakby wewnątrz siebie i śmiał się tak, że mi się krew ścinała...

Ksiądz powstał z krzesła i zaczął chodzić po sali z rękoma w tył założonemi.

— Nie powinnaś śpieszyć się z tem małżeństwem — zaczął. — Są dwa rodzaje ludzi... ale nie możemy tu rozmawiać, bo on tu jest.

Kapitan Musgrave wszedł szybko do sali i pośpieszył do panny Fance z uśmiechem. Granby biegł za nim, a twarz jego wyrażała zadowolenie.

— Powinienem odwołać to, co mówiłem o kapitanie Musgrave — odezwał się do księdza, gdy skierowali się ku drzwiom. — Jest to zupełnie rozsądny chłopak i bezwzględnie zgadza się ze mną. Spytał mnie sam, dlaczego nie pojedę do jego ojca, dowiedzieć się z własnych jego ust, jak sprawa stoi. Trudno chyba przyzwoiciej postawić sprawę, co? Ale pragnąłby jak najprędzej dojść do porozumienia

i ofiarował się zawieźć mnie swoim samochodem do Musgrave Moss. Tak się nazywa ten majątek. Zgodziłem się, mówiąc, że jeżeli jest tak uprzejmy, chętnie z nim pojadę. Jutro więc wyjeżdżamy.

Podczas rozmowy Ojca Browna z Granbym, Betty z kapitanem szli naprzód razem, tworząc w tym artystycznym otoczeniu obrazek o wiele sympatyczniejszy od tych ostrosłupów i walców. Niewiadomo, czy było między nimi jakie duchowe powinowactwo, ale zewnętrznie oboje byli w równym stopniu urodziwi i adwokat na to zwrócił uwagę, gdy nagle obraz się zmienił.

Kapitan James Musgrave zajrzał do obszernej galerii i naraz śmiech jego i zwycięski wyraz oczu zamarły nagle. Ojciec Brown obejrzał się dokoła, szukając niebezpieczeństwa i ujrzał schyloną, zsiniałą twarz, pod płową, lwią grzywą wysokiej kobiety w czerwonej sukni. Stała lekko schyloną, jak byk nadstawiający rogi, a wyraz bladej, groźnej twarzy był tak przykry i przyszywający, że nie zwracało się nawet uwagi na stojącego za nią tego niskiego pana z wielką brodą.

Musgrave podszedł do niej na środek sali automatycznym krokiem, jak pięknie ubrana figura woskowa, nakręcona do chodzenia. Wyrzekł do niej parę słów, których nie można było dosłyszeć. Nie odpowiedziała, ale oboje zawrócili i poszli razem przez galerję, jakby spierając się o coś, a mały jegomość, niby śmieszny paż-karzelek trzymał tylną straż.

— Chryste Panie, zmiłuj się nad nami, — szepnęła Ojciec Brown, patrząc zpod łba na nich. — Któż to jest ta kobieta?

— Nie jest to w każdym razie żadna moja „sympatja” — gadał Granby zdziwiony. — Niebezpiecznie byłoby zawiązać z nią lekki flirtik... Mogłoby to źle się skończyć, prawda?

— Nie przypuszczam, aby to miał być flirt — odrzekł Ojciec Brown.

Tymczasem omawiana para doszła do końca galerji i rozeszła się. Kapitan śpiesznym krokiem wrócił do towarzystwa.

— Wie pan — zawołał dość naturalnym tonem, jakkolwiek brzmienie głosu zmieniło się nieco — panie Granby, że nie będę mógł jutro pojechać z panem. Bardzo mi przykro... W każdym razie może pan wziąć moje auto. Bardzo proszę, niech się pan nie kępuje... Nie będę go potrzebował. Muszę... muszę być w Londynie przez parę dni. Jeśli pan sobie życzy, może pan wziąć z sobą kogo z przyjaciół.

— Mój przyjaciel Ojciec Brown... zaczął Granby.

— Jeżeli pan kapitan jest tak uprzejmy — zgodził się Ojciec Brown. — Muszę wyjaśnić, że też jestem zainteresowany w tej sprawie i z wielkim zadowoleniem pojadę.

Następnego dnia eleganckie auto, kierowane przez równie eleganckiego szofera pędziło na północ przez yorkshirskie błota, wioząc księdza, który wyglądał jak śmieszny mały pakunek, oraz adwokata. Ten wolałby napewno na własnych nogach przemierzać przestrzenie niż pędzić na kołach cudzego samochodu.

Zrobili sobie miłą przerwę w podróży w jednej z wielkich dolin West Ridingu, jedząc tam obiad i urządziwszy wygodny nocleg w gospodzie. Nazajutrz wczesnym rankiem ruszyli dalej ku wybrzeżu Northumbrian. Wreszcie dotarli do wsi. W labiryncie piaszczystych diun i nadmorskich łąk stał zamek, jedyna i dotychczas tajemnicza pamiątka dawnych morskich wojen. Dotarli do niego idąc ścieżką, biegnącą równolegle z długą odnogą morza, wrzynającą się w ląd. Tworzyła ona coś podobnego do kanału, kończącego się w fosie zamkowej.

Zamek, był zamkiem jak się patrzy, jakie Normanowie budowali wszędzie, poczynawszy od Galilei, aż do gór Grampiansu w Szkocji. Okazało się, że most zwodzony i brona kolczasta u bramy były rzeczywistością, co zupełnie realnie stwierdzili nasi podróżnicy dzięki wypadkowi, który opóźnił ich przybycie do zamku.

Brnęli w ostrej trawie i ostach brzegiem fosy, wijącej się czarną wstęgą, przykrytą pianą zeschłych liści, jak heban inkrustowany złotą mozaiką. Drugi brzeg fosy i wielkie kamienne słupy, tworzące bramę były oddalone zaledwie o parę łokci. Niezbyt jednak dostępna była samotna warownia, bo kiedy Granby zawołał na jakichś ludzi, mających się za bramą zamkową, mieli oni pewne trudności przy spuszczeniu zardzewiałego mostu. Drgnął, pochylił się, jak wielka padająca wieża w groźnej postawie i uwiązł w polowie drogi.

Niecierpliwy Granby podskakiwał na brzegu, wołając do swego towarzysza:

— Nie mogę przecież sterczeć w tem bagnie. Najlepiej będzie przeskoczyć. Bez kłopotu przynajmniej...

Nie namyślając się długo, rozpedził się i zachwiawszy się lekko, znalazł się na drugim brzegu. Krótkie nóżki Ojca Browna nie nadawały się do takich skoków, dzięki jednak swemu usposobieniu, lepiej zniósł, niż kto inny, upadek do błotnistej wody, a skorzystawszy z szybkiej pomocyownika uniknął brudnej kąpieli.

Gramoląc się po oślizglej ścianie fosy, Ojciec Brown zatrzymał się ze spuszczoną głową i z wielką uwagą badał gęstą maź.

— Książd botanizuje? — zapytał Granby zirytowanym głosem. — Na zbieranie rzadkich roślin nie mamy już czasu, gdyż go sporo zajęła twoja, kochany księżulku, próba znurkowania dziwów tej głębiny. Chodźmy już, jakkolwiek zabłoceni musimy przedstawić się baronetowi.

Gdy przybyli do zamku, wyszedł na ich spotkanie stary służący i dowiedziawszy się o celu przybycia, wprowadził ich do wielkiej sali, wykładanej dębem. Okna były okratowane w piękny starożytny deseń. Na zmurszałych belkach wisiała broń z różnych epok, a obok wielkiego komina, jak żołnierz na warcie, stała cała zbroja z XIV wieku. Za tą salą przez otwarte drzwi widać było jeszcze jedną komnatę, gdzie na ścianach widniały rodzinne portrety.

— Mam wrażenie, że wszedłem nie do mieszkalnego domu, lecz do jakiegoś średniowiecznego romansu. Nie rozumiem, jak można żyć stale w takich „Tajemnicach Udolfa“... — dziwił się prawnik.

— Widocznie staremu gentlemanowi zależy na utrzymaniu tej historycznej ruiny — odrzekł ksiądz — a taka piecza nie jest blahostką. Są ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że średniowiecze składało się z paru wieków i dla nich to nie ma znaczenia. Taki laik sztukuje sobie zbroję z różnorodnych kawalków, a przecież ta oto zbroja okrywała w pewnym czasie całego człowieka. Tutaj widzi pan taką antyczną turniejową zbroję.

— Widzę tylko, że jej właściciel jest antycznym gospodarzem. Każe nam czekać na siebie, diabli wiedzą, ile czasu...

— Musi pan być na to przygotowany, że w takim miejscu wszystko idzie zwolna. Sądzę, że to będzie z jego strony wielka uprzejmość, jeżeli zgodzi się przyjąć dwóch zupełnie nieznanym ludzi, którzy przybyli pytać go o ściśle osobiste sprawy.

Kiedy jednak ukazał się wreszcie pan tego zamku, nie mogli uskarżać się na brak uprzejmości z jego strony. Był istotnie godnym przedstawicielem rodu i rycerskich tradycji, bowiem mimo długiego osamotnienia w tem dzikim odludziu, zachował pamięć form towarzyskich.

Baronet nie zdawał się wcale zdziwiony czy zakłopotany tą niespodziewaną wizytą, a jakkolwiek niewątpliwie przynajmniej od paru dziesiątków lat nie widywał obcych twarzy, wrodzona wytworność nic na tem nie ucierpiała. Ocenic to mogli w całej pełni, gdy wyluszczyli mu sprawę natury ściśle osobistej. Nie okazał wcale zdziwienia, ani niechęci do rozważania stosunków rodzinnych.

Był to szczupły o bystrem spojrzeniu stary gentleman z czarnymi brwiami i wydłużoną dolną szczęką. Włosy starannie utrefione były niewątpliwie peruką, uważał jednak, że siwa peruka najbardziej przystoi na starość.

— W sprawie tej, z którą panowie tu przybyli — mówił — odpowiedź jest bardzo prosta. Zapewniam stanowczo, że cały swój majątek mam zamiar przekazać swemu synowi, jak i mój ojciec oddał go mnie i nic — z całą pewnością utrzymuję — nic nie może zmienić mego postanowienia.

— Bardzo jestem wdzięczny za tę informację — odrzekł prawnik. — Ale ośmielam się zwrócić uwagę, że szanowny pan stawia kwestję tę bardzo mocno. Nie chcę przez to nasunąć myśli, że dalsze postępowanie syna pańskiego mogłoby zachwiać zaufanie w jego zdolności do utrzymania na tym samym poziomie tradycyji pańskiego rodu... ale mógłby...

— Tak, mógłby — przerwał sucho Sir Musgrave. — Pan to bardzo delikatnie wyraził, że mógłby... Może panowie zechcą przejść ze mną do tamtej sali.

Wprowadził ich do portretowej sali, do której już przedtem zajrzeli i stał chwilę zamyślony przed szeregiem szerniałych, posępnych portretów.

— To jest Sir Roger Musgrave — odezwał się, wskazując na chudą twarz w czarnej peruce. — Był to najpodlejszy łotr i łgarz z łotrowskich czasów Williama Orange, zdrajca dwóch królów i prawie że zabójca dwóch żon. Tu widzą panowie jego ojca, Sir Roberta, bardzo zacnego, czcigodnego rycerza... Ten zaś, to jego syn, Sir James, jeden z najszlachetniejszych męczenników Jakobitów i jeden z pierwszych mężów, którzy pomyśleli o naprawie Kościoła i doli ubóstwa. W rodzie Musgrave'ów szlachetność, honor, uczciwe pojmowanie władzy, omija jednego w pokoleniu. Zawsze między nimi znajduje się jeden nędznik. Nietylko w tym rodzie. Edward I dobrze rządził Anglią, Edward III Anglię okrył chwałą. Ale sława pierwszego przeszła ponad hańbą i głupotą Edwarda II, który paktował pod Gaveston, a pod Bruce uciekał. Niech mi pan wierzy panie Granby, że wielkość starego rodu i historia kraju ma większe znaczenie, niż te przypadkowe jednostki, które

tradycję dźwigając na swych barkach, nie potrafią okryć ją sławą. Będziecie mogli panowie przekonać się i możecie przekonać mego syna, że majątku swego nie zapiszę na beapańskie koty. Musgrave będzie zostawiał go tylko Musgrave'owi, dopóki świat się nie skończy.

— Tak — odezwał się Ojciec Brown w zamyśleniu — rozumiem pańską myśl.

— Będzie nam bardzo przyjemnie — wtrącił prawnik — zawieźć pańskiemu synowi tak pełne otuchy zapewnienie.

— Możecie mu to panowie zawieźć — odrzekł z powagą baronet. — Może być pewny, że odziedziczy po mnie tytuł, dobra, zamek i pieniądze. Jest tylko mały, a właściwie osobisty dodatek do tego układu. Pod żadnym pozorem, dopóki żyje, nie będę się z nim widywał.

Prawnik stał dotychczas w pełnej szacunku postawie, ale w tej chwili spojrział z szacunkiem na pana zamczyska.

— Dlaczego? Cóż on...

— Co do jego czynu wolno mi wyrazić opinię swoją, jako zwykłego człowieka, jako tylko kustosa wielkiego dziedzictwa. Syn mój popełnił coś tak ohydneho, że przestał być... nietylko gentlemanem, lecz nawet człowiekiem. Jest to najstraszniejsza zbrodnia, jaką człowiek może popełnić... Czy panowie pamiętacie, co powiedział Douglas, gdy Marmion, gość jego, chciał mu podać rękę?

— Owszem, pamiętam — odrzekł ksiądz.

— „Zamki moje od wież do fundamentów są tylko mojem królestwem“ — cytował Musgrave — „ręka zaś Douglasa jest jego osobistą własnością“.

Powrócił do pierwszej komnaty, prosząc gości, by poszli za nim.

— Mam nadzieję, że panowie przyjmą gościnę na zamku i tu przenocują?... — zapraszał.

— Dziękujemy panu, ale lepiej będzie, jeżeli dziś wyjedziemy — odrzekł ksiądz tępym głosem.

— Wydam rozkaz, aby spuszczone most — odezwał się pan domu.

W parę chwil potem zgrzytanie śmiesznego, średnio-wiecznego przyrządu napęłniło cały zamek. Jakkolwiek zardzewiały, działał teraz prawidłowo i obaj podróżni znaleźli się znów na błotnistym brzegu za fosą.

Granby uczuł jakiś dziwny lęk.

— Co u diabła on mógł zrobić? — zawołał.

Ojciec Brown nie odpowiadał. Gdy wsiedli do auta i ruszyli w powrotną drogę, prawnik zauważył ze zdziwieniem, że ksiądz nie zdradza chęci do dalszej podróży, że najwyraźniej ma zamiar pozostać w sąsiedztwie zamku. Zatrzymali się więc w wiosce Graystones, gdzie znaleźli nocleg w gospodzie „pod Siedmiu Gwiazdami”.

— Nie mogę tego tak pozostawić — mówił ksiądz z powagą. — Może pan sobie tem autem odjechać. Pan już ma odpowiedź na swoje pytanie, to znaczy, że pańska firma może dać pieniądze młodemu Musgrave'owi. Ale ja nic nie wiem, czy on będzie odpowiednim mężem dla Betty. Muszę się upewnić, czy rzeczywiście popełnił coś tak strasznego, czy też są to majaczenia starego warjata.

— Ależ — perswadował prawnik — jeżeli ksiądz chce się czegoś dowiedzieć o młodym, to należy wrócić do Londynu. Poco siedzieć w tej zapadłej dziurze, dokąd nie wolno mu nawet przyjechać?

— Cóż mi przyjdzie z tego, że pojedę do Londynu? Przecież nie zbliżę się do eleganckiego młodzieńca, spacerującego po Bond Street i nie powiem mu: — „Przepraszam pana, podobno popełnił pan jakąś straszną zbrodnię, niegodną rąk ludzkich...” — Jeżeli więc jest rzeczywiście takim nędznikiem, że mógł taką zbrodnię popełnić, to potrafi zaprzeczyć z pewnością. I nie dowiem się wcale, co to było. Nie, jest tylko jeden człowiek, który wie o tem i może powiedzieć w jakimś przystępie niespodziewanej szczerości. Wolę więc pozostać wpobliżu.

Pozostał więc Ojciec Brown w sąsiedztwie zdziwiałego baroneta. Spotykali się kilkakrotnie w różnych okolicznościach, okazując sobie wiele uprzedzającej grzeczności.

Baronet, mimo podeszłego wieku, był jeszcze dobrym i pełnym zapału piechurem i często go widywano, jak przechadzał się po polach i po łąkach. Zaraz następnego dnia po przybyciu, Ojciec Brown wyszedłszy z gospody ujrzał dystyngowaną postać, idącą w kierunku poczty. W pełnym świetle dnia Ojciec Brown mógł przyjrzeć się wybitnym rysom baroneta. Srebrnymi włosami, ciemnymi brwiami i wydłużoną szczęką przypominał nieco Henryka Irvinga czy też innego sławnego aktora. Mimo siwizny cała postać i czerstwa twarz ujawniały siłę, a laska służyła mu bardziej do wywijania, niż do podpierania steranego latami ciała. Przywitał się z księdzem i swobodnie podniósł tę samą kwestję.

— Jeżeli ksiądz interesuje się moim synem — mówił z lodowatą obojętnością — to go tutaj nie zobaczy. Opuścił te strony... a raczej mówiąc między nami — uciekł z tych stron.

— Szczególne — odrzekł Ojciec Brown, patrząc nań z powagą.

— Jakieś osobistości, o których nigdy nie słyszałem, nazwiskiem Grunov, dopytują się ciągle o niego. I teraz właśnie wysłałem telegram z zawiadomieniem, że o ile wiem, syn mój znajduje się obecnie w Rydze, adres *Poste restante*. Ale to nieznośne... chciałem to wczoraj załatwić, ale przyszedłem o pięć minut zapóźno. Poczta była już zamknięta. Ksiądz długo tu jeszcze pozostanie? Mam nadzieję, że mnie jeszcze kiedy odwiedzi...

Ksiądz opowiedział tę rozmowę Granby'emu. Prawnik był zdziwiony i zaintrygowany.

— Dlaczego ten kapitan uciekł? Co to za osobistości, które tak dopytują się o niego? Co to za jedni ci Grunov'owie szantażują go. A na trzecie pytanie, zdaje się, że będę mógł odpowiedzieć. Jeżeli pan sobie przypomina tę straszną kobietę z żółtymi włosami z galerji obrazów, to ona właśnie nazywa się Grunov, a ten mały pan uchodzi za jej męża.

Następnego dnia Ojciec Brown wrócił bardzo zmęczony i rzucił w kąt czarną wiązkę drutów zwaną parasolem z miną pielgrzyma, odkładającego swój kij pielgrzymi. Na twarzy malowało się zniechęcenie. Ale zdarzało się to często podczas jego kryminalnych dociekań. Nie było to zniechęcenie niepowodzenia, lecz depresja powodzenia.

— Omyłka... — odezwał się głuchym głosem. — Ale powinienem był spodziewać się tego. Powinienem był spodziewać się tego odrazu, gdy tam wszedłem i zobaczyłem, że tylko jedna stoi...

— Ale co to takiego? — pytał zniecierpliwiony Granby.

— Kiedy zobaczyłem, że stoi tylko jedna zbroja.

Umilkł. Prawnik wpatrzył się w przyjaciela, a przyjaciel zamyslił się.

— Miałem powiedzieć swej siostrzenicy — odezwał się wreszcie Ojciec Brown, — że są dwa typy ludzi, którzy potrafią się śmiać, gdy są sami. Można powiedzieć z całą pewnością, że człowiek, który umie śmiać się w samotności jest albo bardzo dobry albo bardzo zły. Bo widzi pan taki człowiek powierza jakiś żart albo Bogu albo djabłu. W każdym jednak razie człowiek taki żyje swem wewnętrznym życiem. Tak... A właśnie w tym wypadku był to typ człowieka, który żart powierzał djabłu. Nie przyszło mu nawet na myśl, że ktoś może widzieć jego myśli, że ktoś z całem bezpieczeństwem czyta jego myśli. Dla niego był to tylko żart, żart wystarczająco złowrogi i szkodliwy.

— Ale o czym ksiądz mówi? Komu miał o tem powiedzieć? Co to za osoba, która stroi żarty z Jego Szatańską Mością?

Ojciec Brown spojrzał na prawnika z jakimś uśmiechem nie z tego świata.

— Ach... — wyrzekł — to był tylko żart...

Zaległo znów milczenie, ale tym razem bardziej brzemienne i dokuczliwe i zdawało osiadać na nich, jak ten szary zmierzch, którego szary pył przeobrażał się już w czarny mrok.

Ojciec Brown siedział zgarbiony, oparłszy ręce na stole. Wreszcie przemówił:

— Przyjrzałem się rodzinie Musgrave'ów. Silny to i długowieczny ród i myślę, że długo musiałby pan czekać na swoje pieniądze.

— Jesteśmy na to przygotowani, w każdym razie nie będzie to czas nieograniczony. Stary ma przecie blisko osiemdziesiąt lat, chociaż chodzi jeszcze szparko, a ludność miejscowa, tu w gospodzie, opowiada sobie, że nikt nie wierzy, żeby miał kiedyś ich pan stary umrzeć.

Ojciec Brown miewał spokojne ruchy, czasami tylko w chwilach wzruszenia wykonał jakiś gest nieoczekiwany. Teraz więc drgnął silnie, łokcie jednak zatrzymał na stole, pochylił się tylko naprzód i spojrzał przyjacielowi w oczy.

— Właśnie. — zawołał zniżonym lecz wzruszonym głosem. — W tem cała zagadka. Jak to się rozstrzygnie? Jak on umrze? Jak on będzie umierał?

— O czym u diabła ksiądz myśli?

— Myślę — dał się słyszeć głos księdza z ciemnego już pokoju — o zbrodni, którą popełnił James Musgrave. Wiem już wszystko.

Głos jego był tak zimny, że Granby z trudnością powstrzymał dreszcz trwogi.

— W istocie jest to najstraszniejsza zbrodnia pod słońcem. Przynajmniej za taką ją uważają wszystkie społeczeństwa i cywilizacje. Od najwcześniejszych czasów stosowano najcięższe za nią kary. Tak, wiem już teraz co zrobił młody Musgrave... i wiem dlaczego.

— Ale cóż takiego zrobił?

— Zabił swego ojca.

Prawnik zerwał się na równe nogi i wytrzeszczył oczy w stronę Ojca Browna.

— Ależ ojciec jego jest w zamku. — krzyknął.

— Ojciec jego jest w fosie. Jak kto głupi, to nie zwróci na to uwagi. A przecież odrazu uderzył mnie ten brak... Niech pan sobie przypomni, jak wyglądała ta sala. Jak starym tam wszystko urządzone i udekorowane. Dwa wo-

jenne toporki wiszą skrzyżowane z jednej strony komina, dwa skrzyżowane toporki z drugiej. Okrągła szkocka tarcza na jednej ścianie, takąż samiuteńka na drugiej. Ale z jednej strony komina stoi zbroja, a z drugiej strony jest puste miejsce. Trudno uwierzyć, żeby człowiek ozdabiający salę z taką przesadną symetrią, pozwolił sobie w jednym kącie na taką asymetrię. Tam z pewnością stała druga zbroja. Lecz co się z nią stało?

Zamyślił się przez chwilę, potem spokojniejszym już tonem mówił dalej:

— Proszę tylko zastanowić się, jaki pomysł mógł przypaść do gustu zbrodniarzowi, jakie to było doskonale ukrycie dla ciała ofiary: mogło ono tam być schowane przez szereg godzin, a nawet dni. Służba kręciła się i nic nie wiedziała. Dopiero nocą zabójca wyniósł trupa i wrzucił do fosy, nie potrzebując nawet spuszczać mostu. Gdy ciało ulegnie zepsuciu w stojącej wodzie, w zbroi z XIV wieku pozostanie tylko szkielet. Nietrudno znaleźć taką rzecz w fosie starożytnego zamku. Nikt nie będzie robił tam poszukiwań, a gdyby nawet kto szukał, znalazłby więcej takich. Pewne spostrzeżenie utwierdziło mnie w tem przekonaniu. Było to wtedy, gdy irytował się pan, że szukam rzadkich roślin. Zobaczyłem wówczas ślady dwóch stóp, wciśniętych silnie w twardy grunt. Pomyślałem wtedy, że człowiek zostawiający takie ślady, musi być bardzo ciężki, albo musiał nieść coś bardzo ciężkiego. Pelen wdzięku skok mój przez fosę nie był również bez korzyści.

— Głowę mam pełną zamętu, ale zaczyna mi już coś świtać. Ale co ksiądz mówi o tym swoim skoku?

— Dziś na poczcie przekonałem się, że baronet powiedział prawdę, mówiąc, że poprzedniego dnia przyszedł za późno na pocztę. Ale było to nie tylko tego dnia, kiedyśmy przyjechali, ale nawet tej samej godziny. Nie rozumie pan co to znaczy? To znaczy, że go istotnie nie było w domu i przyszedł już wtedy, kiedyśmy na niego czekali. Dlatego czekaliśmy tak długo... Gdy dowiedziałem się o tem cała sprawa stanęła mi przed oczami, jak żywa.

— Ale co?

— Stary osiemdziesięcioletni mężczyzna może sobie chodzić, może chodzić nawet bardzo dużo, może całymi dniami waleśać się po łąkach — ale nie może skakać. Skok jego z pewnością byłby jeszcze mniej gracki niż mój. A więc jeżeli baronet wrócił do zamku w chwilę po nas, musiał wejść do zamku, jak i my weszliśmy, czyli przeskakując fosę, bo most nie chciał się spuścić. Przypuszczam nawet, że taka niesprawność tego antyku była premedytowana, żeby odwlec przybycie niezbyt pożądanego gościa, bo później jakoś zbyt prędko naprawiono go. Wyobraziwszy sobie starca z siwymi włosami, przeskakującego fosę zrozumiałem nagle, że to musi być młody człowiek, przebrany za starego... To już cała historia.

— Ksiądz więc uważa — mówił zwolna Granby — że ten miły młodzieniec zabił swego ojca, ukrył ciało jego w zbroi, potem wyrzucił do fosy, sam się przebrał i t.d. i t.d.

— Napewno tak było. Mógł pan zauważyć na portretach rodzinnych, jak silne było podobieństwo. Mówi pan o przebraniu... Ależ w pewnym sensie każde ubranie może być przebraniem. Stary człowiek przebiera się w perukę, młody człowiek zapuszcza sobie brodę. Ogoliwszy brodę, a włożywszy perukę, lekko podmalowując twarz, stał się zupełnie podobny do ojca. Nic dziwnego, że chętnie ofiarował panu auto na następny dzień, sam bowiem tegoż samego wieczoru pojechał koleją do swego zamku. Zjawił się naprzód u pana, popełnił zbrodnię, przebrał się za ojca i jest teraz gotów do prawnych negocjacji.

— Tak — szepnął Granby w zamyśleniu — do prawnych negocjacji. Ksiądz widocznie przypuszcza, że prawdziwy stary baronet inaczej prowadziłby te negocjacje?

— Powiedziałby panu wyraźnie, że kapitan nie otrzyma ani grosza. Młody za wszelką cenę nie mógł dopuścić do tego, żeby pan miał usłyszeć te słowa. Czy pan nie uważa, że pieniądze mogły być złożone do odebrania po śmierci w przewidywaniu, że zajdą wielkie trudności w odebraniu ich? Powinien pan jeszcze ocenić całą przebiegłość, z jaką

wykonał cały ten plan. Plan ten miał służyć paru celom na raz. Miał na karku tych Rosjan, którzy musieli go szantżować za jakieś lajdactwo. Zdaje się, że za zdradę popełnioną podczas wojny. Teraz im wymknął się i stąd zawiadamiał ich, żeby go szukali w Rydze. Najpiękniej zaś udało się teorja, kiedy uznał syna za godnego dziedzictwa, niegodnego zaś nazwy człowieka. Pozostaje mu tylko do rozwiązania jeszcze jedna trudność i ta go najwięcej kłopoce. W jaki sposób ma teraz umrzeć jako swój własny ojciec? To ciekawe?

— Wiem tylko, jak powinien umrzeć.

Ojciec Brown zamyślił się znowu i w zamyśleniu mówił zwolna:

— Jest jeszcze niezwykle ciekawa cecha jego charakteru. W jak zupełnie teoretyczny sposób umiał zapatrywać się na własny czyn. Sprawiało mu to niesłychane, chorobliwe zadowolenie, że mógł panu mówić o synu — czyli o sobie i piętnować go jako zbrodniarza, sam grając rolę ojca. Tkwi w tem zaiste djabelska ironja. Djabeł natchnął go tą myślą. Powiem coś, co będzie brzmiało jak paradoks. Czasem serce djabelskie doznaje wielkiej rozkoszy, mogąc powiedzieć prawdę. Mówi ją jednak wówczas tak, że każdego wprowadza w błąd. Dlatego tak mu podobało się to blażeństwo, gdy podając się za kogo innego — siebie odmalował na czarno. Z tej właśnie myśli śmiał się nagłos, siedząc na wystawie obrazów, co tak zastanowiło moją siostrzenicę.

— Siostrzenicę księdza? — porwał się z miejsca. — Czy to nie jej matka układa małżeństwo z Musgrave'em? Chodzi zapewne o majątek i stanowisko?

— Tak — odparł Ojciec Brown sucho. — Matka poprzedera małżeństwa z rozsądku.

IX.

WIELKI POKUTNIK.

Światło błyskawicy pobielilo szare drzewa, niby srebrnym ołówkiem obrysowując najmniejszy nawet listek lub rzeźbiąc go w srebrze. Tenże figiel błyskawicy, który wydobywał z cieniów nocy najdrobniejsze szczegóły, oświecił i elegancką matę, rozłożoną pod drzewem, jasną krętą drogę, a na niej biały powóz. Woddali jakieś ponure domostwo, które w szarym zmierzchu wieczoru przedstawiało bezładną masę murów, podobną do zwału ciemnych chmur, zostało teraz wyrzeźbione na tle nieba ze swemi groźnemi wieżycami, strzelnicami i smętnie wpatrzonemi w przestrzeń oknami. Dla osób zgromadzonych pod drzewem zamek ten był treścią przeszłości, minioną i zapomnianą, błyskawica zbudziła go do życia i przypomniała ludziom.

Blask przyodział w tę samą srebrzystą wytworność i ludzką postać, stojącą tak nieruchomo, jak jedna z wieżyc zamkowych.

Wysoki ten mężczyzna miał na sobie krótki, malowniczy płaszcz czy też pelerynę, zapiętą na srebrną klamrę, która zabłysła, jak gwiazda w świetle błyskawicy. Postać jego nieruchoma zdawała się z kruszcu odlana, a wrażenie tem było silniejsze, iż włosy jego miały tę gorejącą barwę, którą nazywamy złotem. Te włosy jasne nadawały mu wygląd

bardziej młodzieńczy, niż było w istocie. Piękne orle rysy pomarszczone były i zwiedle. Być może, że używanie szminek zniszczyło przedwcześnie to oblicze, był to bowiem najznakomitszy artysta dramatyczny Hugo Romaine. Błyskawica oblała srebrzystem światłem tę falę złota nad czołem, kamienną twarz i błyszczące ozdoby, przyodziewając go w swej fantazji niby w ciemną średniowieczną zbroję. W sekundę później piękna ta postać stała się znów czarną sylwetką, słabo rysującą się na zachmurzonym tle wieczornego nieba. Stał na małym pagórku, skąd dominował nad resztą towarzystwa, z którego jedni siedzieli na trawie, inni zaś skupili się pod drzewem przy wielkim koszu z zastawą stołową.

Nie straszyla go burza, jak posąg stał nieruchomo, orla twarz jego przypominała głowę rzymskiego cezara, a rzeźbione powieki nie przymknęły się nawet na sekundę, wówczas, gdy osoby zebrane u jego stóp, wykonywały jakieś mimowolne gesty i wydawały lekkie okrzyki przy każdej błyskawicy.

Jedyna w tem towarzystwie dama z pięknie utrzymanymi siwymi włosami, była z pochodzenia Amerykanką. Bezwiednie przy każdym błysku zamykała oczy i wydawała ostry okrzyk. Mąż jej, generał indyjski Outram, łysy z czarnymi wąsami i niemodnymi już bokobrodami, z tępych wyrazem twarzy, właściwym angielskim mieszkańcom Indyj, spoglądał bez przerwy w górę. Mallow, wysoki młodzieniec, bardzo nieśmiały, drgnąwszy przy oślepiającym świetle błyskawicy, upuścił szklankę i bardzo niezręcznie przeproszał towarzystwo. Trzecim mężczyzną o zuchwalej głowie z siwymi włosami zaczesanymi z czoła, był wydawca bardzo poczytnej gazety, Sir John Cockspur. Kłął bez żadnej ceremonji, a że świeżo przybył z Toronto, przekleństwa brzmiały nie w angielskim języku.

Uderzył piorun. Posąg stojący na wzgórzu ożywił się. Obejrzał się przez ramię i odezwał się odniechcenia:

— Około półtorej minuty między błyskawicą i piorunem, sądzę więc, że burza zbliża się ku nam. Drzewo nie

jest stosownym parasolem przeciw piorunom, trzeba więc będzie uciekać przed deszczem. Zdaje się, że będzie ulewa.

Młody człowiek spojrzał niespokojnie na siwą damę i spytał się:

— Czy znajdziemy jakie schronienie? Zdaje się, że tu jest jakiś dom?

— Jest dom niedaleko — odrzekł na to generał — ale nie będzie dla nas chyba gościnnym pomieszczeniem.

— To dziwne jednak — odezwała się jego żona — że spotkała nas burza właśnie w tem miejscu, gdzie niema żadnego innego domu, prócz tego.

Młody Mallow, bardzo wrażliwy, wyczuł w głosie lady Outram jakiś szczególny ton, na co wcale nie zwrócił uwagi przybywszy z Toronto.

— A co to jest właściwie? — zapytał. — Wygląda jak ruina.

— Miejscowość ta — odrzekł generał sucho — należy do markiza de Marne.

— Fiuu! słyszałem coś już o tym ptaszku! — zawołał Sir John Cockspur. — Znalazł się zeszłego roku na szpaltach *Komety*, jako „Tajemniczy Nieznajomy“.

— I ja też o nim coś słyszałem — szepnął Mallow. — Niesłychane historie opowiadają o nim. Mówią na przykład, że musi ukrywać się i nosić maskę, bo jest trędowaty. Inni opowiadali mi zupełnie poważnie, że ciąży jakaś klątwa na tym rodzie; że urodziło się tam dziecko z jakimś zniekształceniem, które muszą ukrywać w ciemnym pokoju.

— Markiz de Marne ma trzy głowy — wtrącił poważnym głosem Romaine. — Co trzysta lat jeden arystokrata ich rodu ozdabia swe drzewo genealogiczne trzema głowami. Nikt nie śmie zbliżyć się do przeklętego domu, jeno milcząca procesja kapeluszników wysłana z ogromnym zapasem kapeluszy. Lecz... — tu głos jego wezbrał głębokiem, ponurem brzmieniem, który wywołuje dreszcz wzruszenia w teatrze.... — lecz kapelusze te nie mają kształtu ludzkiej głowy...

Na czole Amerykanki ukazała się zmarszczka, a w oczach niechęć. Ten głos wywołujący dreszcz, poruszył ją także, wbrew jej woli.

— Nie lubię pańskich makabrycznych błazeństw — odezwała się — a w tym wypadku wołałabym, żeby pan z tego nie żartował.

— Rozkaz! — odparł aktor — ale czy i mnie, jak żołnierzowi, nie wolno wiedzieć — dlaczego?

— Dlatego, że nie jest to żaden Tajemniczy Nieznajomy. Znam go, a właściwie znałam go niegdyś, gdy był jeszcze attaché w Washingtonie, przed trzydziestu laty. Byliśmy wtedy oboje młodzi. Nie nosił żadnej maski, a jeżeli ją nosił, to nie przy mnie. Nie był trędowaty i nie jest nim, chociaż żyje w takim osamotnieniu. Ma tylko jedną głowę i jedno serce, ale serce złamane.

— Naturalnie! nieszczęśliwa miłość. — odezwał się Sir Cockspur. — To byłoby dobre do *Komety*!

— Zdaje się, że to ma być komplement dla nas przeznaczony — odparła zamyślona nieco generałowa, — bo pan uważa, że tylko kobieta złamać może męskie serce... Ale w tym wypadku inna to była miłość i inna boleść. Czy nigdy nie czytał pan „In Memoriam”? Czy nigdy nie słyszał pan o Dawidzie i Jonatanie? Tego nieszczęśliwego człowieka złamała śmierć brata. Był to właściwie brat stryjeczny, ale uważał go za rodzonego, a nawet za bliższego niż brata. James Mair, gdyż tak się nazywał za mojej pamięci, był starszy, ale wprost ubóstwiał Maurycego Maira. Co prawda należy przyznać, że Maurycy Mair był niepospolitym człowiekiem. James był też inteligentny i ujawnił nawet wielkie zdolności w politycznej karierze, ale Maurycy był niezwykle utalentowany we wszelkich kierunkach, a w grze scenicznej i muzyce talent jego zajaśniał całym blaskiem. James był bardzo przystojny, wysoki, smukły, zgrabny, chociaż teraz wyglądałby dziwnie, przypuszczam, z brodą rozdzieloną na dwie strony w kształcie gęstych bokobrodów. Maurycy był zaś gładko wygolony

i o ile mogłam sądzić z portretów, również bardzo przystojny, chociaż wówczas bardziej przypominał mi tenora niż gentlemana. James był tak pod jego urokiem, że nie potrafił o niczem innem mówić. Nie dawał mi spokoju, opowiadając ciągle o nadzwyczajnych zaletach swego brata, twierdząc, że każda kobieta musi koniecznie zakochać się w nim i t. p. rzeczy. Stałoby się to już niezdane, gdyby nie zakończyło się tak tragicznie. Życie prawie poświęcił temu ubóstwieniu i gdy bóstwo runęło pewnego dnia, rozbilo przy swym upadku i jego, jak porcelanową lalkę. Maurycy zaziębił się nad morzem i... było po wszystkim...

— A potem — pytał młody człowiek — James Mair zamknął się w swej samotni?

— Wyjechał naprzód zagranicę. Do Azji, na Kani-balskie wyspy i Bóg jeden wie, gdzie. Takie śmiertelne ciosy niejednakowo działają na ludzi. On pod ciężarem tego ciosu zmienił się zupełnie. Zupełnie wykreślił ze swego życia ukochanego przyjaciela. Nie znosił niczego, coby mogło mu jego przypominać. Każda drobnostka, portret, stary krawat nawet, wszystko, co budziło jakieś wspomnienie, było dla niego czemś strasznem. Nie znosił widoku pogrzebów. Musiał wyjechać. Dziesięć lat nie było go w kraju. Słyszałam, że przy końcu swego dobrowolnego wygnania odżył podobno trochę, ale gdy powrócił do domu, zaczęło się na nowo. Teraz jest to u niego jakaś melancholja na tle religijnem, a właściwie zwyczajne szaleństwo.

— Księża podobno na tem skorzystali — mruknął stary generał. — Wiem, że dał już tysiące na budowanie klasztorów, sam też żyje jak mnich, a raczej jak pustelnik. Czy oni sądzą, że to jest dobrym uczynkiem?

— Przekłete przesady — burknął Cockspur. — To koniecznie powinno być zdemaskowane! Taki człowiek mógłby być pożyteczny krajowi i światu, a te pijawki wysysają go do cna. Założę się, że dzięki swym dziwnym pojęciom nie pozwoliliby mu nawet ożenić się!

— Nigdy nie był żonaty — odrzekła pani Outram. — Był zaręczony w tych czasach, kiedy go znalazłam, ale małżeństwo rozchwiało się, bo i całe życie zmarnowało się. Historia Hamleta i Ofelji. Odsunął się od miłości, bo odsunął się od życia. Znałam jego narzeczoną, a nawet znam ją i teraz. Jest to Viola Grayson, córka starego admirała. Ona także nie wyszła za mąż.

— Nikczemnie! podle! — krzyknął Sir John, zrywając się. — To nie jest tragedia, to zbrodnia!... Uważam za swój obowiązek podać do wiadomości publicznej te bezsensowne przesady... Teraz w dwudziestym wieku!...

Sam był zdumiony własnym oburzeniem.

— Nie uważam, że mam prawo zabierać głos w tych sprawach — odezwał się po chwili milczenia stary generał, — ale zdaje mi się, że osoby duchowne, powinny lepiej przestudjować tekst z Pisma Św.: — „Niech umarli grzebią swych umarłych“.

— Niestety, ale właśnie tak jest — odrzekła z westchnieniem jego żona. — Jak w tej strasznej bajce, gdzie umarli grzebie umarłego, nie zaprzestając nigdy swej okropnej pracy.

— Burza przeszła bokiem — odezwał się Romaine z zagadkowym uśmiechem. — Nie macie państwo ochoty po tych rewelacjach złożyć wizyty w tym niegościnnym domu?

— Za nic na świecie nie pójdę już tam chyba znowu! — zawołała generałowa.

Mallow spojrzał na nią.

— Znowu? Więc pani już tam była? — zapytał.

— Tak, byłam tam raz — zawołała dość lekko, jakby nawet z pewną dumą. — Ale teraz nie mam zamiaru tam iść... Deszcz nie pada wprawdzie, ale siadajmy chyba już do powozu.

Ruszyli wszyscy, Mallow i generał na końcu.

— Nie chciałem, żeby ten plotkarz Cockspur słyszał — odezwał się generał cichym głosem, — ale ponieważ pan za-

pytał, więc chcę opowiedzieć, jak to było. Wszystko inne mogę, ale tego nie mogę przebaczyć markizowi. Przypuszczam, że to pod wpływem tych księży. Żona moja, która żyła z nim w wielkiej przyjaźni, gdy przebywał jeszcze w Ameryce, poszła kiedyś do niego, do tego zamku. Chodził właśnie po ogrodzie i istotnie wyglądał jak mnich, z twarzą ukrytą w czarnym kapturze, który naprawdę wyglądał jak maska. Posłała mu swój bilet i stanęła na ścieżce, na jego drodze. Przeszedł koło niej nie przemówiwszy jednego słowa, nie rzuciwszy spojrzenia, jakby była kamieniem przydrożnym. To nie był człowiek, to zupełnie automat. Słusznie żona nazwała go umarłym.

— Wszystko to jest bardzo dziwne — szepnął młody człowiek zamyślony. — Nie wygląda mi to jakoś na prawdopodobne...

Młody Mallow powróciwszy z nieudanej majówki, udał się na poszukiwanie przyjaciela. Nie znalazł żadnych mnichów, lecz znalazł jednego księdza, z którym chciał się podzielić wiadomościami zebranymi tego wieczoru. Wiedział, że chętnie Ojciec Brown usłyszy historię nieszczęśliwego markiza, nad którego głową wisiał jakiś los okrutny, jak ta chmura burzą nad jego zamkiem brzemienią.

Po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie Ojca Browna w domu jego przyjaciela, również katolika, który mieszkał z liczną rodziną.

Wpadłszy dość gwałtownie do pokoju, zastał Ojca Browna siedzącego na podłodze i z bardzo poważną miną przypinającego jakiś kwiecisty kapelusik lalki do głowy włochatego niedźwiedzia.

Mallow uczył, że jest tu zbyt cenny, zbyt jednak był przejęty zagadką życia markiza de Marne, by mógł oprzeć się chęci podzielenia się temi wiadomościami. Odczuwał podświadomie, że powinien odejść, opanował się jednak i jednym tchem opowiedział wszystko, czego się dowiedział od generałowej. Nie zapomniał o komentarzach generała

i wydawcy gazety. Ciekawość księdza zaostrzył wspomniawszy o wydawcy.

Ojciec Brown ani wiedział, ani dbał o to, że jego poza była nad wyraz komiczna. Siedział sobie na podłodze, a wielką głową i krótkimi nóżkami także przypominał dziecko, bawiące się zabawkami. Tylko w jego szarych, wielkich oczach był wyraz, spotykany nieraz u ludzi zamieszczanych na kartach historii wszystkich dziewiętnastu stuleci, lecz tamci nie siadywali na podłodze, tylko w przydym lub na ławach kapituły, czy na tronach biskupich i kardynalskich. Mieli ten sam wyraz skupienia, uwagi przenikliwej, pokory i poddania się obowiązkom zbyt ciężkim na barki ludzkie. Podobny wyraz zadumy głębokiej i wielkiej troski dojrzeć można w oczach żeglarzy i u tych, którzy kierują poprzez liczne burze nawą Św. Piotra.

— Bardzo dobrze, że mi pan to powiedział — rzekł Ojciec Brown. — Jestem bardzo wdzięczny, bo może będziemy mogli coś uradzić. Gdyby tam był tylko pan i generał, byłaby to tylko prywatna sprawa, ale jeżeli Sir John Cockspur wyskoczy z jakimś artykułem w swej gazecie, to przecie pan wie... on jest z Toronto... nie wytrzymamy z nim...

— A co ksiądz mówi o tem? — zapytał Mallow niepokojnie.

— Przedewszystkiem powiem, że to wygląda nie jak życie. Przypuśćmy narazie, że jesteśmy wampirami, niweczącymi ludzkie szczęście. Przypuśćmy, że i ja jestem takim wampirem... — Podrapał się po nosie niedźwiedziem, trzymanym w ręku, spostrzegł całą niestosowność tego postępuku, odłożył więc pluszowe zwierzątko nabok. — Przypuśćmy, że niweczymy wszelkie społeczne i rodzinne węzły... W jaki sposób moglibyśmy zrywać jego rodzinne węzły, kiedy on już jakoby sam się od nich zwolnił? Zdaje mi się, że to jest trochę nieuczciwie zarzucać nam takie uczucia i takie myśli... Nie rozumiem nawet, dlaczego fanatyk religijny miałby zostać jakimś osobliwym manjakiem, albo dlacze-

goby religja miała natchnąć taką manją. Religja mogła tylko obudzić w nim pewną nadzieję...

Po chwili dodał:

— Chciałbym pomówić z generałem.

— Wiem to z opowiadania jego żony tylko — odrzekł Mallow.

— Tak, ale ja bardziej interesuję się tem, czego ona panu nie powiedziała, niż tem, co ona panu powiedziała.

— Książd sądzi, że on wie więcej, niż ona powiedziała?

— Napewno. Powiedział pan, że wszystko inne może, lecz nie może generał przebaczyć markizowi braku uprzejmości dla jego żony. Cóż jeszcze ma do przebaczenia markizowi?

Wstał Ojciec Brown z podłogi i strząsnął swe niezdarne ubranie. Stał, patrząc na młodzieńca przenikliwie, jakimś zagadkowym wzrokiem, wreszcie wziął z kąta pękaty parasol i postrzępiony kapelusz i wyszedł ciężkim krokiem na ulicę.

Nachodził się wiele, zanim doszedł do ładnego, w starym stylu, domu na West-End, gdzie zapytał, czy mógłby zobaczyć się z generałem Outramem. Po krótkiej wymianie zdań, wprowadzono go do gabinetu, w którym mniej było książek, zato więcej map i globusów. Siedział tam łysy o czarnym zaroście indyjski generał, paląc cienkie, czarne cygaro i wpinając szpilki w mapę morską.

— Bardzo przepraszam za najście — odezwał się książd — tem bardziej, że najście moje, przeszkadza panu w pracy. Chciałem pomówić z panem w prywatnej sprawie, licząc jednak, że pozostanie to między nami, bo na nieszczęście są ludzie, którzy każdą sprawę czynią publiczną. Zdaje się, że pan, panie generale zna Sir Johna Cockspura?

Gęste czarne wąsy i wielkie bokobrody mogły służyć generałowi za rodzaj maski na dolną część twarzy, trudno

więc orzec, czy uśmiechnął się na słowa księdza, ale w ciemnych oczach zabłysła jakaś iskierka.

— Zdaje się, że każdy go zna — odpowiedział. — Ja osobiście znam go bardzo mało.

— Tak, ale wiadomo, że cobądź on wie, to i wszyscy wiedzą — odparł Ojciec Brown z uśmiechem. — Dowiedziałem się właśnie od pana Mallowa, którego zdaje się, pan zna, że Sir John ma zamiar drukować jakieś zajadłe artykuły antyklerykalne na tle, jak on nazywa, tragedji markiza de Marne. — „Księża przyczyną szaleństwa markiza de Marne“ — czy coś podobnego.

— Dziwię się, że w tej sprawie pan zgłosił się do mnie — odparł generał. — Jestem gorliwym protestantem.

— Niezmiernie cenię gorliwych protestantów. Przyszedłem do pana, mając pewność, że dowiem się prawdy. Mam nadzieję, że to chyba nie jest grzechem nie mieć zaufania do Sir Johna Cockspura.

Ciemne oczy zabłysły znowu, lecz generał nic nie odpowiedział.

— Generale, wyobraź sobie, że Sir John lub ktoś jemu podobny rozgłasza po całym świecie jakieś kłamliwe wiadomości przeciw pańskiemu krajowi i pańskiemu sztandarowi. Wyobraź sobie, że opisuje, jak pański pułk uciekał podczas bitwy lub że pański sztab był na nieprzyjacielskim żołdzie. Czyżby pan zgodził się na rozpowszechnianie takich kłamstw i nie pozwolił ich odeprzeć? Czyżby pan nie poszedł po tropie prawdy za wszelką cenę? Otóż i ja mam pułk i należę do armji. Armję moją oszkalowano, wymyśliwszy jakąś nieprawdopodobną bajkę. Nie znam istotnej prawdy. Czy może mię pan potępić, że staram się dociec jej?

Generał milczał, lecz ksiądz ciągnął dalej:

— Słyszałem od Mallowa historję życia markiza de Marne. Ukrył się podobno w swoim zamku z rozpaczą

w sercu po śmierci człowieka, który był dla niego bardziej ukochany niż brat rodzony. Jestem pewien, że tam oprócz tego było coś jeszcze. Przyszedłem o to pana spytać.

— Nie — odparł krótko generał. — Nie mogę panu nic więcej powiedzieć.

— Generale — zaczął znów Ojciec Brown, roześmiewszy się szczerze, — nazwie mnie pan zapewne Jezuitą, jeżeli teraz postawię kwestję odmiennie...

Generał uśmiechnął się kwaśno i mruknął niechętnie:

— Nie nazwę. Co mi pan ma do powiedzenia?

— Tyle tylko, że całą tę historję ja panu opowiem.

Stary utkwil swe ciemne oczy w księdzu, nie było jednak w nich teraz żadnej isierki. Ksiądz więc zaczął:

— Pan tę historję opowiedziałby niewątpliwie o wiele sympatyczniej, będąc jej bliższym świadkiem. Jestem jednak do tego zmuszony. Jestem zupełnie pewny, że w postępowaniu markiza jest inna przyczyna niż utrata przyjaciela. Wątpię również, żeby tam księza mieli co do roboty, nie przypuszczam także, żeby był człowiekiem wierzącym i szukającym spokoju sumienia w dziełach miłosierdzia, ale jestem pewien, że prócz oplakiwania straty, jest tam coś więcej. Ponieważ pan sobie tego życzy, opowiem, co mi dało do myślenia w tej sprawie.

Przedewszystkiem wiadomo, że James Mair był zaręczony, miał się żenić, co nie doszło do skutku po śmierci Maurycego Mair. Czy to możliwe, żeby mężczyzna z poczuciem honoru zrywał małżeństwo tylko dlatego, że jest zrozpaczony po śmierci dalekiego kuzyna. Przecież mógł ludzić się, że małżeństwo zdoła go pocieszyć, a w każdym razie i przyzwoitość wymagała, aby dotrzymał słowa.

Generał przygryzał czarnego wąsa, ciemne oczy stały się czujne, nawet niespokojne, ale nic nie odpowiedział.

— Następnie James Mair opowiadał stale swej przyjaciółce o niezwykłych zaletach swego brata i twierdził, że każda kobieta powinna się w nim zakochać. Nie wiem, czy

nie przyszło tej pani na myśl, że mogłoby to mieć inne znaczenie...

Stary Outram powstał z miejsca i zaczął chodzić po pokoju.

— Do diabła z tem wszystkim, — mruknął, nie okazując jednak gniewu.

— Po trzecie — ciągnął dalej Ojciec Brown — dziwny sposób obmyślił sobie James Mairna wyrażanie swej boleści, niszcząc wszystko, cokolwiek mogłoby przypominać zmarłego — pamiątki, portrety, drobiazgi... Bywa i tak czasami, przyznaję, przy wielkiej wrażliwości. Ale bywa także i w innych okolicznościach.

— Co u diabła. Długo jeszcze pan tak może?

— Czwarty i piąty punkt daje nam ostateczne wnioski — mówił ksiądz spokojnie — a szczególnie, gdy je pan połączy razem. A więc zdaje się, że Maurycy Mair nie miał uroczystego pogrzebu, nie tylko dlatego, że był młodszym dziedzicem wielkiego rodu. Musiał nawet być chowany pośpiesznie, może nawet ukradkiem. A następnie piąty punkt mówi nam, że James Mair zniknął czem prędzej z kraju, można powiedzieć, że uciekł na koniec świata. A więc kiedyście chcieli oczernić moją wiarę, aby historia tak czystej i doskonałej miłości braterskiej mogła zajaśnieć pięknym blaskiem...

— Dość — krzyknął Outram, jakby kto wystrzelil z pistoletu. — Muszę dokończyć sam, bo pan będzie sobie coś gorszego wyobrażał. Na początek należy wyjaśnić, że było to zupełnie prawidłowe starcie.

— Ach. — Ojciec Brown wydał głębokie westchnienie.

— Był to pojedynek. Może nawet ostatni w Anglii pojedynek. I tak dawno temu...

— To lepsze — szepnął Ojciec Brown. — Chwała Bogu, to o wiele lepsze...

— Lepsze niż te straszne rzeczy, jakie sobie pan wyobrażałeś — odrzekł stary cierpko. — Możesz pan sobie szydzić z czystego i doskonałego afektu, lecz było to rze-

czywistą prawdą. James Mair w istocie ubóstwiał swego kuzyna, z którym razem wychowywał się niby z młodszym bratem. Często zdarza się, że starsze rodzeństwo kocha tak namiętnie młodsze, a tem bardziej, gdy braciszek jest czemś w rodzaju fenomenu. A James miał tego rodzaju charakter, że nawet nienawiść jego była niesamolubna, a nawet zdaje się, że gdy ta wielka miłość przeobraziła się w niechęć, było to uczucie bardziej zewnętrzne, czego nawet nie był świadom... Otóż Maurycy Mair miał zupełnie odmienny charakter. Bardziej był przyjacielski i towarzyski, ale też bardziej zapatrzony w siebie. Wyróżniał się we wszystkich sportach, posiadał talenty artystyczne i towarzyskie. Był jednym słowem wszędzie na pierwszym miejscu i każdą wygraną życiową przyjmował niezmiernie sympatycznie. Ale jeżeli zdarzyło się, że czasem musiał przegrać, wtedy nie był tak bardzo sympatyczny. Był trochę zazdrosny. Nie chcę panu opowiadać ze wszystkimi szczegółami, jaką okazał zazdrość, gdy James zaręczył się. Próżność jego i tam się wmieszała. Na jednym punkcie James brał górę nad Maurycym. Było to strzelanie z pistoletu i tem zakończyła się ta tragedia.

— Zaczęła się tragedia—poprawił ksiądz.—Tragedja pozostałego przy życiu. Nie trzeba mu żadnych wampirów zakonnych, by uczuć się nieszczęśliwym.

— Mojem zdaniem, czuje się bardziej nieszczęśliwym, niż właściwie powinien. Powtarzam, była to okropna tragedia, lecz spotkanie ich na placu było zupełnie prawidłowe. A Jim miał przewagę.

— Skąd pan wie o tem?

— Sam widziałem. Byłem sekundantem Jamesa i widziałem jak Maurycy padł zabity przed moimi oczami.

— Może pan zechce mi opowiedzieć więcej szczegółów. Kto był sekundantem Maurycego?

— O, ten miał za świadka wielką znakomitość. Był nim Hugo Romaine, sławny artysta dramatyczny, słyszał pan o nim? Maurycy na punkcie gry aktorskiej był zupełnie zwarjowany, zajął się Romaine'm, który już wówczas

zaczynał zwracać uwagę swym talentem, wspierał go materjalnie, a wzamian za to brał od niego lekcje gry scenicznej. Mam jednak wrażenie, że Romaine stał się zależnym od swego bogatego przyjaciela, jakkolwiek teraz jest bogatszy od niejednego arystokraty. Zdaje się, że niewiele wiedział o przyczynie pojedynku, mimo, że był sekundantem Maurycego. Bili się na sposób angielski, mając po jednym sekundancie. Chciałem wziąć z sobą chirurga, ale Maurycy odmówił z gniewem mówiąc, że nie chce nikogo nieznanego, a w najgorszym razie będziemy mogli zaradzić. — O jakieś pół mili stąd — mówił — jest na wsi doktor. Znam go, ma doskonałego konia i w razie czego, można go będzie sprowadzić bardzo szybko. Ale chyba nie zajdzie potrzeba. — Tak, ale wiedzieliśmy, że ze strony Maurycego jest to wielkie ryzyko, gdyż nie był mistrzem w strzelaniu, ale ponieważ sam odmówił pomocy lekarskiej, nikt nie nalegał. Pojedynek odbył się na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Widok na to wybrzeże zakrywał wał diun, porośłych pasmami trawy. Prawdopodobnie był to jakiś plac zabaw, chociaż w tym czasie, żaden jeszcze Anglik nie słyszał o golfie. W tych pagórkach piaszczystych była głęboka, kręta rozpadlina, którą musieliśmy przejść, żeby dostać się na wybrzeże. Mam jeszcze ten widok przed oczami. Pas martwej żółcizny, a za tem węższa smuga mocnej czerwieni, tak mocnej, że już nasuwała przeczucie krwawego czynu. Pojedynek odbył się z piorunującą szybkością. Jednocześnie z hukiem wystrzału Maurycy padł twarzą na piasek, jak kłoda. Co najdziwniejsze, że w chwili gdy padł martwy, całe swe współczucie miałem nie dla niego, lecz dla człowieka, który go zabił. I do dzisiejszego dnia to czuję... Pojąłem, że cała ta nieprawdopodobna wprost miłość do przyjaciela odżyje nanowem. I dlatego to inni mogą mu przebaczyć, lecz on sobie nigdy, póki żyje, nie przebaczy. I w mej pamięci pozostał żywy obraz, którego nigdy nie zapomnę, nie samej katastrofy, to jest strzału, dymu, padającej postaci, bo chwila

ta była zbudzeniem ze snu. Widzę i zawsze widzieć będę Jima nieszczęśliwego, gdy biegnie ku leżącemu przyjacielowi, — przed chwilą jeszcze wrogowi. Ciemna broda stała się kruczo czarną przy śmiertelnej bladości twarzy. Widzę jego piękne rysy odbite na tle morza. Widzę jego szalone ruchy, jakimi wysyłał mnie po doktora. Biegając upuścił pistolet. W jednej ręce trzymał rękawiczkę i te luźno zwieszające się i chwiejące palce zdawały się brać również udział w tej strasznej scenie, jakby dając znaki i przyzywając pomocy. Oto obraz, który rzeczywiście pozostał w mej pamięci. Nic więcej niema na tym obrazie, prócz smugi piasku i smugi morza, ciała leżącego już w kamiennym spokoju i nieruchomości, prawie martwej postaci drugiego sekundanta.

— Jakto? Romaine stał nieruchomo? Przypuszczałbym raczej, że pobiegł także czem prędzej do ciała.

— Może i pobiegł wtedy, gdy poszedłem po doktora. Na tym obrazie utrwalonym w mej pamięci, mam go takim, jak mówiłem. Następnej chwili pędem przebiegłem diuny i straciłem wszystkich z oczu. Biedny Maurycy zrobił dobry wybór doktora, bo chociaż przybył za późno, lecz zato bardzo śpiesznie. Był to niezwykle człowiek, rudy, obraźliwy: lecz wyjątkowo szybko orjentujący się i bardzo energiczny. Widziałem go przez mgnienie oka, jak śpiesznie dosiadł konia i popędził na miejsce wypadku, pozostawiając mnie za sobą. Ale w tej nawet tak krótkiej chwili byłem zdolny ocenić jego sprawność żalując, że nie był wezwany przed pojedyńkiem, bo mam jakieś przekonanie, że zdołałby zapobiec nieszczęściu. Tymczasem śpiesznie oczyścił całe pole pojedynku i zanim wróciłem na wybrzeże, pieszo oczywiście, było już wszystko skończone. Ciało tymczasem zostało pochowane w piaszczystym wzgórzu i nieszczęśliwy zabójca był przekonany, że pozostaje mu tylko ucieczka — ucieczka od życia. Z wybrzeża poszedł prosto do portu i wyjechał z kraju. Resztę pan już wie. Jim podróżował przez długie lata, a gdy cała ta sprawa została zapomniana, wrócił do tego ponurego zamczyska, automatycznie dziedzicząc tytuł.

Nie widziałem go nigdy od tego dnia, który wiem, że i w jego zamroczonym umyśle zapisał się krwawymi zgłoskami.

— Ale sędzę, że któreś z państwa starało się go zobaczyć?

— Żona moja nie przestała nigdy robić starań. Nie chciała uznać, żeby tego rodzaju zabójstwo mogło wykreślić człowieka z życia i przyznaję, że jestem tego samego zdania. Osiemdziesiąt lat temu było to uważane za zupełnie proste rozwiązanie sporu i w istocie powinno być uważane jako przypadkowe zabójstwo, lecz nie za morderstwo. Moja żona jest przyjaciółką tej pani, która była przyczyną pojedynku i jest zdania, że gdyby Jim zgodził się zobaczyć z Violą Grayson i otrzymał zapewnienie, że dawne nieporozumienia zostały już pogrzebane, mogłoby mu to powrócić przytomność umysłu. Zdaje się, że nawet żona moja zamierza jutro zwołać jakąś naradę w tym celu. Jest bardzo energiczna.

Ojciec Brown bawił się tymczasem szpilkami na mapie generała i wyglądał jakiś roztargniony. Umysł jego widział każdą sprawę w obrazach. Obraz więc odmalowany przez prozaicznego starego żołnierza w mistycznym umyśle księdza nabrał barw silniejszych i bardziej złowrogich.

Widział czerwień bezludnego wybrzeża, leżące bezwładnie ciało, zabójcę, pochylonego w biegu, wymachującego rękawiczką, w szalonej rozpacz. Widział lecz wyobraźnia ciągle wracała do trzeciej osoby, do której nie umiał zastosować odpowiedniego środka. Tajemniczy, nie ruchomy sekundant zabitego, stojący jak posąg na tle błękitnego morza, rysował się wyraźnie w wyobraźni księdza. Może to było nic nie znaczącym szczegółem, lecz dla niego ta sztywna figura miała kształt znaku zapytania.

Dlaczego Romaine nie podbiegł do przyjaciela? Przecież to jest sekundanta obowiązkiem, samo poczucie ludzkości wymagało tego, pominąwszy już przyjaźń. Gdyby nawet była jakaś głębsza, utajona przyczyna, powinienby to

uczynić, chociażby dla oczu ludzkich. Przecież powinien był to uczynić, zanim tamten sekundant zniknął za diunami...

— Czy on zawsze przybiera takie pozy? — zapytał Ojciec Brown generała.

— Dziwne mi pan zadaje pytanie — odrzekł Outram, rzucając gniewne spojrzenie. — Nie, ma bardzo szybkie ruchy, w chwilach w których poruszać się musi. Ale to dziwne, bo dzisiejszego wieczoru widziałem go zupełnie w tej samej pozie, stojącego nieruchomie na wzgórzu podczas burzy. Stał okryty peleryną, oparłszy rękę na biodrze, zupełnie tak samo, jak wówczas na tem krwawem wybrzeżu. Błyskawice oślepiały nas, on jednak nawet nie mrugnął. Zrobiło się już ciemno, a on stał bez przerwy.

— Czy on zawsze przybiera takie pozy? — zapytał Ojciec Brown. — Przypuszczam, że czasem porusza się?

— Odwrócił się szybkim ruchem do nas, gdy uderzył piorun. Zdaje się, że na to czekał, gdyż powiedział nam, ile upłynęło czasu od błyskawicy do piorunu... Ale co się stało?

— Uklulem się jedną z pańskich szpilek... Przypuszczam, że nie zepsulem jej — odrzekł ksiądz spokojnie, ale oczy nagle zamknął i usta zacisnął.

— Co panu jest? — zapytał Outram, wpatrując się w niego. — Czy pan chory?

— Nie. Tylko nie posiadam takiego stoicyzmu, jak pan Romaine. Muszę oczy przymknąć, gdy mię światło oślepi.

Podniósł się, biorąc kapelusz i parasol, ale doszedłszy do drzwi, przypomniał sobie coś i wrócił. Stał tuż przed samym generałem i uczynił ruch, jakby chciał go ująć za klapy kamizelki.

— Generale — szepnął — nie pozwól pan na miłość Boską żonie ani żadnej innej kobiecie widzieć się z markizem. Nie budźcie licha, bo rozpętacie całe piekło.

Pozostawił zdumionego generała na środku pokoju.

Większe jeszcze zdumienie oczekiwało żonę generała,

która uknuła mały spisek z dawnymi przyjaciółmi markiza, mający na celu zdobycie szturmem zamku. Przedewszystkiem zdziwiło ją niestawienie się na posiedzenie jednego z uczestników tragedji. Gdy wszyscy zebrali się w małym hoteliku obok zamku, przyszedł spóźniony telegram od jednego z prawników, że sławny artysta był zmuszony nagle wyjechać z kraju. Zdziwiła się po raz drugi, gdy na wysłany do markiza bilecik z prośbą o pilną rozmowę, z ciemnej bramy zamkowej wyszła jakaś postać, aby przyjąć deputację w imieniu szlachetnego pana tego zamczyska. Osoba ta niebardzo pasowała do posepnych alej i feudalnych prawie ceremonij. Nie był to kucharz, ani nawet pełen godności kamerdyner czy też wysoki i postawny lokaj. Osobą, która wyszła z ciemnego wnętrza bramy, był niziutki, w wyszarzale ubraniu Ojciec Brown.

— Radzę państwu zostawić go w spokoju — mówił jak zwykle bezceremonjalnie. — Sam wie, co robi, a obcym może tylko sprawić przykrość.

Lady Outram, której towarzyszyła wysoka, ciemno ubrana dama, jeszcze bardzo przystojna, prawdopodobnie panna Grayson we własnej osobie, spojrzała na księdza z chłodną wzdargą.

— Dziwi mię bardzo, że wtrąca się pan nie do swoich rzeczy. Przyszliśmy w ściśle osobistej sprawie.

— Właśnie w osobistych sprawach ksiądz ma tu najwięcej do czynienia — burknął Sir John Cockspur. — Czyż pani nie wie, że gnieźdzą się oni pod ziemią, jak szczury za lamperją i ryją sobie drogę do każdego prywatnego mieszkania? Czyż pani nie widzi, że biedny markiz jest zupełnie w ich mocy?

Sir John był nie w humorze, gdyż arystokratyczne jego przyjaciółki wymogły na nim przyrzeczenie, że nic nie opublikuje, a wzamian za to pozwolą mu zajrzeć osobiście do tajemniczego zamku. Nie przyszło mu nawet na myśl zastanowić się, czy w tym wypadku sam nie był owym szczurem za lamperją.

— O, co do tego, to państwo się mylą — odrzekł Ojciec Brown zniecierpliwiony. — Rozmawiałem już o tem z markizem i wiem, że nigdy żaden ksiądz nie miał do niego wstępu. Przesadzono jego klerykałne upodobania. Powtarzam, że on wie co robi i błagam państwa, zostawcie go w spokoju.

— Uważa pan, że należy pozwolić mu umrzeć za życia w tych rozmyślaniach, w tem szaleństwie, które go do reszty pochłonie? — woła lady Outram drżącym nieco głosem. — I to tylko dlatego, że przeszło ćwierć wieku temu w pojedynku strzał jego miał śmiertelny skutek! I to pan nazywa miłosierdziem chrześcijańskim?

— Tak — odparł ksiądz głuchym głosem — nazywam to chrześcijańskim miłosierdziem.

— Zawsze to chrześcijańskie miłosierdzie wylezie z tych księży — wołał Sir John z goryczą. — Tylko w ten sposób pojawia się u nich idea przebaczenia biednemu człowiekowi za chwilę szaleństwa. Żywcem go замуrować i głodzić na śmierć postami i męczyć pokutami i obrazami piekielnego ognia. I to dlatego, że kula nieszczęśliwie zaślądziła w ciało ludzkie...

— Ojciec Brownie — odezwał się teraz generał Outram — czy istotnie ksiądz uważa, że on na to zasługuje? Czyż jest to chrześcijańska zasada?

— Przecież zasady chrześcijańskie nakazują wszystko rozumieć i wszystko przebaczać... — broniła swej sprawy generałowa. — Miłość także pamięta, ale — przebacza.

— Ojciec Brownie, — zawołał żywo Mallot — zawsze zgadzałem się ze zdaniem księdza, ale niech mię djabli porwą, jeżeli mogę co z tego zrozumieć. Nieszczęśliwy strzał w pojedynku, odpokutowany już chyba zupełnie, nie jest przecie takim zgorzeniem...

— Zgodzę się z tem — odrzekł Ojciec Brown smutnie. — Tylko, że ja to uważam za coś poważniejszego niż za zgorzenie.

— Bóg zmiękczy pańskie twarde serce — odezwała się

po raz pierwszy nieznajoma dama. — Przyszłam przecie rozmówić się z mym dawnym przyjacielem.

Jak duch zbudzony jej głosem, na szczycie schodów ukazała się ciemna postać mężczyzny.

Na sobie miał czarny ubiór, a przy tej czerni zbieleły włosy i blada śmiertelnie twarz robiły wrażenie fragmentu marmurowego posągu.

Viola Grayson zaczęła iść zwolna ku niemu po schodach. General Outram targnął czarnego węża i szepnął:

— Chyba nie odwróci się od niej, jak od nieznajomej, jak to zrobił mojej żonie.

Ojciec Brown uzbroidł się już w rezygnację, usłyszawszy jednak te słowa, spojrzał z uwagą na generała.

— Biedy markiz jest dość przytomny — powiedział. — Najlepiej byłoby zostawić go w spokoju. A z pańską żoną nie mógł witać się jak ze znajomą.

— Jakto?

— Bo jej nigdy nie znał.

Tymczasem Viola Grayson stanęła na ostatnim stopniu i znalazła się przed markizem. Usta jego poruszyły się, ale nie zdążył przemówić, gdy rozległ się straszny krzyk i żalosem echem odbił się wśród pustych ścian. Nagły, bolesny krzyk, w którym brzmiało jedno tylko słowo, słyszane przez wszystkich:

— Maurycy!

— Co to znaczy? — zawołała lady Outram i pobiegła na schody, bo tamta zachwiała się i byłaby spadła z całego przesła. Ale generałowa spojrzawszy w twarz mężczyzny, zaczęła zbiegać ze schodów, zgarbiona i cała drżąca.

— Boże!... Boże!... to nie jest wcale Jim... to Maurycy — szeptała.

— Sądzę, że lepiej byłoby, gdyby obie panie stąd odeszły — rzekł poważnie Ojciec Brown.

Odwrócili się, gdyż ze szczytu schodów rozległ się jak z otwartego grobu głos. Był chrapliwy i nienaturalny. Głos taki mają ludzie, którzy długo na bezludnych mieszkali wyspach, ptactwo tylko za całe towarzystwo mając.

— Dość tego — odezwał się. — Ojczy Brownie! Zanim odejdą pańscy znajomi, upoważniam księdza do wyjawienia im całej prawdy. Cokolwiekby nastąpi, nie będę tego dłużej ukrywał.

— Tak być powinno — odrzekł ksiądz — i to będzie panu policzone.

— Tak — mówił później Ojciec Brown do zaciekawionego towarzystwa — upoważnił mię do wyjawienia całej prawdy, ale nie opowiem jej tak, jak usłyszałem od niego, tylko jak sam doszedłem do tego. Przedewszystkiem dowiedziałem się, że cała ta bajka o mających na niego wpływ mnichach nie ma żadnego sensu. Może między nami znaleźliby się ludzie, którzyby starali się nakłonić go do wstąpienia do klasztoru, ale nie radziliby zamknąć się w zamku. Żaden z nas nie nakłaniałby do przywdziania stroju mnicha, dopóki nie był mnichem. Przyszło mi jednak na myśl, że on może sam z własnej woli chciał nosić kaptur zakonny, kryjący twarz jak maska. Słyszałem o nim jako o pokutniku, a nawet jako zabójcy, ale miałem odrazu mgliste podejrzenie, że ukrywa się tam nie coś, tylko ktoś, nie zbrodnia tylko człowiek. Z barwnego opowiadania pana generała o pojedynku, została mi w pamięci głównie postać pana Romaine'a jako tło. Generał odchodząc pozostawił na piasku zabitego człowieka, którego przyjaciel stał jak słup nieruchomo. Słyszałem również o pewnem przyzwyczajeniu wielkiego artysty, który zwykle stał tak niewzruszony, gdy na coś czekał, jak czekał wtedy, gdy po błyskawicy uderzył piorun. To przyzwyczajenie zdradziło go. Hugo Romaine też czekał na coś.

— Ależ już było po wszystkim — wtrącił generał. — Na cóż miał jeszcze czekać?

— Cekał na pojedynek.

— Ależ mówię panu, że byłem obecny podczas pojedynku — zawolał generał.

— A ja mówię panu, że pan nie widział pojedynku.

— Szaleństwo! Czy ksiądz sądzi, że byłem ślepy?

— Oślepieno pana i dlatego nic pan nie widział. Jest pan dobrym człowiekiem i Bóg odwrócił twarz pańską od takiego widoku. Bóg postawił ścianę piasku i milczenia między panem a tem, co się stało wtedy, gdy na czerwonym wybrzeżu zjawily się duchy Kaina i Judasza.

— Prędeż! Co się tam wtedy stało? — dyszała ciężko generałowa.

— Opowiadam tak, jak doszedłem do tego — odrzekł ksiądz. — Dowiedziałem się że Romaine uczył Maurycego Maira wszystkich arkanów sztuki aktorskiej. Miałem kiedyś przyjaciela, który miał występować. Pokazywał mi, jak w pierwszym tygodniu nauczania przyswoił sobie sztukę padania, zupełnie napłask, bez zachwiania się. Padał jak kamień.

— Boże, zlituj się nad nami! — zawołał generał i ścisnął mocno poręczę fotela.

— Amen — odrzekł Ojciec Brown. — Opowiadał mi pan, jak to poszło z piorunującą szybkością. Naturalnie, gdyż Maurycy padł, zanim kula doleciała. A jego nikczemny przyjaciel i nauczyciel stał nieruchomo, oczekując.

— I my czekamy — przerwał Cockspur — i nie możemy się doczekać.

— James Mair już dręczony wyrzutami sumienia, pobiegł szybko do leżącego przyjaciela i nachylił się nad nim, chcąc go podnieść. Pistolet swój odrzucił, jako rzecz nieczystą, lecz w ręce Maurycego był pistolet i niewystrzelony. Gdy starszy pochylił się, młodszy oparł się na lewej ręce i wystrzelił prosto w pierś Jima. Wiedział, że dobrze nie strzelał, ale niewielka to sztuka trafić w serce z takiej odległości.

Sluchacze zerwali się z miejsc i wpatrzyli się w księdza z pobladłemi twarzami.

— Czy ksiądz jest tego pewny? — zapytał Sir John zmienionym głosem.

— Jestem tego pewny — odrzekł Ojciec Brown. — A teraz polecam Maurycego Mair, obecnego markiza de Marne, chrześcijańskiemu miłosierdziu państwa. Mówiliście

mi państwo coś o chrześcijańskim miłosierdziu i zdawało mi się, że chcieliście mi dać do zrozumienia, jak obszernie należy je pojmować. Więc jakże to szczęśliwie dla takiego, jak ten oto grzesznika, że ta cnota jest wam nieobca i jesteście państwo gotowi zastosować ją do całego ludzkiego rodzaju.

— A niech go djabli porwą! — wybuchnął generał. — Jeżeli ksiądz sądzi, że gotów jestem pojednać się z takim podłym nędznikiem, to powiem mu, że nie wyrzekłbym ani jednego słowa, żeby go zbawić od piekła. Jestem gotów wybaczyć pojedynek, ale takim zdrazieckim zbrodniarzom...

— Powinien być zlinczowany — wołał z podnieceniem Cockspur. — Powinien być żywcem spalony, jak muryz w Stanach... Gdyby tu zastosowano takie palenie...

— Brzydziłbym się go nawet dotknąć — przerwał Mallow.

— Tu już jest granica ludzkiego miłosierdzia — oburzała się lady Outram.

— Oto właśnie — odezwał się Ojciec Brown zimno — wielka różnica między ludzkim a chrześcijańskim miłosierdziem. Musicie mi państwo przebaczyć, że nie ukończyłem się przed wzdargą państwa wobec zarzucanego mi braku miłosierdzia i przed cytata, że należy przebaczać każdemu grzesznikowi. Mnie zdaje się właśnie, że państwo przebaczacie tylko te grzechy, które w waszym pojęciu nie są grzechami. Przebaczacie zbrodniarzom tylko takie zbrodnie, które nie są uważane za zbrodnie, lecz za postęпки uświęcone zwyczajem towarzyskim. Więc tolerujecie pojedynki i tolerujecie rozwody. Przebaczacie, bo nie macie co przebaczać.

— Czy ksiądz sądzi, że jesteśmy zdolni przebaczyć taki nieczyny postępek? — zawołał Mallow.

— Nie — odrzekł ksiądz — ale *my* jesteśmy do tego zdolni. — Powstał nagle z miejsca i spojrzał dokoła po wszystkich.

— Nie wyciągamy ręki do takich ludzi z obrzydzeniem — kończył — lecz z błogosławieństwem. Umiemy wy-

rzec słowo, które może ich zbawić od piekła. Pozostajemy sami, by krzepić ich w rozpacz, gdy wasze ludzkie miłosierdzie opuszcza ich. Idźcie dalej swą utartą ścieżką, wybacząc sobie swe uprzywilejowane wady, okazując wspaniałomyślność dla swych towarzyskich występków a nam, nocnym wampirom, pozostawcie możliwość pocieszania tych, którzy tej pociechy potrzebują; tych którzy spełniają czyny, nie dające się obronić, czyny, jakich ani świat, ani oni sami nie potrafią obronić i nikt im, prócz księdza nie zechce przebaczyć. Pozostawcie nas z ludźmi, którzy spełnili i pospolite i oburzające i wielkie zbrodnie... pospolite jak Ś-go Piotra. Lecz i dla niego gdy kur zapiał, zajaśniał brzask.

— Brzask? — powtórzył z powątpiewaniem Mallow — czyli nadzieja dla niego?

— Tak — odrzekł ksiądz. — Proszę mi pozwolić zapytać o jedną tylko rzecz. Widzę tu damy i mężczyzn. Wszyscy mają poczucie honoru i pewni są swych czynów. Nigdy nikt z was, możecie to twierdzić z zupełną pewnością, nie poniżyłby się do takiej zdrady ohydnej. Ale chciałbym wiedzieć, czy gdyby jednak znalazł się taki, któryby tak nisko upadł i popełnił czyn taki, czy po wielu, wielu latach, już w późnej starości, będąc zupełnie bezpieczny — zniewolony jednak przez sumienie, czy byłby zdolny zwierzyć się ze swej zbrodni? Powiecie mi, że nie popełnilibyście tego. Tak, ale czy wyznalibyście ją?

Zebrani podnieśli się i ruszyli ku drzwiom w milczeniu. Ojciec Brown też w milczeniu powrócił do smutnego zamku markiza de Marne.

TAJEMNICA FLAMBEAU.

— ...pewne morderstwa, w których grałem rolę mordercy — mówił Ojciec Brown, stawiając szklanę wina na stole. Szereg krwawych obrazów przesunął się przed jego oczyma.

— Co prawda, to przede mną ktoś inny tę rolę odegrał i dał mi materialne dowody. Ale ja zawsze nastawiam swój umysł tak, abym mógł działać jak zabójca i udaje się to doskonale. To znaczy, że kiedy pragnę wyobrazić sobie stan umysłu, w jakim ten czyn mógł być spełniony, zawsze uświadamiam sobie, że mógłbym zrobić to tylko w pewnym stanie umysłu, lecz nie w takim, jaki odrazu nasuwa się na myśl. I oczywiście wiem wtedy, kto jest tym sprawcą i okazuje się przytem, że niezawsze jest to ta osoba na którą padło pierwsze podejrzenie.

Naprzykład pierwsze podejrzenie padło na rewolucyjnego poetę, że zabił sędziego, który wszędzie widział rewolucjonistów. Ale to nie racja, żeby dla takiej przyczyny miał go zabijać rewolucyjny poeta. Aby zrozumieć dlaczego nie jest racją, należy naprzód pojąć, co to jest rewolucyjny poeta. A więc zacząłem gorliwie wcielać się w poetę. Uważam, że taki pesymistycznie usposobiony amator anarchistycznych rewolucyj, uważa je nie za przekształcenie świata, lecz za środek zupełnej jego destrukcji. Postarałem się wygnać ze swego umysłu wszystkie zdrowe elementy i zmysł twórczy i jakoś mi się poszczęściło. Wyobraziłem sobie, że

umysł mój oświetlony jest tylko czerwonym światłem, idącym z jakichś głębin, płomieniem, który skały i otchłanie powiększa i uwypukla. Kiedy obraz stał się groźny i prze-rażający, nie mogłem jeszcze dostrzec racji, dlaczego taki wizjoner miałby udaremnić swe plany zwykłą scysją z policjantem, czy też zabiciem jednego z tych starych warjatów, jak ich pan nazwał. Nie zrobiłby tego, jakkolwiek wiele napisał pieśni o potrzebie gwałtu. I nie zrobiłby również, właśnie dlatego, że pisał takie pieśni. Człowiek, który potrafi wypowiedzieć się w poezji, nie potrzebuje wypowiadać się samobójstwem. Rzadko wydawał na świat poematy, pragnąłby więc mieć ich więcej w swym dorobku.

Szukałem więc innego niedowiarka, takiego co nie myśli o destrukcji świata, lecz jest od niego całkowicie zależny. Pomyślałem, że mógłbym być takim człowiekiem — Boże chroń mnie od tego! — dla którego świat jest morzem elektrycznych światel, poza którym niema nic dokoła, prócz ciemności. Taki światowy człowiek, który żyje tylko dla tego świata i nie wierzy w inny, dla którego poklask świata i rozkosze jego są jedyną wartością — człowiek taki bezwzględnie gotów jest na wszystko, jeżeli grozi mu niebezpieczeństwo utraty znaczenia w świecie i powrotu do nicości. Nie rewolucjonista, lecz człowiek poważany mógłby popełnić tę zbrodnię za cenę zachowania swego stanowiska i ludzkiego szacunku. Na co naraziłby się wzięty prawnik, gdyby taka zbrodnia — potępiana nawet przez ludzi światowych — jak zdrada własnego kraju, wyszła najaw? Gdybym był na jego stanowisku i nie znał lepszej niż jego filozofji, Bóg tylko wie, co mógłbym zrobić. Dlatego takie ćwiczenie religijne jest tak zbawienne.

— Są ludzie którzyby to nazwali stanem chorobliwym — odezwał się Grandison Chace z lekką ironją.

— Tacy ludzie — poważnie odparł Ojciec Brown — są przekonania, że pokora i miłosierdzie są także stanem chorobliwym. Ten nasz znajomy poeta z pewnością tak myśli. Lecz nie będę rozwijał tych kwestyj, postaram się tylko odpowiedzieć na pańskie pytanie, w jaki sposób dochodzę

do swoich rezultatów. Niektórzy z pańskich ziomków zazwyczajili mnie zapytaniem, w jaki sposób zdołałem udaremnić niektóre błędy sprawiedliwości. Otóż proszę im odpowiedzieć, że czynię to w stanie chorobliwym, bo w każdym razie nie życzę sobie żeby myśleli, iż czynię to jakimś nadprzyrodzonym sposobem.

Chace patrzył na księdza z chmurą na czole. Był zbyt inteligentny, żeby nie miał zrozumieć myśli księdza, ale mógłby powiedzieć, że miał zbyt trzeźwy umysł, aby mu się to podobało. Zdawało mu się, że ma przed sobą jednego człowieka a jednocześnie i setki zbrodniarzy. Dziwne wrażenie robiła ta mała figurka, przykucnięta jak krasnoludek za tym piecykiem. Trudne było do pojęcia, że ta okrągła głowa mieści w sobie cały wszechświat okrutnych szaleństw i urojonych podłości. Miał wrażenie, jakby poza jakąś rozległą, ciemną próżnią stała ciżba mrocznych, olbrzymich mar pośmiertnych tych wielkich zbrodniarzy, zatrzymanych magicznem kołem czerwonego pieca, lecz gotowych poszarpać swego władcę na sztuki.

— Niestety — odrzekł zupełnie szczerze — ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest to jednak stan chorobliwy. I nie jestem pewien, czy to nie jest zarówno stan chorobliwy jak i nadprzyrodzony. Mniejsza zresztą o to czym jest, należy jednak przyznać, że to niezwykle ciekawe doświadczenie.

Po namyśle dodał: — Nie wiem, czy ksiądz byłby dobrym przestępcą, ale sędzę, że mógłby zostać głośnym powieściopisarzem.

— Miałem do czynienia tylko z rzeczywistymi faktami — odrzekł Ojciec Brown — a trudniej nieco zgłębiać rzeczywiste fakty niż urojone.

— Tem bardziej — odrzekł Chace — że są niemi słynne na cały świat morderstwa.

— Właśnie, że trudniej jest zgłębić małe przestępstwa, niż wielkie zbrodnie.

— Niezupełnie rozumiem myśli księdza.

— Małym przestępstwem nazywam kradzież klejnotów, jak na przykład sprawę szmaragdowego naszyjnika lub rubinu z Meru, czy też owej złotej ryby. W wykrywaniu takich spraw cała trudność leży w tem, że trzeba umysł swój ścieśnić. Wielcy, potężni tak zwani „prorocy“ nie zajmują się takimi sprawami. Byłem zupełnie pewien, że Władca nie wziął rubinu, ani hrabia złotej ryby. Taki zaś człowiek jak Bankes mógł chętnie wziąć naszyjnik. Dla tamtych, klejnot jest tylko szkiełkiem, aby weni mogli pa-trzeć dla swych horoskopów, ale dla pospolitych ludzi jest on wartością materialną.

Dlatego też należy umysł swój ścieśnić. Jest to nadzwyczaj trudne, niby ostrzejsze i zmniejszone zogniskowanie w soczewce. Ale pomaga w tem wiele czynników i one rzucają dużo światła na taką tajemnicę. Naprzykład człowiek, który chęłpi się demaskowaniem skromnych magików lub różnego rodzaju biednych szarlatanów — taki ma zawsze mały umysł. On „widzi nawskroś“ i zręcznie chwytą biedaków na kłamstwie. Przyznam się, że to trochę przykre zajęcie, a nawet niezwykle niska przyjemność.

Z chwilą gdy już uświadomiłem sobie, co taki mały umysł myśli, wiedziałem już gdzie szukać. Człowiek, który pragnął zdemaskować proroka, sam ściągnął rubin. Człowiek, który sztydził z psychicznych przywidzeń siostry, zwiędził naszyjnik. Tacy, jak ci ludzie, mają zawsze oko zwrócone na klejnoty. Nigdyby nie umieli podnieść się do godności wielkich „proroków“, pogardzających klejnotami. Jest to typ przeciętnych przestępców, którzy stali się nimi, dzięki swej przeciętności.

Dostrojenie się, choćby powierzchowne, do takiego małego umysłu, wymaga wiele czasu. Trzeba wielkiego wysiłku wyobraźni, żeby zostać przeciętnym. Pożądać jakiegoś drobiazgu zupełnie poważnie. Ale można to osiągnąć... Musi pan tylko powoli zbliżać się do celu. Musi pan np. wyobrazić sobie, że jest łakomym dzieciakiem. W jakiby to sposób można ukraść jakiś smakołyk ze sklepu? O jaki wła-

ściwie chodzi smakołyk? Musi pan wykluczyć poezję dziecinną, zapomnieć o jaskrawem świetle, oświecającem sklep ze słodyczami, wyobrażać tylko, że myśli się jedynie o samych słodyczach i ich wartości... Skupia pan swój umysł, jak w ciemni fotograficznej... myśl się kształtuje, zaostrza... i nagle... stało się!

Mówił jak człowiek, który chwyta jakąś cudowną wizję.

Grandison patrzył ciągle z pod okna na księdza nieco ironicznie, a przytem z zaciekawieniem. W jego oczach został jeszcze przebłysk przerażenia, wywołanego poprzedniem wyznaniem księdza. Drżał dotąd w jego spojrzeniu, jak ostatnia wibracja powietrza po uderzeniu piorunu. Powiedział jednak sobie, że przecie Ojciec Brown nie może być potworem ani zbrodniarzem, za jakiego go uważał w krótkiej jak błyskawica, obłędnej chwili. Ale czy w porządku są umysłowe władze tego człowieka, który z takim spokojem mówi, że był mordercą? Czy to możliwe, żeby ten księżyna miał małego bzika?

— Czy nie uważa ksiądz — odezwał się nagle — że taki człowiek, umiejący w swej wyobraźni działać jak przestępca, może zanedbato tolerancyjnie zapatrywać się na zbrodnie?

Ojciec Brown usiadł znowu i mówił bardziej urywanym stylem:

— Wiem, że jest przeciwnie. Sposób ten rozwiązuje całe zagadnienie przestępstwa. Budzi w człowieku już z góry wyrzuty sumienia.

Milczeli. Amerykanin patrzył na wysoki stromy dach, zwisający nisko nad murem, a pan domu siedział bez ruchu, zapatrzonego w ogień.

— Są dwa sposoby odżegnywania się od djabła — wyrzekł ksiądz zmienionym i nieco cichszym głosem. — Jeden sposób nakazuje wzbudzać w sobie lęk przed szatanem, dlatego, że jest tak daleko, drugi radzi wzbudzać także lęk, ale dlatego, że szatan jest tak blisko. Cnota od występku tak się nie różni, jak te dwie cnoty między sobą.

Nie było odpowiedzi, więc ciągnął dalej tym samym tonem, jakby spuszczał po kropli roztopiony ołów.

— Możecie panowie myśleć, że zbrodnia jest straszna, gdyż nigdy jej nie popełniliście, dla mnie ona jest straszna, bo mogłem ją popełnić. Myślicie o tem jak o wybuchu Wezuwjusza, ale jest to prostsze niż wybuch pożaru w tym domu. Gdyby jaki przestępca zjawił się nagle tutaj...

— Gdyby jaki przestępca zjawił się tutaj — przerwał z uśmiechem Chace — z pewnością ksiądz byłby dla niego bardzo łaskawy. Zacząłby ksiądz od tego: przyznałby się mu, iż sam też był przestępcą i powiedział, że uważa za zupełnie naturalne, iż ten okradł ojca, czy też poderznął gardło matce. Szczerze mówiąc, nie uważam takiej wyrozumiałości za praktyczną. W taki sposób żadnego przestępcy nie skierowanoby na drogę poprawy. Bardzo to łatwo stwarzać teorie i roztrząsać oderwane sprawy i sami rozumiemy dobrze, że jest to bezcelowe. Gdy tak siedzimy w pięknym, wygodnym domu pan Duroca, świadomi własnej zachoć i wszystkiego, co z tem idzie w parze, czujemy miły dreszczyk, słuchając historyj o mordercach, złodziejach i o tajnikach ich dusz. Ale ci co mają z nimi do czynienia, inaczej sobie postępują. Czujemy się bezpieczni przy tem ognisku, wiemy, że w domu niema pożaru, wiemy, że między nami niema przestępcy...

Pan Duroc, jakby odczuł aluzję, powstał z wolna z miejsca przy tem, co było nazwane ogniskiem i olbrzymia jego postać odsunięta od ognia, zdawała się zasłaniać wszystko i rzucać cień na tę czarną noc.

— Jest między nami przestępca — odezwał się. — Ja nim jestem. Jestem Flambeau i policja obu półkul dotychczas na mnie poluje.

Amerikanin patrzył na niego z tępem osłupieniem. Nie był w stanie słowa wymówić ani się poruszyć.

— Moje wyznanie nie należy rozumieć jako jakąś przenośnię czy też wynik mistycyzmu. Temi rękami kradłem przed dwudziestu laty, na tych oto nogach uciekałem przed policją. Przyzna pan chyba, że czynność moja miała prak-

tyczne zastosowanie. Zgodzi się pan z tem, że moi sędziowie i prześladowcy mieli do czynienia ze zbrodnią. Czy pan sądzi, że nie znam ich sposobów karcenia? Czyż nie słuchałem kazań najbardziej prawego i nie czułem na sobie zimnego spojrzenia najbardziej szanowanego męża sprawiedliwości? Czy nie upominano mię wyniosłym, chłodnym tonem, pytając, w jaki sposób mogłem upaść tak nisko, mówiąc, że nikt przyzwoity nie śniłby nawet o takich nieprawościach? Czy pan przypuszcza, że miało to inny skutek niż wybuch śmiechu z mojej strony? Tylko ten oto przyjaciel mój powiedział mi, że wie, dlaczego kradnę. Od tego czasu przestałem kraść.

Ojciec Brown uczynił błagalny ruch, a z piersi Grandisona Chace wydobyło się ciężkie westchnienie.

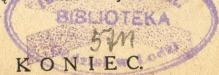
— Powiedziałem panu rzeczywistą prawdę — mówił Flambeau. — Może mię pan teraz oddać w ręce policji.

Przyszła chwila głębokiej ciszy i tylko zdala słychać było wewnątrz domu śmiechy dzieci Flambeau - Duroca, a z poza domu dochodziło chrząkanie prosiąt.

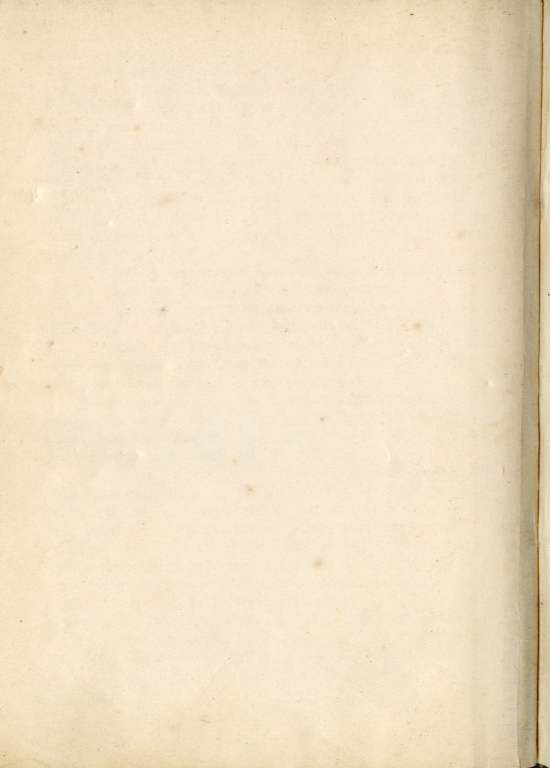
Milczenie przerwał głos, drżący lekką obrazą, niezrozumiałą może dla tych, którzy nie mogą pojąć wrażliwości amerykańskiego umysłu, tak bliskiej, wbrew innym kontrastom, rycerskości hiszpańskiej.

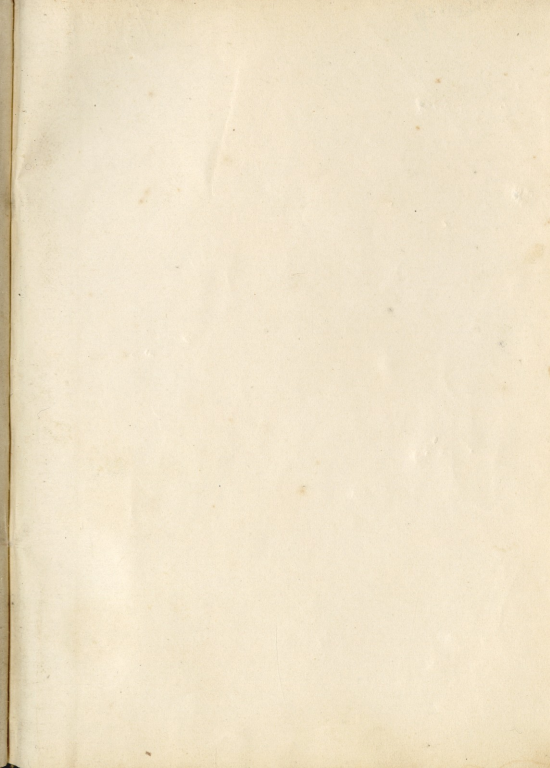
— Panie Duroc — odezwał się dość sztywno. — Byliśmy przyjaciółmi przez dość długi czas, korzystałem z pańskiej gościnności i towarzystwa pańskiej rodziny, więc teraz byłoby mi bardzo przykro, gdyby pan przypuszczał, że jestem zdolny do takiej podłości, jedynie dlatego, że mi pan uchylił rąbek własnego życia i to z własnej woli. A że powiedział to pan jedynie w obronie przyjaciela, wybaczy pan, ale nie mogę sobie wyobrazić, aby za to jaki gentleman mógł gubić drugiego. Przecież byłoby to zwykłym denuncjatorstwem lub sprzedażą ludzkiej krwi! Czyż można zrozumieć takiego człowieka, któryby był takim Judaszem?

— Ja spróbuję — odrzekł Ojciec Brown.









Ladorey

15/12/48 v-380-

Klub L. L. P. H. „Sawalszorgera“

— Biblioteka —

18,00

